PISMA

JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

PISMA

JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

...„zacne przed nadobnem... użyteczne przed przyjemnem...“

PASCAL.

WYDANIE TRZECIE PRZEJRZANE I ZNACZNIE POMNOŻONE.

TOM V.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Іюля 1881.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki.

OD WYDAWCY

POPRZEDNIEGO WYDANIA.

Prace Autora w poprzednich umieszczone tomach, dają nam go poznać jako wytrawnego myśliciela i z gruntu trzeźwego ekonomistę, — jako badacza głębokich i rozległych zadań społecznych, jako uprawiacza nauk pozytywnych, realistycznych.

Sfera atoli działalności piśmienniczej J. Supińskiego sięga dalej, a sięga wręcz w przeciwną stronę; zdążając bowiem za przyspieszonem tętnem serca, za gorętszym polotem umysłu, zapuszczała się ona także w różaną dziedzinę uczucia i wyobraźni, rozpostarła się też na kwiecistych błoniach świetlanej poezyi.

I Supińskiemu sprzyjała nadobna muza. Między innemi napisał on obszerniejszy poemat *Karpaty*, którego rozbiorowi poświęcił Brodziński cały jeden wykład; co świadczy, że wiersz ten nie musiał być bez zalet. Napisał także kilka trajedyj, jak: *Morsztyn*, *Regulus*, które wszakże równie jak

Karpaty, pozostawione w rękopiśmie w Warszawie, prawdopodobnie zaginęły.

Ocalały natomiast dwie trajedye: *Arcez*, — grany przed r. 1830 w teatrze warszawskim, — i *Tatarzy*, — którychto obu trajedyj rozbiór, wykazujący zalety tychże poematów, znajduje się w „Tygodniku illustrowanym“ warszawskim w nr. 386 z r. 1867.

Dwie te trajedye więc w tomie V umieszczam.

Czynny żywot Autora, który nieraz do sprych koła wypadków krajowych silną dłoń swą przykładał, pozwala nam go widzieć w dodatku jako publicystę. Głos jego w stanowczych razach podnoszony, miewał szczęście nie być głosem wołającego na puszczy.

Trudne to wszakże zadanie wertować dzienniki, a trudniejsza jeszcze u nas je znaleść. Co jednak w polowaniu tem dało się złowić, również tutaj zamieszczam. Wiele z tych prac, umieszczonych w dziennikach zamiejscowych a mianowicie francuskich, tu już wcale objętemi być nie mogły.

Jan Welichowski.

I.

TURNIEJE I POJEDYNKI

w średnich wiekach.

(Obrazek historyczny).

Każdy okres dziejów świata ma oddzielne, sobie samemu właściwe znamiona, różniące go od wszystkiego co było przed nim, i co po nim nastąpiło. Ślady wpływów dawniejszych i nowe wypadki, stopień i kierunek cywilizacyi, a nawet pewne, zdające się nie mieć źródła żadnego, upodobania i pociągi, wstręty i przesądy, pojawiają się i giną niepowrotnie w tej niekończącej się panoramie życia ludzkości, w której nic nie trwa, i nic się nie powtarza.

Jednym ze szczegółów, na które dziś spoglądamy z odległej wysokości, jakby na teatralne przedstawienia, są turnieje i pojedynki w kształcie ówczesnym. Wszakże w wiekach wyszłych z zamętu, w którym utonął świat starożytny, gdzie nowe życie ludów urobiło się pod dwojakim wpływem, z których jeden ciężył od góry, drugi parł od dołu, pod opieką wiary schodzącej do najdrobniejszych życia domowego szczegółów, i pod zasłoną puklerza chroniącego tam jeszcze, gdzie potęga tamtej ustępowała przed dzikością pogodzić się z nią niemogącą, — jednem z ulubionych, a razem niezbędnych zajęć stanów wyższych musiały być sprawy rycerskie.

Jakoż: świat ówczesny, to rycerze i lud pogardzony, lud niemy, zapomniany, o którym też zaledwie wspominają dzieje; — to kościoły i warowne zamki; dzwonnice i baszty; kaplice w zamku i twierdze przy kościołach; wnętrza pomieszkań, to ściany pokryte zbroją; służba to żoł-

nierze, panowie to dowódzcy. Gdzie wojna była życia trybem, tam nietylko rozrywki musiały nosić cechę tego zajęcia, lecz nadto, naczelnem zadaniem ówczesnego wychowania musiała być wprawa i nieustająca gotowość. I w rzeczy samej, krwawe napady i wspaniałe turnieje, a pomiędzy niemi pojedynki, krwawe jak tamte, wspaniałe jak te, to dzieje rodzin średniowiecznych na południu i zachodzie.

Ekonomiści włoscy, różniący się od ekonomistów wszystkich innych narodów pod względem granic jakie gdzieindziej zakreślono tej nauce, obejmują zwykle w części historycznej wykładów swoich szczegóły mogące zająć tych nawet, co ulegając uprzedzeniu, nie mają dość odwagi bogdajby przesunąć się przez stanowisko, na którem pojawia się w całej potędze ważność społeczna ich nauki.

Jednym z najnowszych pisarzów tego rodzaju, jest L. Cibrario. W znakomitem dziele jego znajdujemy rozrzucone tu i owdzie obrazki odnoszące się do przedmiotu, który obojętnym być nie może dla osób szukających w czytaniu przyjemności, — napotykamy na nie także w historyach cywilizacyi europejskiej, Güizota, Feranda i innych. Obrazki te zestawimy tu w sposób odpowiedni, a uzupełnimy opisem odnoszącym się do naszych dziejów narodowych.

Turnieje i pojedynki (mówimy w tej chwili o pojedynkach, mających na celu zabawę a nie zemstę) odbywały się zwykle w miejscach ogrodzonych. W tych ostatnich, jak już sama ich nazwa pokazuje, występowało do boju dwoch tylko rycerzy; w tamtych po kilku i kilkunastu z każdej strony. Ponieważ w pojedynczych walkach każdy miał więcej pola odznaczenia się odwagą i zręcznością w oczach licznych widzów, a nade wszystko w oczach damy, której godło i kolory powiewały na jego szyszaku i na rzędzie jego rumaka, walki te przeto były powszedniejsze, a na ich opisy napotykamy częściej w dziełach przedstawiających ówczesne obyczaje.

Pojedynki i turnieje zapowiadane i ogłaszane były na kilka miesięcy naprzód, a to w celu iżby każdy mógł się do nich przygotować i wziąść w nich czynny udział. Zaś

na kilka dni przed dniem oznaczonym do walki, składano w jednym z klasztorów puklerze rycerzy mających w niej wystąpić, a heroldowie ogłaszali kilkakrotnie w całej okolicy ich imiona, by wzbroniono brać w niej udział temu, o którymby jedna z pań lub panien oświadczyła, że uchybił względem niej przyjętym w rycerskiej „galanteryi“ zwyczajom.

Żądza popisywania się rozpalała niekiedy tak silnie umysły szlachty — rycerzy w tych wiekach, niepojmujących innej godności prócz siły i odwagi, iż często walki prawdziwe przeplatały starcia rozrywkowe. Zaczem skoro się zgodzono poprzednio, iż walczyć będzie wolno, bądź bronią tępą, bądź zabójczą, każdy z tych co miał wstąpić w szranki, składał tam dwie tarcze: jednę pokojową, drugę wojenną. Jeżeli który z rycerzy pragnął walki prawdziwej, dotykał on ręką jednej z tarcz wojennych, a właściciel tarczy dotkniętej schodził z amfiteatru i stawał do rozprawy.

Amfiteatr o którym wspominamy, wystawiano zwykle pod murami zamku lub miasta, pozostawiając wewnątrz niego rozległe miejsce dla walczących. Dla książąt, księżniczek i dam przybywających na te uroczystości, przygotowywane były jedwabne namioty. Sędzia bojowy, konno, otoczony heroldami i trębaczami, kierował tem wspaniałem widowiskiem. Tarcze używane w turniejach, ozdobione były malowidłem przedstawiającem herby, godła i symbola; pancerze lekkie, sklejane z płótna lub ze skóry, śklniły się nasadzonym kamieniem, a hełmy bogato złocone unosiły na szczycie wstęgi od dam i pióra strusie. Ponieważ zaś walki tego rodzaju przedsiębrano wyłącznie dla uciechy i chwały, broń przeto używana w nich, różną była od tej, która służyła do bojów wojennych: szable były zaokrąglone i tępe; dzidy zakończone gałką, ilość i rodzaj uderzeń oznaczono z góry; — zaczem też każdy z występujących równe miał pole odznaczenia się odwagą i zręcznością, nie upośledzając przeciwnika swego. Siodła wreszcie opatrzone były z przodu i z tyłu w poręcze, by ułatwić silne siedzenie. Wszakże mimo tych ostrożności, często turnieje rozrywkowe były

powodem kalectwa, a nawet śmierci walczących. Wypadkami temi oburzone niektóre koncylia, zakazywały turniejów, i odmawiały pogrzebu poległym w nich rycerzom.

Potyczki, które Anglicy nazywali walką *na okrągłym stole,* były także rodzajem turniejów. Jeden z najznakomitszych rycerzy angielskich, Roger de Montemar urządził turnieje podobne, sławne w dziejach Anglii w Konilworcie w końcu XIIIgo stulecia, a jedna z tych uroczystości trwała przez trzy doby. Występowało na niej stu rycerzy i sto dam. Nagrodą był wielki lew złoty, który otrzymał sam Montemar. *Na okrągłych stołach*, damy i panny składały sąd turniejowy; one też rozdawały nagrody, którym towarzyszyło „*skromne*“ pocałowanie.

W XIVtym wieku turnieje były nader powszechne w Piemoncie i Sabaudyi. Najznakomitszym ich wspieraczem był sam książe sabaudzki, zwany Zielonym hrabią, najgłośniejszy rycerz tej epoki. Gdy nadchodził tam czas oznaczony na zebranie turniejowe, wszystkie domy próżne i zajazdy w mieście, w którem się na ten cel gromadzono, zamówione były przez hrabię dla dostojnych gości; a ponieważ te objąć ich nie mogły, stawiano jeszcze po placach i za miastem namioty, baraki i kuchnie. Ze wszech stron zjeżdżali się sabaudcy i francuscy rycerze na ogromnych i wspaniale przystrojonych koniach; damy, jedne konno, inne w lektykach, inne jeszcze na wozach, przybywały niemniej licznie; — prócz tego gromadziło się tam mnóstwo sztukmistrzów, skoczków, tancerzy, spiewaków, trubadurów, pływaczy, muzyków i t. d.

Trudno jest opisać życie i ruch jakie panowały w Chambery w ciągu dni turniejowych. Całe miasto było w ruchu; wszędzie krzyki, spiewy, dźwięk muzyki, tańce, bójki, rżenie koni, zgiełk i zamieszanie. Podczas potyczek konnych, ten sam jeszcze panował hałas; lecz gdy rycerze zsiedli z koni, by walczyć pieszo, od razu cisza grobowa zaległa rozległe pola; — nikt słowa nie przemówił, i nikt się nie poruszył z miejsca; — jedynie oczy widzów biegały, jużto po walczących, już też po strojnych i pięknych damach sie-

dzących na wzniesieniu, a których wzrok natężony i niespokojny uśmiech, podwajały siłę walczących. Każdy z widzów kierował zapewne życzenia swoje ku jednej lub drugiej stronie; lecz nikt słowa nie przemówił, nikt się nie poruszył, a wśród tej solennej ciszy słychać tylko było szczęk broni i szelest zbroi, aż po chwilę, gdy zwycięstwo uwieńczyła chwała lub miłość.

Jednem z najwspanialszych widowisk tego rodzaju w Chambery, były turnieje wyprawione tam roku 1348. Zgromadziło się na nie mnóstwo rycerzy, heroldów i jeźdźców. W oznaczonym dniu i o wskazanej godzinie, wjechało w szranki dwunastu rycerzy ubranych w zieloną jedwabną materyę, na koniach pokrytych podobnemiż czaprakami. Konie te prowadziło na śrebrnych jedwabnych taśmach dwanaście dam przystrojonych równie wspaniale i także zielono. Przeciw tym dwunastu rycerzom wjechało tym samym trybem, dwunastu innych, nie mniej okazale, lecz już odmiennie ubranych. Damy wprowadzające jednych i drugich, ściągnęły swoje taśmy, pozostawiając rycerzy w szrankach; same weszły na amfiteatr, otoczone orszakiem usługującej im młodzieży. Wówczas rozpoczęła się walka. Występujący w niej rycerze, rozwinęli w dniu tym najwyższą zręczność, i dowiedli nieporównanej wytrwałości. Bój rozpoczął się o godzinie 3ciej z południa, a skończył późno w noc przy rzęsistych pochodniach, które rozdano między widzów, otaczających szranki turniejowe. Po skończonej walce, damy odprowadziły rycerzy do zamku w sposób, w jaki ich były przywiodły; a wspaniała uczta przy stole otwartym dla każdego, kto chciał wnijść do zamku, po niej zaś spiewy, muzyki i tańce zakończyły tę uroczystość, głośną w dziejach Sabaudyi.

Amedeusz syn hrabi Zielonego, równie jak jego ojciec pozyskał rozgłos wyprawianemi przez siebie turniejami. Był on obok tego prawdziwie walecznym rycerzem. Roku 1383 poszedł w 700 koni wesprzeć króla Francyi przeciw Flamandczykom i Anglikom. Gdy się znajdował przy oblężeniu twierdzy Burburg, jeden z najcelniejszych podówczas kawa-

lerów angielskich hr. de Hadinton przybył pod osłoną listu żelaznego do francuskiego obozu i okazał królowi Francyi wyszewkę perłową, którę nosił na sercu, a która przedstawiała dwa gołębie trzymające w dzióbkach łańcuszek; — na nim zaś zawieszony był pierścień z prześlicznym rubinem otoczonym dwunastu diamentami. Król zapytał go, coby znaczyło to godło? Hr. odpowiedział, że księżniczka pewna równie wielkiego imienia, jak wielkiej cnoty i piękności, ofiarowała mu ten pierścień w dzień nowego roku pod warunkiem, że go nie włoży na palec, dopokąd jej nie przyprowadzi dwunastu młodzieńców równie szlachetnego rodu jak ona, pokonanych dzidą w turniejach lub pojedynkach. Zobowiązanie to, mówił dalej, już niemal wypełnionem zostało; — przychodzi on jeszcze szukać wpośród walecznych hufców, złożonych z czoła rycerstwa francuskiego, młodzieńca, któryby chciał dla sławy imienia swego, życie swoje stawić przeciw jego życiu. Jeżeli, dodał hrabia angielski, uda mu się uzupełnić to zobowiązanie, wolno mu będzie włożyć pierścień na palec, w dowód otrzymanej wzajemności ze strony księżniczki; — gdyby przeciwnie ten dwunasty młodzieniec był jego zwycięzcą, zwycięzca zyska prawo zaprowadzić go jako jeńca do stóp damy, i z rąk jej, otrzymać dar, którego on dość bronić nie umiał. Amedeusz stojący przy boku króla, pobladł i zadrżał na te słowa, krew młodociana ścięła się w żyłach jego. „Pozwól mi królu, zawołał, abym ja był tym dwunastym, którego szuka po ziemi twojej dumny hrabia Albionu“.

Pomijamy tu szczegółowe opisy wypadków, które poprzedziły spotkanie się dwoch rycerzy, niemniej towarzyszące im okoliczności uboczne. Król Francyi skłonił się nakoniec do żądania Amedeusza, a chwila ich starcia się oznaczoną została na dzień następny.

Hadinton zawiesił na złotym sznurku pierścień u żerdzi, przy której też stanął, by bronić swego skarbu. Naprzeciw niego wystąpił młody Amedeusz. Obaj kawalerowie zdjęli hełmy, pokłonili się królowi z poszanowaniem, a następnie zwróciwszy konie ku sobie, natarli na siebie jedno-

cześnie w największym pędzie, z dzidą najeżoną naprzód. Po kilkakrotnem starciu się, hrabia Sabaudyi został lekko ranny, a dostrzegając, że zbytek zapału odbiera mu przezorność i stawia go w niemożliwości pokierowania lepiej zręcznością swoją, starał on się uśmierzyć ten ogień, i rzeczywiście, wkrótce udało mu się tak straszny cios zadać przeciwnikowi swojemu, że tenże wraz z koniem runął na ziemię.

Amedeusz mógł był łatwo chwycić za pierścień, podczas gdy przeciwnik jego uczuwszy silne wstrząśnienie, z ziemi powstać nie mógł jeszcze; lecz szlachetny młodzian uczynić tego nie chciał. Przeciwnie, kazał on współzawodnika obmyć octem i różanną wodą; a gdy ten odzyskał już siły, kazał mu podać swego konia i rzekł: „Broń się panie hrabio, jeżeli nie chcesz, bym porwał za pierścień". Zaledwie to wyrzekł, a już z taką zapalczywością uderzyli na siebie przeciwnicy, że oba wraz z końmi swemi runęli na ziemię. Podniesieni przez masztalerzy, dosiedli koni świeżych i walczyli aż do nocy z najwyższą zapamiętałością; w końcu hrabia Sabaudyi złamał hrabi Hadinton obojczyk. Anglik uznał się pokonanym; lecz wspaniały Sabaudczyk jeszcze i teraz ze zwycięstwa swego korzystać nie chciał, i pierścienia nie ruszył; — pocieszając owszem przeciwnika słowami pełnemi słodyczy, podziwiał on jego męztwo, jego siłę i zręczność.

Towarzysz hrabi Hadinton, hrabia Arundel chciał pomścić swego przyjaciela na miecze; lecz Amedeusz po krótkiem starciu rozciął mu czaszkę i położył go trupem. Po nim przedstawił się inny jeszcze mściciel Hadintona, hrabia Pembrocke, który wyzwał młodzieńca na młoty. Tu walka była straszną, zaciętą, długą i niepewną; wreszcie, ciężkie uderzenie w piersi, obaliło Anglika, który nie czuł się już na sile opierania się dłużej. Wówczas Amedeusz kazał sobie podać piękny pierścień diamentowy, zadatek miłości księżniczki angielskiej, żądając od Hadintona, by go ofiarował swojej damie; — zaś jego towarzyszowi Pembrocke zadział na szyję łańcuch złoty, prosząc go, by dar

ten przyjął na pamiątkę dnia, w którym tak szlachetnie chciał zginąć za swego przyjaciela.

Przytoczona tu scena, środkująca pomiędzy popisywaniem się i zabawą, a zemstą i pojedynkiem, prowadzi nas do innych scen tego rodzaju, przedstawiających już w całej nagości boje prywatne, tak powszechne w wiekach, w których wypadki powyższe czerpaliśmy.

Na lewym brzegu burzliwego jeziora Neuschatel stoi na wysokiej górze wspaniały zamek Grandsonów. Po przeciwnej stronie i więcej ku północy panuje okolicznej równinie zamek równie okazały Stavayów. Nazwiska te wspólne są tym dwom miejscom i zamieszkującym je znakomitym rodzinom. Grandsony potomkowie jednego z najdawniejszych szczepów hrabstwa Vaud, były także najpotężniejszym w okolicy domem, tak przez związki familijne, jak przez własne społeczne stanowisko. Stavayé zajmowali niższe nieco miejsce, lecz mimo to niemniej poważanemi byli w ojczyźnie swojej. Jezioro przedzielające ich posiadłości, mniej silną między niemi stanowiło granicę, niż rozdzielająca ich, rodzinna, wzajemna i odwieczna nienawiść. W chwili, o której mówimy, naczelnikami tych rodzin byli: Otton de Grandson i Gerard de Stavayé. Otton nienawidził nieprzyjaciela swego tą spokojną nienawiścią, która towarzyszy zwykle wielkim, silnym i wspaniałym; — Gerard przeciwnie czuł z dniem każdym rozżarzający się w sercu swojem ogień zemsty, może dlatego głównie, że zemsty tej zaspokoić nie mógł. Pomiędzy przyczynami tej jego nienawiści, było podejrzenie, słuszne czy niesłuszne, obrażonego honoru małżonka. Żądza zemsty drażniona poczuciem pewnej niższości społecznej, tak dalece rozpalała serce Ottona, iż zdawało mu się, jakoby było rzeczą niepodobną, ażeby oba pod jednem żyć mogli słońcem; tylko śmierć sąsiada przywrócić zdołałaby spokój jego domowi i jego rodzinie.

Przypadek zrządził, że Amedeusz VII panujący na Neuschatelu, umarł w największych cierpieniach w skutek niezręczności lekarza a raczej awanturnika, który mu był przyobiecał przywrócenie włosów na jego ołysiałej głowie.

Umierając oskarzał on lekarza, mieniąc go sprawcą swojej śmierci i polecił, by go wzięto na tortury; bowiem przypuszczał, że lekarz przejeżdżający był nasłanym na jego otrucie. Rodzaj okropnych cierpień jakie znosił Amedeusz przede śmiercią i plamy ciemne, które wystąpiły na jego trupie, usprawiedliwiały poniekąd to podejrzenie. Mimo to Otto Grandson, z kolei godności pierwszy w kraju po zmarłym panującym, przeświadczony wewnętrznie o niewinności Granvilla (było to imię lekarza) nietylko nie polecił go uwięzić, lecz nadto uwolniwszy go z rąk dwóch paziów, którzy go byli przytrzymali przez przywiązanie ku swemu panu, pozwolił mu osiąść w dobrach swoich. — Głos powszechny nie podzielał przekonania Ottona, przeciwnie śmierć Amedeusza sprawiła wielkie wrażenie pośród mieszkańców Neuschatelu gdzie dobroć jego i jego waleczność wysoko ceniono. Obywatelstwo miejscowe z żalem i oburzeniem szukało śladów morderstwa; zewsząd dochodziły głosy wołające o karę ziemską i pomstę niebios.

Bona de Bourbon, matka zmarłego księcia, nalegała ze swojej strony na wyśledzenie i ukaranie winnnych. Skutkiem tego Lompes, aptekarz nadworny, skazanym był na śmierć za sporządzanie recept Granvilla. Powleczono go na miejsce stracenia przywiązanego do ogona oślicy, kupionej od żydówki. Lompes był rzeczywiście niewinnym. Lekarz Granville przerażony tą srogością uszedł do Burgundyi, gdzie go jednak wkrótce schwytano, a mimo najokropniejszych cierpień jakich tam doznawał w torturach, zaparł uroczyście czyniony mu zarzut i zaprzysiągł niewinność swoję.

Głos publiczny poszukujący ciągle pierwszych przyczyn śmierci Amedeusza skierował się stopniowo ku Ottonowi Grandson. Postępowanie jego nie mogło rzeczywiście nieobudzić podejrzeń, a podejrzenia te wzrastały szczególniej w okolicy, której zdawał się panować swoją dumą i nieprzystępnością. Dostrzegłszy to, udał on się do króla Francyi, do książąt Bourbon, Orleans, Berry i Bourgogne, któ-

rych też przekonał w poufnej rozmowie o zupełnej swojej niewinności.

Gdy się to działo, odwieczny nieprzyjaciel Ottona, Gerard Stavayé ubolewając szczerze nad śmiercią Amedeusza, pocieszał się z drugiej strony nadzieją zemsty, której chwila zdawała się wreszcie nadchodzić; widział on już zupełny upadek rodziny, zatruwającej od lat tylu domu jego stosunki. Pierwszy raz w życiu uczuł Gerard tę gorzką pociechę zemsty, obok której żadne inne poczucie ostać się nie może. Wszakże obawiając się potęgi Ottona, a obok tego czując, że zemsta jego otyle tylko nasyconą być może, oile upadek tamtego stanie się własnem dziełem, nie przepuścił on żadnego szczegółu, któryby mógł nieprzyjacielowi otworzyć wrota ocalenia. W tym celu poświęcił wszystek czas i wszystkie siły swoje do zbierania wiadomości, do rozszerzania krążących już wieści, do przesadzenia czynów istotnych, i oburzenia ludu przeciw Ottonowi; — słowem, nie zaniedbał nic, cokolwiek położenie przeciwnika pogorszyć mogło. Wkrótce też oskarżenia przechodzące z ust do ust, zwiększając się z dniem każdym, zdawały się nabierać takiej pewności, że w hrabstwie Vaud nie wiele już znajdowało się osób, któreby jeszcze wątpiły, iżby senior Grandson był rzeczywiście sprawcą morderstwa dokonanego na panującym księciu Sabaudyi.

Oskarżenia te, czy potwarze piekielną radością napełniły serce Gerarda; lecz wkrótce dowiedziawszy się, że Grandson uznanym był za niewinnego przez króla Francyi i książąt krwi panującej, wpadł on napowrót w rozpaczliwe zwątpienie. Tryumf nieprzyjaciela wydał mu się jako nowo wyrządzona mu krzywda; — a myśl, że krzywdy tej pomścić nie może, niepokoiła go we dnie i w nocy. Miotany wewnętrzną burzą postanowił wreszcie pojedynkiem wymierzyć sobie sprawiedliwość, której losy odmawiać mu się zdawały.

W tym celu udał się on do Ludwika Joinville, udzielnego pana hrabstwa Vaud, a razem naczelnika prowincyi, i rzekł do niego: „Udzielny książe Joinville! Ja Gerard

de Stavayé staję przed tobą, jako przed zastępcą panującego, wielce kochanego i wielce potężnego księcia Sabaudyi i wyzywam przez pośrednictwo twoje seniora Ottona de Grandson. Proszę cię przeto, ażebyś podług zwyczajów i praw kraju naszego, naznaczył mu dzień stawienia się przed sądem twoim, a razem doniósł mu, że w dniu tym ja Gerard de Stavayé powiem mu i udowodnię, iż on jako nikczemny zdrajca był powodem śmierci naszego wielkiego, wielce ukochanego i wielce potężnego księcia Sabaudyi, a pierwej jeszcze seniora Ugo de Grandson; że ja to powiem i przytem obstawać będę przeciw niemu, ciało przeciw ciału, w mieście Modon, gdzie rycerskie odbywają się sprawy, a to wobec ciebie panie hrabio, jako zastępcy panującego, i do którego należą sądy nasze."

Hrabia naznaczył 15 października roku 1397, w którym obie strony przed nim stawić się miały. Gerard i Otton stawili się rzeczywiście przed hrabią Joinville, otoczonym wyborem rycerzy i panów okolicznych. Gerard powtórzył wyzwanie uczynione już dawniej i rzucił rękawicę do stóp przeciwnika. Otton przeżegnawszy się głośno rzekł: „Biorąc na świadków Boga, świętą Annę i błogosławiony poczet świętych, twierdzę publicznie że kłamiesz, i że skłamałeś tyle razy, ile razy to powiedziałeś; — zaczem wobec mego seniora, tu obecnego hrabi, bronić się będę w sposób jaki on uzna za właściwy, i nie wątpię, że mi Bóg pozwoli tak się sprawić, aby honor mój wyszedł cały i nienaruszony; — ty zaś jesteś i zostaniesz kłamcą!" To wyrzekłszy sir Otto rzucił także rękawicę.

Książe Joinville kazał ustąpić obu zapaśnikom, a po krótkiej naradzie z otaczającem go rycerstwem, potwierdził żądany pojedynek, oznaczając dzień na jego odbycie. Gerard kładąc obie ręce pomiędzy dłonie jednego z marszałków Sabaudyi, przysiągł, że się stawi święcie na dniu oznaczonym, a nadto dał jako zakładników dwunastu młodzieńców szlacheckiego rodu, którzy powtórzyli po nim jego przysięgę. Otton Grandson uczynił to samo, poczem hrabia ogłosił następujący wyrok: „My hrabia na hrabstwie Vaud, zająwszy

krzesło trybunalskie i położywszy przed sobą pisma święte, a to w celu, iżby wyrok nasz pochodził od Boga; — niemniej wezwawszy Jego święte Imię i czyniąc znak krzyża świętego w słowach: W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego amen, wyrzekamy i stanowimy, a Bóg użyczy nam wsparcia swego, ażeby spotkanie się rycerskie rozstrzygnęło tę sprawę, i aby każdy ze stojących w tej chwili przed nami panów, uczynił co będzie w mocy jego, iżby Bóg mógł okazać, po której stronie jest słuszność. Na ten cel oznaczony dzień 7 sierpnia godzinę ranną, na równinach pod pałacem naszym, wewnątrz ogrodzenia, które tam przygotowanem zostanie. Rycerze stawić się mają na koniach okrytych siecią żelazną i w pełnej zbroi, to jest, z dzidami równej długości; — każdy mieć będzie dwa oręże i po jednym puginale, w rodzaju jaki mu się podoba, dla wypełnienia obowiązku swego jak przystało na szlachcica. Nie stawiający się w dniu oznaczonym, zapłaci 1000 marków i ogłoszonym będzie za winnego."

Dnia 7 sierpnia, zaledwie się okazało pierwsze światło słońca, a już wszystkie ulice miasta i jego place napełnione były tłumami ludzi przybyłemi z różnych okolic, chciwemi tego rodzaju widoku, i tym więcej ubiegającemi się za nim, że sądy ognia i miecza, już coraz rzadszemi się stawały. Sztukmistrze gromadzący się zwykle na turniejach i pojedynkach osób znakomitych, nie mogli ani znaleść dość miejsca wśród tłoku, ani zająć sobą uwagi skierowanej gdzieindziej.

Naokoło poręczy okrążających plac bitwy, umieszczono szesnastu heroldów, wielkich mistrzów w sztuce rycerskiej. Każdy z nich trzymał w ręku ozdobny pręcik dla przegrodzenia nim walczących, gdy tego uzna potrzebę. Po jednej stronie kręgu wznosiła się loża pokryta zielonym aksamitem; dalej nieco od poręczy krążył na czele oddziału jeźdźców Bonczani, jeden ze znakomitej rycerskiej szlachty, a którego obowiązkiem było utrzymać porządek i wymierzyć każdemu sprawiedliwość. Po długiem oczekiwaniu, nadjechał wreszcie na wspaniałym i bogato przystrojonym koniu, młody książe Joinville, w płaszczu złotolitym. Księżniczki sabau-

dzkie ubrane również w złote materye; tudzież wiele dam i dostojników dworskich towarzyszyło mu konno. Skoro książe zajął przygotowaną dla niego lożę, uderzono w trąby; lud się rozstąpił po dwóch przeciwnych stronach, a otworami temi wjechali dwaj zapaśnicy. Okrążywszy stępo i poważnie plac boju, następnie skłoniwszy się księciu, a po nim damom siedzącym na amfiteatrze, stanęli naprzeciw siebie i utkwili dzidy w ziemi, oczekując hasła do boju.

Młody Gerard, który pierwszy raz w życiu znalazł się w tak uroczystem zgromadzeniu, gdzie też wszystkie oczy zwrócone były na niego, nie mógł z razu zataić pewnego zmięszania; — lecz wkrótce odzyskał przytomność umysłu, a usłyszawszy trąbkę dającą już znak do natarcia, nie widział nic przed sobą prócz kochanka swej żony; zadrżał z wściekłości, i nie doczekując by trąbka ucichła, spiął całą siłą ogromnej postawy i okazałości rumaka, uderzył pędem na Ottona, i nim ten oczekując końca sygnału, mógł się przygotować do odparcia ciosu, przeszył mu pancerz dzidą, której grot wyszedł po przeciwnej stronie ciała. Otton padł nie walcząc. Krew zalała miejsce na którem stał; krzyk żałośny powstał między paniami na trybunach, a szmer różnoznaczący między ludem, zdawał się podawać w wątpliwość dobrą sprawę zwycięzcy. Wielu z tych co dotąd wierzyli w niewinność Ottona, zwątpili o niej po jego upadku; inni mówili: Bóg i święta Anna chcieli, by Otton zginął, nie jako sprawca śmierci Amadeusza, lecz jako kochanek Katarzyny Stavayé.

Spojrzyjmy teraz na turnieje wyprawiane w Polsce, które tu nosiły także nazwy szermierstwa, igrzysk rycerskich, zapasów a nawet gonitw. Jakkolwiek Słowianie w ogólności, a mianowicie Polacy, byli po wszystkie wieki wielce wojowniczym narodem, mimo to, rozrywki i popisy tego rodzaju nie przeszły żywcem w nasze narodowe zabawy. Zostawiając ludziom powołania wytłómaczenie przyczyn, dla których Polska, przyjmująca wiele urządzeń zachodnich, nie przylgnęła do tych zapasów z namiętnością, jaka cechowała w tej mierze szlachtę zachodnią, przypuścić możemy,

że rozrywki te już przez to samo, iż były tylko rozrywkami, a nadto powstałemi z odmiennych usposobień ludów szczepu romańskiego, które między innemi przechowały tradycyjne upodobania do igrzysk, cyrków i amfiteatrów, nie zupełnie przystawały do naszych obyczajów i do naszego trybu życia. Obowiązek i ciągła a chętna gotowość do bronienia kraju od napadów wielostronnych, utrzymywały praojców naszych w nieprzerwanych igrzyskach; zaś nie długie chwile spoczynku, spędzali oni w łonie swoich rodzin, w swoich domach, do których niemniej silnie wiązało ich życie religijno-patryarchalne.

Rzadko w dziejach naszych trafiamy na opisy igrzysk, a nadto, opisy te są bardzo niedokładne. Najświetniejsze zabawy tego rodzaju, twierdzi Maciejowski, dawane były na dworze Zygmunta Augusta. Głównem zaś znamieniem igrzysk naszych, różniącem je od turniejów zachodnich było, iż podczas gdy tam pewne tylko osoby, za poprzedniem rozpoznaniem ich godności, udział w nich brać mogły; u nas wolno było każdemu wystąpić z tłumu, i wezwać każdego w szranki. Przejdźmy do szczegółów.

Jurga książe na Bełzu, lennik rzeczypospolitej, korzystając z nieobecności króla Ludwika, przesiadującego jak wiadomo w Węgrzech, napadał ziemie okoliczne, rabował, uprowadzał ludność, a nawet zajął kilka warownych zamków. Ludwik wezwany przez Polaków, przybywa z oddziałem wojsk węgierskich, łączy go z polskiem, i oblęga Bełz, bardzo silną podówczas twierdzę. Jurga widząc po pierwszych natarciach, że się w niej utrzymać nie zdoła, żąda od Jagiełły, dotąd tylko księcia litewskiego, posiłków; ale Jagiełło, nie uznając złej sprawy księcia bełskiego, wysyła do niego stryja swego Kiejstuta, polecając zgromić jego wiarołomstwo, a razem przebłagać króla i panów polskich. Rzeczpospolita przyjmuje to upokorzenie się Jurgi, i zostawia go przy lennictwie; zaś Kiejstut uradowany pomyślnie odbytem poselstwem, wyprawia na błoniach pod Bełzem igrzyska, w których wzięli udział Węgrzy, Litwini i Polacy.

Były to gonitwy wozowe, pomiędzy dwoma linami, wyciągniętemi w linii prostej, w połowie której na stronie, urządzono wyniosłe siedzenie dla króla, tudzież dla innych węgierskich, litewskich i polskich dostojników, między któremi zasiadło także wiele pań okolicznych. Na jednym końcu tej linii umieszczono metę, na drugim stały wozy czterokonne, które o palmę zwycięztwa ubiegać się miały. Sędziami obrano jednozgodnie hetmanów wojsk polskich i węgierskich, Sędziwoja i Huniata, którzy też w pełnej zbroi, konno i z oznakami godności swojej zajęli przygotowane dla nich miejsce obok mety. Dwanaście było wozów, przeznaczonych do biegu; należały one do rozmaitych rycerzy polskich, litewskich i węgierskich. Były to wozy zwykłe, silnie zbudowane, przykryte na prędce kobiercami lub inną bogatą materyą. Na niektórych wznosiły się tarcze, herby i tym podobne ozdoby.

Podług kolei oznaczonej przez hetmanów, wozy biedz miały po dwa naraz, w parach, tak jak oni je ustawili. Na znak zgody i zapomnienia urazy i krzywdy, w pierwszym zawodzie umieszczono Jurgę, a współzawodnikiem jego był Marcin Zaręba ze Sławska. Młodzieniec ten pełen ognia, stojąc na wozie na kształt Rzymianina, i docinając silnie młode i szalone jak on rumaki swoje, wyprzedził ostrożniejszego księcia na Bełzu, i już się zbliżał ku mecie, gdy nagle jedno koło uderza o kamień; woźnica traci równowagę, i pada między konie dyszlowe, które po nad nim przeleciały. Widzowie unoszą skrwawionego, a Mikołaj Zech, wsławiony pod Opawą rycerz węgierski, wjeżdża w szranki, by pomścić przyjaciela swego Zarębę.

Jurga staje znów naprzeciw mety; konie jego pokryte pianą i robiące bokami, niepomyślny wróżyły koniec tym powtórnym wysileniom. Lecz szczęście dnia tego było przy nim: wóz Zaręby nie wytrzymał nadzwyczajnego pędu po błoniach nierównych; łamie się on w tylnej osi, Zaręba śpada; konie jego wolnieją, a Jurga staje zwycięzcą u mety po raz drugi.

Wkrótce występują dwaj inni zapaśnicy; jednym z nich był Skirgełło, którego wóz ciągnęły cztery żmudzkie, znane dotąd z wytrwałości mierzyny; drugim Ostroróg, który powodował czterema dzikiemi ukraińcami. Zatrąbiono — wyruszają, z obojej strony widać najwyższe wysilenia, lecz napróżno: konie trzymają się ciągle w linii frontowej, jak gdyby szły szykiem bojowym. Już dolatują razem do mety, gdy Ostroróg trafia na krzak głogu. Jedna chwila, bo tylko chwila okrążenia krzaku, zerwała dotychczasową równowagę. Skirgełło wyprzedza Ostroroga o pół konia, i odnosi drugę palmę zwycięstwa.

Pomijamy te szczegóły, mniej więcej tej samej natury towarzyszące biegowi innych wozów. Dnia następnego rycerstwo popisywać się miało konno na kopie i oręże. Gdy już król, hetmani i wodzowie zajęli miejsca swoje, ukazał się w szrankach Lubard książe na Łucku, brat Kiejstuta, na dzielnym koniu, uzbrojony, jak zwykł był stawać do boju. Naprzeciw niemu wjechał niemniej wspaniale Jakób z Koniecpola, wojewoda sieradzki. Za danym znakiem trąby, wypuszczają oni konie naprzeciw siebie; Lubard nie czekając, by mógł już sięgnąć przeciwnika, rzuca w niego ciężką kopię, lecz ta ześliznęła się po stalowej zbroi; Koniecpolski lubo silnie wstrząśniony, dosiedział na koniu, a natarłszy na przeciwnika, zaczepił grotem dzidy swojej o łuski jego naramiennika, i z konia go zsadził.

Wojdyło, chcąc pomścić krewnego swego, wjeżdża w szranki, i nie czekając już, by dano znak do natarcia, chwyta oburącz za ogromny drzewiec kopii swojej, rzuca nim całą siłą w przeciwnika i chybia. Koniecpolski pozostał na miejscu niewzruszony, bo na bezbronnego uderzać już nie chciał.

Sławny siłą, zręcznością i odwagą Zygmunt Palisza, jeden z pierwszych węgierskich rycerzy, był trzecim z kolei przeciwnikiem Jakóba z Koniecpola. Sława Paliszy, pozyskana równie w turniejach domowych jak w wojnie włoskiej, rokowała mu niechybne zwycięstwo. Rodacy jego powitali go też okrzykiem radości, a on pochyleniem kopii

skłonił się dumnie królowi i widzom. Kilkakrotnie obaj rycerze natarli na siebie bezskutecznie; wreszcie Koniecpolski, strudzony już może zbyt długiem wytężeniem, traci równowagę i spada z konia.

Jak zwycięstwo Paliszy obudziło radość w Węgrach, tak upadek Koniecpolskiego przykre wywarł wrażenie na Polakach. Poglądali oni po sobie, ażali nie znajdzie się szlachcic, któryby powetował to upokorzenie. W tem wśród powszechnego zgiełku, występuje rycerz młody, znakomitego pana syn uboczny, który był przybrał imię Zaprzańca, i to przybrane imię równie męstwem w boju, jak długą a ciężką niewolą tatarską i wspaniałem zrzeczeniem się praw swoich do majątku ojca głośnem uczynił. Zaprzaniec i Palisza uderzają na siebie równocześnie; rzucone przez nich kopie trafiają obie przeciwników, lecz oba dosiedzieli koni swoich. Palisza, bojąc się utracić drogo okupione wawrzyny, zeskakuje z konia, i rzuca rękawicę. Zapaśnicy stają pieszo naprzeciw siebie; zdejmują przyłbice i dobywają oręże; a zaledwie zmierzyli się raz jeden i drugi, noga Zaprzańca plącze się w bujnej trawie, szlachetny a nieszczęśliwy młodzieniec pada; Palisza rozogniony, razi w twarz już leżącego na ziemi!

Zgiełk i oburzenie wielkie powstały w rycerstwie polskiem; szlachta jęła się już do korda; lecz król opuszczając sam krzesło swoje, polecił także rozejść się przytomnym, a tak położył koniec wspaniale rozpoczętym a smutnie skończonym, jak to najczęściej bywało, wyścigom i igrzyskom. Król chcąc prócz tego wymierzyć sprawiedliwość, i uspokoić wzburzone umysły, odsądza Paliszę od stanu rycerskiego na Węgrzech; zaś cierpiącemu niezasłużenie życie całe, zacnemu Zaprzańcowi, daje na własność Piaskową-skałę, wspaniały zamek z przyległościami, który z czasem przeszedł na rodzinę Wielopolskich, a dziś jest własnością Markiza, który w ostatnich wypadkach warszawskich, głośną odegrał rolę.

Turnieje, a raczej gonitwy powyższe, urządzone zostały na prędce i w czasach, którym obcemi jeszcze były pomysły wytworniejsze. Jakkolwiek one przeto miłemi być nam

mogą już przez to samo, że są cząstką dziejów naszych, zaledwie przecież zasługują na nazwę igrzysk, obok tych, które odprawiano później przy koronacyach i zaślubinach królów, lub innych znakomitych dostojników. Ażeby dać wyobrażenie o tych ostatnich, opiszemy tu w skróceniu zabawy, wyprawione z powodu zaślubin Zamojskiego z synowicą Stefana Batorego.

Pomijamy dzień pierwszy i drugi wesela, zatem wspaniały obrzęd ślubny, mowy, uczty, toasty, tańce i zabawy w rozległych pokojach zamku urządzone, bo te nie wchodzą w obraz, który skreślić zamierzyliśmy. Dzień trzeci przeznaczonym był na walki i widowiska pod gołem niebem. Wyprawiono je w rozległem podwórzu zamkowem, gdzie wszystkie okna, przystrojone w kobierce i jedwabie, zajęte były jużto przez rodzinę i świtę królewską, już też przez innych znakomitych gości. Panie i panny jaśniały bogactwem i wspaniałością stroju narodowego. W środku podwórza i na wyniesieniu zasiedli sędziowie, którzy odznaczającym się nagrody rozdać mieli. Wszystkie miejsca próżne zapełnione były ludnością miejską; dachy nawet zaległa młodzież miejscowa, bowiem nikomu nie wzbraniano uczestnictwa w tych uciechach.

Około godziny 3 z południa zeszedł na podwórze król z nowożeńcem, a królowa z panną młodą; za tamtemi postępowali senatorowie i szlachta, za temi ich żony i córki. Przywitani okrzykiem życzeń, zajęli przygotowane dla nich miejsca, a gdy się już wszystko uciszyło, uderzono w trąby. Z dwoch przeciwnych bram zamkowych wjechały konno dwa oddziały łuczników, złożone z młodzieży szlacheckiej, która walcząc niedawno przy boku Zamojskiego przeciw Moskwie, nabyła sławy, a dziś męstwem swojem popisać się pragnęła przed królem i kobietami. Broń też tych rycerzy nie była bronią używaną w turniejach na zachodzie; drzewiec ich kopji był grubości ręki, a grot na niem osadzony zaostrzono jak do boju. Na piersiach mieli pancerze, na głowach przyłbice z podniesioną kratą; na lewem ramieniu tarcze skórzane, ozdobione herbem Zamojskich i innemi godłami.

Za danym powtórnie znakiem, rycerze nacierając na siebie, rzucili niemal jednocześnie, każdy na swego przeciwnika, ogromną kopię z taką zręcznością, że wszystkie trafiły w tarcze, i to w miejsce odpowiadające położeniu serca. Jeden tylko Grudziński otrzymał ciężką ranę w prawem ramieniu, ale rana ta niepowstrzymała go od dalszej walki, tym bardziej że Zamojski dosiadłszy konia, dodawał ducha jednym i drugim, i sam ich obrotami kierował. W ciągu dalszej walki na dzidy i pałasze, koń pod Dobkiem raniony został w szyję. Zamojski zsiadł ze swego i darował go Dobkowi z całym bogatym rzędem i ustrojem. Gdy to się działo, jeden z heroldów przystrojony po etyopsku, wjechał nagle na plac boju, wstrzymał dalsze natarcia, i prosił sędziów o przyznanie nagrody tym, których tego godnemi uznają.

Zaledwie ustąpili zapaśnicy, pojawił się widok innego rodzaju. Mikołaj Wolski miecznik koronny, przyjmował u bram zamku króla Maurów, otoczonego wspaniałym orszakiem murzynów. Na czele orszaku okazała się Polska przedstawiona przez kobietę stojącą na złocistym wozie, i opartą o trzy dzidy; z których dwie obrócone były grotami do góry, jedna do dołu. Tamte oznaczały gotowość do boju; ta pragnienie pokoju, jak to objaśnił napis: „*rectis belli pacisque consiliis.*“ Na ramionach dziewicy polskiej unosił się orzeł biały, jakby wzbijający się do lotu; jej skronie uwieńczone były bluszczowym liściem, tworzącym cyfry królewskie. Za nią postępował oddział jeźdźców maurytańskich, z czarną twarzą i kruczym a najeżonym włosem. Pokryci oni byli siecią drucianą, po której spadały wieńce uwite z powoju. Dalej posuwał się słoń ogromnej wielkości, wybornie naśladowany, a z wieży wystawionej na jego grzbiecie, wylatywały co chwila ognie sztuczne w rozmaitych barwach i kształtach. Za słoniem szły jeszcze żywe wielbłądy kosztownie przystrojone, a cały orszak zamykał drugi oddział jeźdźców maurytańskich, podobny do początkującego. Obraz ten przesunął się wspaniale przez podwórze, i wyszedł bramą przeciwległą.

Dalszem widowiskiem przedstawionem przez Mikołaja Zebrzydowskiego, starostę Stężyckiego, był Saturn złotego wieku. Jego wóz majestatyczny ciągnęły geniusze skrzydlate; białe po prawej stronie, czarne po lewej. Po nad całym orszakiem unosiło się niebo, do którego geniusze te przyczepione były łańcuchami, tak że zdawało się, jakoby w powietrzu wisiały. W środku wielkiego wozu siedział na wyniesieniu Saturn długobrody z rozrzuconym włosem na głowie, trzymając w ręku ogromną kosę. Poniżej niego z tyłu i z przodu, stało po dwanaście dziewcząt, trzymających napisy godzin dnia i nocy. W przedniej części wozu wznosiła się na kolumnie wielka kula ze złotej blachy, przedstawiająca wiek złoty na ziemi polskiej pod panowaniem Batorego.

Trzecim atoli obrazem, byli Jowisz z Minerwą, siedzący obok siebie na wyniosłym i nader wspaniałym wozie, otoczonym obłokami, które kunsztownie naśladowano z niebieskiej, rzadko roztrzepanej wełny. Wóz ten, u którego zamiast kół, obracały się cztery kule, przedstawiające bryłę ziemską, ciągnionym był przez trzy czarne woły, któremi powodował Stanisław Miński, znakomity obywatel Mazowsza i twórca tego obrazu. Minerwa siedząca po lewej stronie, trzymała w lewej ręce egidę; Jowisz po prawej, trzymał pioruny, któremi miotał nieustannie. Na kolanach piastowali oboje białego orła w gnieździe, przedstawiając tym sposobem mądrość i potęgę, cechujące podówczas rzeczpospolitę polską. Za tym wspaniałym rydwanem bożków panujących, postępowało pieszo czterech Satyrów, naśladujących wyśmienicie postacie, pod jakiemi ich pojmowali starożytni.

W pewnem oddaleniu za tym obrazem, szedł sam jeden rycerz starożytny. Był to mężczyzna ogromnej postawy, uzbrojony od stóp do głowy. W lewej ręce trzymał tarczę, przedstawiającą pośród narodowych kolorów niewinność i nadzieję, to jest wiarę w dobrą sprawę.

W takiem samem oddaleniu po za nim, postępowała Dyana przystrojona w zielone jedwabie. Otaczało ję czternaście Nimf, także zielonym jedwabiem pokrytych; za niemi i naokoło nich biegało mnóstwo chartów. Cały ten po-

chód zamykały dwa wspaniałe, a zupełnie przyswojone jelenie. Nimfy przedstawione były przez panny odznaczające się pięknością, zaś Dyaną był młody Stanisław Żółkiewski, którego staraniem obraz ten urządzonym został.

Czwarty pochód był zbliżonem naśladownictwem wjazdu na kapitol zwycięzkich imperatorów rzymskich. Na czele jego posuwał się łuk tryumfalny, niesiony przez ludzi ukrytych wewnątrz. Na nim stały po brzegach posągi sławy, i inne, przedstawione przez żywe osoby; pośrodku był stosowny napis łaciński. Gdy brama zbliżyła się już wprost króla, stanęła przodem do niego a po pod nią przesuwały się legiony wytwornie przystrojone; ich broń wszelka była złocista. Na czele szli trębacze; za niemi rozmaite oddziały jazdy; dalej rozmaita piechota. Z tyłu tych wojsk prowadzony wozy, napełnione zdobyczą wojenną; po za niemi szli dostojnicy państwa.

O kilka kroków dalej posuwał się nizki, płaski a szeroki wóz, na którym stała dziewica uwieńczona wawrzynem. Za nią jechali konno trzej bracia, wojewodzice Słuccy, którzy ten pochód tryumfalny urządzili, ubrani jako rycerze rzymscy. Skoro się już znaleźli wprost króla złożyli u stóp jego wieniec bluszczowy, a jeden z nich wygłosił mowę na cześć króla w języku łacińskim.

Gdy pochód poruszył się z miejsca, ujrzano dwukołowy wóz tryumfalny, podług zwyczaju rzymskiego, ciągniony przez cztery białe, bogato przystrojone rumaki. Wóz ten zadziwił wszystkich swoim ogromem i okazałością. Na jego wyniesionym przodzie stał orzeł; wewnątrz łucznicy strzegący znakomitych jeńców, a za niemi dziewica, trzymająca w jednej ręce złotą koronę, w drugiej kłosy pszenicy. Tył wozu zamknięty był trzema strzałami. Od grotów tych strzał spadały trzy łańcuchy, krępujące za paszczę potwór niezgody.

Za wozem postępowało mnóstwo jeńców płci obojej, rozmaitego stanu i wieku. Kobiety niosły lub prowadziły dzieci, mężczyźni mieli ręce powiązane na plecach. Pośród nich uwijał się śmieszek, urągając się pokonanym a zale-

cając ludzkość zwycięzcom. Ten pochód tryumfalny zamykało liczne grono doborowych muzyków i śpiewaków z uwieńczonemi głowami, poprzed któremi szła służba, paląca obficie najwyszukańsze kadzidła. *)

Przedostatnim obrazem był bożek miłości, chłopczyk złotowłosy, nagi, z kołczanem na plecach, siedzący na wyniesieniu urządzonem w środku wozu, który ciągnęło sześć koników skrzydlatych. Naokoło bożka siedziały lub leżały dziewczęta lekko przykryte i nucące tkliwe pieśni. Orszak ten urządził młody Osiecki syn kanclerza koronnego.

Ostatnim wreszcie obrazem była bogini piękności, posuwająca się na dwoch muszlach. Trzymała ona wieniec cnoty, który złożyła w ręce panny młodej.

Po tym ostatnim obrazie rozrzucono między lud mnóstwo medalików srebrnych, odbitych na pamiątkę tej uroczystości. Tu wszystko się poruszyło z miejsc swoich; zgiełk i uśmiech zadowolenia wśród tłumu, a pochwały sypiące się z ust pań i panien, były nadgrodą trudów podjętych przez młodzież pragnącą uczcić wielkiego króla i wielkiego żołnierza-obywatela.

Igrzyska zakończyły się już późno w noc i przy pochodniach. Zgromadzenie rozeszło się na wezwanie heroldów, a dzień następny i ostatni poświęconym był uczcie i rozrywkom pokojowym, które równie jak poprzednie, nie wchodzą już w zakres opisów naszych.

Jest rzeczą godną uwagi, że gdy na zachodzie i południu turnieje składały się niemal z samych utarczek, i to bronią tępą, Polacy woleli rozrywki innego rodzaju, a mięszając do nich przez naśladownictwo może, rycerskie rozprawy, rozprawom tym pozostawili ich rzetelny, wojenny charakter.

---

*) W opisie obrazu powyższego szło więcej o wierne przedstawienie jego okazałości, oraz szczegółów z których się składał, niż o ściśle historyczną treść. (Patrz poprzednie wydanie IV. 49.)

Turnieje ustawać zaczęły w całej Europie w 17 stuleciu; u nas ślad ich zaginął od Jana Kazimierza. Stanisław August chciał je wskrzesić, i wyprawił je przy odkryciu pomnika Jana III, ale były one, powiada Wojcicki, tak podobne do starożytnych igrzysk rycerskich, jak Poniatowski odwagą i sercem do Stefana Batorego. Wszakże znikające już ku końcowi 16 wieku rozrywki i popisy publiczne, nie zmieniły były jeszcze podówczas przyjętego w Polsce trybu wychowania młodzieży szlacheckiej, której przeznaczeniem było służyć z czasem ojczyźnie radą i orężem. „Jak niegdyś młodzież rzymska na *forum*, tak młodzież polska na domowych błoniach, wprawiała się troskliwie w siłę, zręczność, odwagę i przytomność, wykonywując rozmaite ćwiczenia gimnastyczne. Nie uczyła się ona jak dziś skakać na szczudłach, lub wywracać kozły na linach; gry rycerskie, powiada Kazimierz Wojcicki, rej wiodły w jej wychowaniu; ztąd też, są słowa jego, zaledwie pacholę chodzić i władać mogło, już choć dziecinnym szermując orężem, ścinało głowę drewnianym Turkom w zawojach, zrzucało baranie czapki figurom Tatarów; dosiadało wcześnie koni, nabierając zręczności i siły. Doroślejsza młódź, w pełnym biegu ze siodła, rzuconą czapkę w górę przeszywała strzałami, lub leżącą na ziemi podnosiła ręką. Ciskali (rzucali) topory i młoty husarskie, a w pędzie konia w powietrzu za rękojeść chwytali. Trafiali z łuków do kółek zawieszonych, albo kopiami zrywali je w czwale. Pieszo przesadzali rowy; w pełnym biegu zeskakiwali ze siodeł; wprawiali się rzucaniem kamieni i kół ciężkich w górę.“ Takie było ćwiczenie codzienne całej młodzi szlacheckiej w starożytnej Polsce; dodajmy do tego łowy w ogromnych kniejach, gdzie nie dnie, ale tygodnie całe bez dachu, na słocie, zimnie spędzano, a będziem mieli choć przybliżone wyobrażenie tej ustawicznej pracy ciała, którą hartowano się, i oswajano ze zmianą powietrza, z niebezpieczeństwem. Z takiej to szkoły wyszli ci rycerze dzielni, o których mówi Orzechowski:

„Nie na burgu (bruku) ale na polu, nie w tańcach

ale w szańcach, nie w maskarze (masce) ale w kirysie, nie na biesiadzie ale na walce gardłują, wiek swój trawią służąc królowi i wszystkiemu królestwu, które nie nogami ku tańcu, ale trąby ku harcu budzą; którzy nie myślą, jakoby się pannie podobać, ale jakoby się z nieprzyjacielem na świtaniu potkać. Tacy byli *Sieniawscy, Starzechowscy, Jazłowieccy, Struś, Zamośćki, Tarło, Secygniowski.*“

Pominąć tu nie możemy jednego szczegółu, odnoszącego się także do dziejów naszych.

Przytoczyliśmy wyżej opis pojedynku uważanego jako sąd boży, do którego też upoważniał, a niekiedy nawet go nakazywał na zachodzie, już to sąd złożony ze szlachty, już też panujący, jako najwyższy sędzia w kraju. Sądy te, wypełniające próżnię, której nieudolne jeszcze prawodawstwo ziemskie wypełnić nie umiało, były rzadkiem w Polsce zjawiskiem. Pismo poniższe, którem opowiadania nasze zakończymy, jest podobno jedynym u nas pomnikiem pozostałym po rozprawach tego rodzaju.

„Ceduła, czyli zapis na sądy boże między Mikołajem Turskim i Mikołajem Smolikowskim. 1511 r.

„Czeduła a Zapyss w rzeczy niżej wypisanej między szlachetnymi Mikołajem Turskim ze strony jednej, a Mikołajem Smolikowskim z drugiej strony, tak jakoż to dosyć każdemu z pisma niżej napisanego szerzej jawno będzie.

„Jakoż się przed nas wystąpili szlachetny Mikołaj Turski ze strony jednej, a szlachetny Mikołaj Smolikowski ze strony drugiej, a z tej przye (sporu) i różnicy, która się toczyła między niemi przed nami. Prosili się nas pokornemi prośbami, abyśmy im dworu naszego posprzeli a dozwolili. My słysząc prośby obopólne, dworu im naszego dozwoliliśmy a posprzieliśmy (użyczyliśmy). A iż się każdy z nich ma zachować przy tej bitwie, co się zbroi, broni, koni, miejsca, dnia i godziny dotycze, wedle tego jako jest na tej wirzanej (wyrzeczonej) cedule niżej dostatecznie wypisane.

„Item zbroje ku bitwie jednej każdej stronie jak to im wydamy.

„Item przedny a żadny plach (tylna blacha) bernyenye rukawy (bernija po starosł. pancerz; bernienie rukawy, pancerzowe rękawy) a schorcz (szorc, fartuch skórzany). Item myski plechovicze (miski blaszane) a nakolanki, a odkolanka nadół aż do podeszwy ani żadne plechowye (blaszane) rzeczy ani pancerzowe nie były, jedno nogawica proste sukienne a skornye (buty) proste skorzane i ostrogi. Item co się głowy albo karku, albo szyi dotycze, aby głowa a kark jeden każdy z nich sobie opatrzył plechem a bernieniem (pancerzem) jakoż kto najlepiej módz a umieć będzie. Item broń takową aby przy sobie mieli, naprzód drzewo (dzidy), miecz a tesak to jest kord, a żadnej innej rzeczy, bądź to małej albo wielkiej, to jest stpicze (ćpice, proce) deki, noża...“ Dalej król Zygmunt określa uzbrojenie konia; wreszcie oznacza czas i miejsce odbyć się mającego pojedynku.

Oto krótki, niedość zapewne dokładny, ale, oile być mogło, wierny obraz igrzysk i pojedynków, które stanowią jednę z cech średniowiecznych pojęć i stosunków. Czasy te, te obyczaje przeminęły niepowrotnie, bo w życiu narodów nic się nie powtarza pod tym samym kształtem i w tym samym kierunku. Zgromadzenia naukowe, polityczne i przedsiębiorcze usunęły zbory szermierzy, a sprawiedliwość wyrozumowana, wciska się coraz silniej w miejsce, z którego rozjaśniony sąd powszechności wyparł dzikie mordy, zwące się sądami bożemi. Reszty tych popędów i tych przywidzeń błądzą dotąd między nami; prawo mocniejszego jest jeszcze najwyższem na ziemi prawem; ono tak długo być niem nie przestanie, pokąd to co jest zbrodnią w życiu ludzi pojedynczych, nie przestanie być cnotą i sławą w zakresie życia państw i narodów całych; pokąd okupione krwi potokami bezpieczeństwo osobiste i wolność osobista pojedynczych ludzi, nie przejdą w prawo zbiorowe, w najwyższy kodeks narodów, odprawiających dotąd igrzyska z ludami, które się stały losu igrzyskiem. Bóg da, i te przeminą.

II.

DO......

(List treści moralno-społecznej).

Opierając się na długoletniem a serdecznem przywiązaniu mojem do Was, przesyłacie mi zadanie, które nie łatwo zdołam strawić i rozwiązać. Donosząc mi, że syn Wasz ukończył właśnie nauki i wkrótce zajmie samoistne stanowisko, żądacie, abym mu udzielił z mojej strony kilka ogólnych uwag, któreby przy wejściu na świat szeroki zwróciły jego uwagę na to, co w nim jest przeważnie uderzającem; któreby mu zarazem dopomódz mogły w tej długiej a niebezpiecznej podróży. Trudne to, bardzo trudne zadanie. Przebaczcie mi, jeźli z niego wyjdę koszlawo. Czego tu brakować będzie, łatwo sami uzupełnicie; to co znajdziecie zbytecznem, przypiszcie gadulstwu, podeszłemu wiekowi i gorzkim stosunkom, wśród których kończyć go muszę.

W młodszym wieku i swobodniejszem położeniu lubiłem pisywać a nawet drukować dorywcze rozprawki i artykuły treści, o które Wam właśnie chodzi; ponieważ zaś pojęcia i przekonania moje nie zmieniły się w tej mierze, nie odstępując przeto od nich, powiem tu, co byłbym powiedział, lub co powiedziałem rzeczywiście podówczas.

Oto jest zapatrywanie moje na ruch ludzkości wziętej zbiorowo, na przeobrażenia, jakie przechodzi pojedynczy człowiek, równie jak na węzły które go łączą z powszechnością.

Ktokolwiek chociaż raz w życiu poświęcił chwil kilka rozważaniu losów ludzkości, ktokolwiek schwycił myślą, chociażby tylko w głównych zarysach koleje, jakie ona

przechodziła w długim wieków szeregu, podziwiać musi potęgę jej niestarzejącego się nigdy życia, pełnego cnót i zbrodni, wielkości i niedołęstwa, mądrości i dziwactw. Przemykający się po tej majestatycznej scenie świata aktorowie, ustępują z przed oczu naszych bez powrotu, przekazując następcom swoim wielkie role, których nikt nie zna początku, nikt nie przewiduje rozwiązania; bo tylko pojedyncze sceny są życiem pokoleń, całość jest nieśmiertelną ludzkością. W natłoku tej okazałej widowni znikają niedostrzeżone jednostki. Niektóre wyskakujące nazewnątrz imiona są raczej piętnem, skazówką, znaczącą w odstępach przebytą podróż, a nie oderwanemi całościami; są soczewką zbierającą rozstrzelone światła, ściśniętym wieku obrazem, wypływem myśli współczesnej. Dlatego pomijając zewnętrzną tej sceny wystawność i gladiatorów walczących, jeźli nie już dla zabawy, to dla chciwości lub dumy tych, którzy ich przeżyją, pomijając huk dział i krew pstrzącą jaskrawo okazały życia powszechnego widok, dostrzegamy jeszcze w głębi tej mięszaniny coś, czego okiem nie dopatrzy: myśl towarzyszącą każdej scenie, myśl przodkującą jej ruchowi, ducha pokoleń, wieków cechę.

Na sile ramienia zbudowana starożytność rozpadła się na dwie części: na panów świata i ludzkich niewolników. Przeniosłszy w nadziemskie krainy wszystko, co było podziwu, cześci i żądzy przedmiotem na ziemi, podwoiła potęgę człowieka, wzbiła go ku niebu, spokrewniła z bogami, stworzyła świat olbrzymów, ród półbogów. Zbytek sił, zbytek życia, rozsadza wkrótce tę naprężoną społeczność. Dzikie, półnagie hordy zalewają świat cywilizowany, depcą uprawioną rolę i jakby wstydząc się sami siebie, niweczą i zagładzają dzieła rozumu, świadka i sędziego swojej dzikości. Wnet noc czarna powleka spłoszoną ludzkość. Zdało się, że się przerwał łańcuch jej życia, i że ta istnienie swoje od pierwszego zaczyna ogniwa. Lecz niebawem ucicha rozchwiana w ciemnościach atmosfera; blade gdzieniegdzie gwiazdy występują na jej horyzont, a zmięszane plemiona poznają w sobie ludzi przy ich świetle. Ludzkość

jednak wychodząc z tego zamętu, nie znalazła dróg, po których przeszła wieki dawniejsze; zatraciła wspomnienia i pomniki; zaczęła zbierać leżące tu i owdzie odłamy; chwytała za wszystko bez wyboru, co było dawnego życia śladem, lub świeżym pokarmem; zmięszała klasyczną przeszłość z surowem jeszcze przyszłości życiem. Resztki starożytnych praw rzymskich, siła barków rozgęszczającego się w zdobytych posiadłościach Germana, zabytki greckiej kultury, cześć dla kobiet z północnych przyniesiona lasów, wreszcie zasiane przez chrześcianizm miłość bliźniego i litość nad słabym, uczucia nie łączące się z sobą, często sprzeczne, zlały się w jedno dziwaczne pojęcie. Bujna, bo świeżo z przerażenia wyszła wyobraźnia, zmięszała miłość płci ze świętością, krew ze łzami, mordy z miłosierdziem, sprawiedliwość wieczną z trafem ślepym, wolę Boga z przemocą ramienia, ewangelię z prawami Arystotelesa. Cześć religijną przysądziła kobiecie, a rozkołysane na jej łonie uczucia i żądze rozciągnęła do istot niebieskich. Rozprzężona chwilowo ludzkość układa się w stopnie i karby nieznane starożytnym; a łącząc wzajemną zawisłością idące po sobie społeczne pokłady, przygotowuje budowę całości, tę najwyższą a może ostatnią towarzyską pracę. Krótkie jest życie człowieka; ludzie pragną zamieszkać jeszcze sami rozpoczęte przez siebie gmachy; pospiech roztrąca niewykończone dzieła, przysypuje rozwalinami łaknących pracowników. Krwi strumienie broczą ludzkość mordującą się nawzajem na chwałę prawd odwiecznych, których nie pojmowała, lub w obronie doczesnych, wprzód nim je sobie wyrobiła.

Tak tedy każdy wiek, wiek nawet chwilowego przejścia ma swój charakter, nosi odrębne właściwe mu znamię, znikające z przed oczów zbyt już oddalonego widza, nie dostrzeżone przez współczesnych, bo obraz jest zbyt wielki, by go można z bliska przejrzeć w całości.

Mówiąc o ludzkości w ogóle, o jej ruchu, postępie, cofaniu się, rozwoju, mamy zwykle na względzie jej męską połowę; bo w niej objawia się siła na zewnątrz, bo wi-

dzialne skutki ogólnego pochodu i wielkich przeobrażeń są jej ramienia dziełem lub urzeczywistnieniem w jej łonie wyrobionej idei. Oto, jak mi się przedstawia cała przestrzeń znanych dziejów świata.

Mówiąc o obyczajach wstępujemy do szczegółów, wchodzimy pod domową strzechę, stykamy się z pojedynczemi wielkiej całości częściami, opuszczamy niejako ludzkość, a widzimy ludzi tylko. Tu, skryta przed wrzawą burzliwego życia kobieta, całą swoję rozwinęła potęgę, i z tego zakątka zasięga, jakby czarodziejską różdżką, najodleglejszych społecznych poruszeń. Jużto uważana jako prosty środek zachowania rodu od zagłady, już też wyniesiona nad poziom rzeczy ludzkich, umiała ona zawsze uledz mężnie przeważnej sile opiekuna, tu osładzając mu własną niewolą jego dziką niesforność, tam pożyczonym z nieba urokiem studząc wrzące jego namiętności, lub budząc uspione jeszcze cnoty.

Uderzającą jest różność usposobień płci obojej. Patrząc na oderwane, pojedynczo stojące jednostki, zdawałoby się, jakoby życie ich z różnego wypływało źródła, i po oddzielnej posuwało się drodze; rozwój ich jednak tak ściśle połączony jest z sobą, ich obyczaje, nałogi i uczucia tak zawile wplatają się jedne w drugie, że niekiedy trudno jest powiedzieć, która z nich przeważniej wpływa na drugę. Jeżeli w czasach heroicznych lub u półdzikich plemion kobiety kryją się niedostrzeżone poza wydatnym społecznym ruchem, to występują one naprzód w wiekach Ludwików, przewodzą w rozrzuconych, drobniejszych towarzystwa kołach. W każdym dziejów ustępie zajmują one właściwe sobie miejsce, a obraz któryby nie objął tej rodu ludzkiego połowy, stałby się suchym i martwym, jak suchem byłoby życie bez miłości, wdzięków, uroku i poezyi.

Cóż jest piętnem dzisiejszych społecznych obyczajów? W jakiemże świetle odległym pokoleniom przedstawią się współczesne nam dzieje? Cóż dziś znamionuje mężczyznę? Którejże dziś bogini płeć nadobna wonne pali ofiary?

Senatorowie niezepsutego jeszcze Rzymu przywdziewali

togi tkane ręką żon swoich, których życie nie przekraczało domowego progu. Spartanki więcej się pyszniły swojemi synami, niż Spartanie dziełami swemi. Te niepowabne wieki przeszły dla nas bez powrotu.

Piękniejszym zapewne i więcej zajmującym jest widok średniowiecznego życia pełnego przygód, cnót i namiętności. Lecz gdzież szukać owych czytać nieumiejących znakomitości, owych mężów okutych, szeleszczących zdaleka zbroją, noszących miecz przy boku, psałterz pod pachą, a przepaskę damy u przyłbicy? Zmięszana dziś po miastach ludność, otworem stojące skromne po wsiach dwory, zatarły pamięć warownych, ciemnych i posępnych, na urwiskach skał samotnie zawieszonych zamków. Krzątna domu pani, i śmiała acz skromna, niewinna acz niekiedy zalotna młoda dziewica, odebrały berło owej dumnej, pobożnej, w głębi murów skrytej piękności. Dzisiejsza życia lekkość, poufałość i zaniedbanie, rozstroiły całej przeszłości rygor.

Mężczyzny powołanie i kobiety stanowisko, tak jak cała budowa obecnej społeczności otrząsającej się z pleśni zastarzałych nałogów, nieżyjącej jeszcze życiem własnem, są wątpliwe i chwiejne. On wymuszony i chromy, ona upstrzona w dziwactwa, dźwigają zabytki różnych przeżytych już wieków, i jakby własnej niemający odzieży, stroją się w niezużyte resztki szat swoich dziadów i babek.

Życie polityczne i cywilne będące nieprzerwanej pieczołowitości ludzkiej przedmiotem, rozwija się szybciej od domowego, lubo tamto na tem wzrastaćby powinno.

Wbrew wrodzonemu rzeczy porządkowi obyczaje zdążają leniwo za ustawą i na niej się kształcą. Obyczaje zstąpiły ze swego wysokiego stanowiska, zostawiając pierwszeństwo rozleglejszym widokom, wydatniejszym celom; dla tego prawami obwarowane u starożytnych, religijnie czczone w czasach kawalerskich, dziś zaledwie zwracają uwagę czyję; wygnane z kodeksów i świątyń, plączą się po powieściach i balladach, lub w cichości kryją się po sercach prawych, zamieszkują piersi nieustudzone, miłujące ludzkość i przyszłość.

Tu oczyszczające się z doczesnej przewagi, przesądów i nadużyć religijne pojęcia; tam człowieczeństwo odzyskujące zadawnione prawa, obudziły spiące przez długie wieki uczucia swobody; a nadużywając jej imienia, rozprzęgły moralność, jej powagą zagłuszyły uległość, jej świętością wyszydziły świętość. Są to naturalne chwile przejścia, okresy łączące wielkie przeobrażenia. Dziś błądzimy między tem co znikło, a tem co nie nadeszło jeszcze. Zrównani niemal w majątkach, chcemy jeszcze jaśnieć przepychem suzerenów; podciągnieni pod jednolitość praw, odgrywamy rolę dawnych wyłączeń; za leniwi by pracą zdążać za wiedzą wieku i godnym wieku swego ozdobić się wieńcem, świecimy pożyczanym lub kupionym blaskiem. Zamiast uchodzące krótkiego życia chwile łowić chciwie ku umysłowemu wzbogaceniu, zabijamy je przy zielonym stoliku, jedynym pocieszycielu zbyt długo wlekącego się w nieuctwie żywota; lub podobni do półdzikich Germanów, poruczających grze w kostki osobistą wolność, stawimy na kartę nasz honor i mienie dzieci naszych. Uzbrojeni w niedoważone sofizmata, wyszydzamy wiarę i dobroduszność przodków, a na wzór ciemniejszych jeszcze wieków pojedynkiem rozstrzygamy spory nasze *); oddając cześć rozumowi, więcej się wstydzimy lichej odzieży niż głupoty, więcej pracy niż jałmużny.

Każdy wiek zapewne miał swoje dziwactwa, każdy zarywał przeszłości, każdy w przyszłość sięgał; a jeżeli szczegółowe dzisiejszego życia stosunki żadnej właściwej

---

*) W niektórych stanach Ameryki wyzywający i wyzwany na pojedynek, uznanymi są sądownie za pozbawionych zdrowego rozsądku i jako tacy oddani do domu obłąkanych, gdzie ulegają jedno lub dwuletniej kuracyi nie różniącej się od zwykłego leczenia. Projekt ustaw ułożony przez Andrzeja Zamojskiego z polecenia sejmu r. 1776 stawia pojedynki na równi z morderstwem zwyczajnem, podczas gdy te w całej zachodniej Europie uważane jeszcze były jako przywilej honorowy ludzi *należących do stanów wyższych.*

sobie nie noszą cechy, trudno nieprzyznać, że wiedza ludzka, że zatem ludzkość cała, szybkim ku doskonałości postępuje krokiem. Przy tym ogólnym rozumowym poważnym pochodzie znikają pojedyncze wybryki; on porywa tych, co się chcieli o przeszłość zahaczyć; wstrzymuje tych, co pragnęli wyścignąć współczesność; a piętnem pogardy naznaczając ludzi, którzy w wieku ducha pełnym, w wieku umysłowego życia ciałem tylko żyć umieją, wiedzie człowieczeństwo na to wzniosłe przeznaczenia swego stanowisko, gdzie w pełni dostrzeżona prawda oddzieli stanowczo człowieka od zwierzęcia, i całą jego potęgę w jego umysłowej skupi połowie.

Na wstępie listu tego prosiłem Was o pobłażanie i przebaczenie mi gadatliwości, tej zwykłej podeszłego wieku przywary. Co do syna Waszego, widzę ztąd, jak serdecznie ziewać zaczyna, ale mnie to nie odstrasza wcale. Niech sobie wyobrazi, że już zasiada w radzie gminnej lub powiatowej, na sejmie lub w sądzie przysięgłych, na posiedzeniu towarzystwa rolniczego lub na zebraniu ludowem. Tam napotka większych odemnie gadułów, a jeżeli siedząc z niemi twarz w twarz, przyzwoitość każe mu się wstrzymać od ziewania, to ja nie wzbraniam mu bynajmniej tej ulgi i pociechy. Więc idę dalej; a mam nie mało jeszcze do powiedzenia.

Życie człowieka w stanie przyrodzonym uważane, da się rozłożyć na dwie potęgi: pierwsza budzi w nim ruch, to jest właściwe życie, — jest zatem bodźcem działalności jego; druga ruchowi temu nadaje pewny kierunek. Pierwszą jest potrzeba, czucie, imaginacya; drugą sąd, a niekiedy instynkt. Cnota, to jest, obowiązek względem innych, jest już tylko dziełem sztuki, zatem wypływem społecznych stosunków. Stopień i rodzaj wykształcenia, stanowi o stopniu rozsądku; moralne zaś, to jest uczuciowe urobienie serca, rozwija właściwą cnotę, i pierwszę z dwoch danych potęg podciąga pod wpływ drugiej.

Bez pragnienia człowiek byłby bezczynnym i martwym; bez rozsądku czyniłby źle i dobrze bez różnicy; bez cnoty

byłby myślącym głazem, pustelnikiem wśród zaludnionego świata.

Trzy te siły rozwijają się w człowieku koleją w jakiej je powołałem. Pierwsza najwięcej fizyczna objawia się przeważnie w pierwszej zaraz młodości; druga rozwija w miarę doświadczenia i nabytej wiedzy; trzecia jest zwykle przypadkowym tylko wypływem drugiej, rzadko oddzielnej nauki nabytkiem.

Dwie pierwsze mają zaród wrodzony; istnieją przeto, acz w rozmaitym stopniu zawsze i wszędzie; trzecia jako dzieło społeczne jest zmienna i tak różna, jak różne są postacie i warunki społeczeństw istniejących; zkąd pochodzi, że co jest cnotą w jednym dziejów okresie, może być występkiem w drugim. Pierwszę tak silnie zakorzeniła w nas natura, że ku rozwinięciu jej człowiek dopomagać nie potrzebuje. Druga jest owocem wysokich wysileń, niemal wyłącznym wychowania celem. Trzecia najwięcej zaniedbana, rozwija się prawie sama, i otyle, oile sprzyjające towarzyszą jej okoliczności.

Edukacya nie zaniedbuje wprawdzie tej trzeciej towarzyskiej potęgi; uczymy się na pamięć nazwisk i definicyi wielu cnót i wad; wiemy jakie z nich płyną korzyści i straty; jakie obowiązki wkłada na nas życie społeczne; ale to wszystko kształci dopiero nasz sąd, jest więc jeszcze dalszym ciągiem, rozwoju drugiej potęgi, rozsądku, nie sięga trzeciej, bo nie wprawia naszej woli; — możemy pojmować co jest dobre, a przecież złe czynić. Aby cnota towarzyszyła czynom człowieka, musi ona stać się jego nałogiem, musi się zlać z jego naturą; naturę zaś człowieka urabia praktyka wsparta teoryą; żadna sucha teorya nie nauczy rąk rzemiosła, serca nie ułoży do cnoty.

Cnota, uczucie obowiązku względem innych, kształci się w nas pośrednio tylko. Wspólne życie szkolne uczy młodzież stosować się do drugich, uledz niekiedy drugim, poświęcić coś ze swego dla drugich. Późniejsze stosunki, zawisłość wymuszona, praca każda wymagają panowania nad sobą, zniewalają do porządku, uczą cierpliwości, pro-

wadzą zatem do cnót, nie założywszy sobie celu tego. Cnoty społeczne rozwijają się przeto dziś w towarzystwie ludzkiem otyle, oile bez oddzielnego usiłowania, bez oddzielnej nauki, bez praktyki podobnej do tej pod jakę inne nauki podciągamy, rozwinąć się mogą.

Utrzymują niekiedy, że umysłowe wykształcenie wystarcza do wykształcenia serca zarazem. Nie widzimyż codziennie umysłowo wykształconych zbrodniarzy tryumfujących bezczelnie, lub uchodzących za cnotliwych przez to tylko, że czynom swoim umieli zręczny nadać kierunek; obejść cnotę, zamiast ję znieść na przebój, i innym blaskiem przyśklnić to, co prostak i nieuk na publicznej wykonywa drodze? Widzimy też nieraz ludzi uczonych bez obyczajów; ludzi pięknie rozumujących, a złe prowadzących życie; liberałów w teoryi, a despotów w praktyce. Te sprzeczności wydatniejsze są w epokach i u ludów, gdzie zbytnia troskliwość kształcenia wiedzy ludzkiej, a zaniedbanie strony uczuciowej, naprowadziło na mylny domysł, jakoby nauki przyczyniły się do zepsucia. Przytaczają nam statystyczne podania mające udowadniać, że gdzie lud umie czytać i pisać, tam mniej bywa zbrodni. Nie wiem, oile twierdzenia te okazałyby się prawdziwemi, gdybyśmy zestawili kraj nasz z innemi krajami; ale przypuściwszy, że tak jest istotnie w ogóle, to jeszcze twierdziłbym raczej, że gdzie się lud uczy, tam jest byt lepszy, a gdzie byt lepszy, tam rzadsze występki.

Do cnót ułożyć można serce, jak układamy rozum do nauk; równie można na *drodze praktycznej* urobić uczucia, jak urabiamy rozsądek; do cnót człowiek ma talenta równie jak do nauk. Do przyjęcia umiejętności urabiamy stopniowo pojęcie; do przyjęcia cnót urabiać należy *wolę* człowieka; lecz do urobienia woli wprawa tylko prowadzi, bo tylko przez wprawę człowiek nad sobą panować się uczy.

Wykształcenie moralne, zakorzenie cnót, jest rzeczą najwyższej wagi dla pojedynczych ludzi i dla ogółu. Bez niej znika cała wartość ciała i umysłu. Ułożenie ciała jest mechanizmem; pragnienia serca przejmują niepokojem,

trawią życie człowieka; umiejętność sama ma coś suchego, zamyka się wewnątrz nas samych, zostawia niezaspokojone uczucia, cnotom tylko towarzyszy pokój, swoboda, pewność samego siebie i wewnętrzne zadowolnienie; bo celem cnoty jest szczęście powszechne, a przyczynienie się do niego jest najmilszem prawego serca uczuciem.

Jak u kobiety tak u młodzieńca w wieku środkującym pomiędzy dziecińśtwem a dojrzałością, uczucie jest duszą rzetelnie ludzkiego jestestwa. W rzędzie rozlicznych uczuć, miotających wewnętrznem życiem człowieka, najgorętszem jest miłość, najspokojniejszem przyjaźń. Pomijam pierwszę, bo ta wciska się sama, często niestety przedwcześnie i nieszczęśliwie; o drugiej słów parę.

Nie masz współczucia, któreby wyżej ceniono, a przecież niema wyrazu, któryby z większą lekkomyślnością wymawiano jak przyjaźń. Przyjacielem nazywamy człowieka, który przez zacność i ludzkość przyniósł nam pomoc w danym razie; przyjaciołmi nazywamy tych, którzy stając się nam usłużnemi, bez kosztów i narażenia jednają sobie życzliwość, poważanie, dobre imię; przyjaciołmi wreszcie są ci także, z któremi spędzamy chętnie chwile wolne, bo ich sąd o rzeczy, ich stopień wykształcenia, ich stanowisko odpowiadają naszym, a tem samem pożycie z niemi przyjemnem nam czynią.

Starożytni nie wierzyli w przyjaźń prawdziwą, przenieśli ję poza ziemskie życie, ubóstwili w Kastorze i Poluksie; oni w nię wierzyć nie mogli, bo u nich kobieta była własnością, poddanką, niewolnicą. Kato zapożycza żony u przyjaciela, by silnego ojczyźnie zostawić potomka; mnogość sług, koni i żon jest dotąd na wschodzie znamieniem bogactwa i godności. Chrześcianizm postawił kobietę na równi z mężczyzną, a cywilizacya przyznała jej wyższe nawet stanowisko we wszystkiem, co jest ozdobą i uprzyjemnieniem towarzyskiego pożycia. Kobieta jest przedmiotem miłości, ona też, i ona tylko może być źródłem przyjaźni.

Miłość jest uczuciem gwałtownem, palącem, ona jest

niepokojem i walką uczuć wszystkich; ona jest natężeniem a natężenie trwać nie może długo; — miłość musi osiągnąć cel ulubiony, lub zgaśnie brakiem sił własnych; jej ostatnim celem jest małżeństwo. Cel osiągniony jest szczytem, po za którym wyprężenie wolnieje, ogień gaśnie, miłość utraca swoje cechy, ona musi zmienić swoję naturę, lub rzucić się w ostateczność przeciwną: *ona musi stać się przyjaźnią lub nienawiścią.*

Radbym, aby syn Wasz uwierzył w tę prawdę tak święcie, jak ja w nię wierzę; radbym aby uwierzył, że przyjaźń prawdziwa, wzniosła, nieograniczona, tu tylko istnieć może; ona jest przedłużeniem i płodem miłości. *Napróżno szukałby jej gdzieindziej.*

Harmonia uczuć i pociągliwość wzajemna nie wystarczają do skojarzenia przyjaźni prawdziwej; ona nie zna wyrazów: „moje i twoje“; ona nie postanawia nigdy: „to powiem, a to zataję“, bowiem jak dwoiste jest istnienie człowieka żyjącego ciałem i duchem, tak dwoista wspólność łączyć musi przyjaciół rzetelnych i niezmiennych. Tej dwoistej wspólności szukałbym także napróżno gdzieindziej.

W miarę jak miłość stygnie, osłabiona własnem wysileniem, rozgaszcza się przyjaźń; w miarę jak tamta płowieje, ta coraz głębsze zapuszcza korzenie. Ta jedyna na świecie przyjaźń, jest także jedynem na świecie szczęściem; szczęściem prawdziwem jak ona, dośmiertnem jak ona.

Gdy mąż trawiony gorączką świeci ze śmiertelnego łoża rozpalonym policzkiem i zbłąkanem okiem, jego żona druga połowa jestestwa jego stoi przy nim jak upiór blady i wyschły; ona cierpi więcej od niego; on boleje nią więcej niż sobą. Gdzież poza niemi napotkasz ten obraz pełen wspaniałej boleści! Te dwa jestestwa tworzą jedno; one też tylko związane są *przyjaźnią prawdziwą.*

Wszakże podczas gdy w małżeństwach młodych śmierć unosząca jedno z dwojga, rzuca drugie w stan rozpaczliwy, łamie jego siły, rozstraja duszę, — śmierć unosząca jedno z dwojga w małżeństwie starem ale szczęśliwem, zapuszcza w to, które pozostało przy życiu krople trucizny powolnej,

zanurza je w smutku cichym, otacza kirem żałoby, która już nie spadnie z niego.

Tam naprężenie żalu jak naprężenie miłości długo trwać nie może; niezaspokojone jeszcze pragnienia osieroconej połowy szukają wkrótce nowego uczuć swoich celu; tu osamotniony wygląda spokojnie, ale w głębokiej tęsknocie chwili, w której ślubem wiecznym odnowi rozerwane śluby na ziemi; bo przyjaźń prawdziwa — pozwólcie mi powtórzyć — jest tylko jedna na świecie; ona powstaje tam, gdzie przed nią stała miłość prawdziwa, gdzie była wspólność uczuć, myśli i istnienia.

Dziwaczejący w wieku podeszłym ludzie stanu wolnego, nie znali nigdy wolności ani szczęścia, dlatego też ich znamieniem są dziwactwa i samolubstwo. Niech syn Wasz umie wybierać, a stanie się szczęśliwszym od wielu szczęśliwych pozornie.

Kto zwiedził pół świata tak jak Wy i ja, nie posztą i koleją, ale pieszo i na wozie, — nie ze stolicy do stolicy, a z hotelu na operę, ale z miasta na wieś, a ze wsi do miasteczka, ten nie mógł niedostrzedz, jak podrzędne stanowisko w towarzystwie niemieckiem zajmują żony kupców, rolników, przemysłowców, urzędników. Kto tego sam nie widział, ten żywy obraz tych stosunków napotkał w listach z Drezna Kraszewskiego, i w wielu innych opisach. U nas rzeczy ustawiły się zupełnie przeciwnie.

Podczas gdy Niemcy przechowują może zbyt długo obyczaje Germanów Tacyta, my od dwoch wieków przerzuciliśmy się w „kawalerstwo“ średniowieczne, lubo to nie istniało u nas nigdy. Żony Niemców nie biorą zwykle żadnego udziału w ważniejszych sprawach rodzinnych i majątkowych, ich przeznaczenie rozwija się w granicach ich domowego zajęcia. Nasze polki przeciwnie stają najczęściej u steru spraw wszelakich; ich wola jest ustawą, ich upodobania sądem najwyższym; zaś strona uczuciowa podstawą, na której się rozwija ich działalność. Pod wpływem tych gibkich usposobień nie ma kierunku wyrozumowanego; — synowie pielęgnowani macierzyńskiem sercem nawykają do

rozrywek przesyconych, zachcianek bez granic, lekceważenia wszystkiego, — próżniactwa; późniejszem następstwem tych nałogów są marnotrawstwo, zepsucie i nędza. Córki, których niemal wyłącznem zadaniem są muzyka, taniec, gadatliwość i biała ręka, wychodzą z domu nie pojmując obowiązków żony i matki, lub prowadząc dalej rozpoczęte dzieło. Te nasze społeczne i towarzyskie słabości i przywary przedłużają się z pokolenia w pokolenie, niszczą pojedyncze rodziny, dopomagając potężnie do zagłady przygotowanej zdawna i zewsząd.

Wszystko — dodać tu jeszcze wypada — jest dziełem wychowania, wychowania ludu, ludzi i młodzieży. Instytucye i ustawy powszechne wychowują naród jako ciało zbiorowe; w stosunkach życia codziennego wzory i wpływy rozumnie obmyślane stanów wyższych wychowują niższe warstwy społeczne; rodzice i nauczyciele wychowują na świat wchodzące pokolenia, przygotowując je równie do obowiązków obywatelskich, jak do stosunków życia codziennego; mężowie wychowują żony swoje urabiając ich gibki organizm do potrzeb i stanowiska domu, w który weszły i w który wrosnąć mają. Gdzie te przodujące władze nie umiały dotrzymać praw swoich, tam nastaje ruch niweczący, tam się pojawia ciążenie ku górze, wzrost ku dołowi: tam ustawy przechodzą w martwą literę, lekceważoną, bo bezsilną; tam stany wyższe stają się przedmiotem zazdrości, nienawiści i prześladowań; tam rodzice i nauczyciele gną się pod teroryzmem niedowarzonych umysłów; tam mężowie są na łasce żon swoich wlokąc się pokornie za okazałym pochodem wiodącym do zguby majątki, rodziny i ojczyznę. Ulegli żonom swoim polscy małżonkowie nie czują tej wielkiej psychicznej prawdy, że wyższość męska, w mężczyźnie stojąca u steru spraw domowych, czyni kobietę spokojną, swobodną i bezpieczną; że ona ję ceni w nim najwyżej, szczyci się nią i za nię kocha go najwięcej — powiada głęboki znawca serca ludzkiego Józef Korzeniowski. Lecz wróćmy do strony uczuciowej.

Na rozległem polu stosunków towarzyskich i społecznych występuje jeszcze mnóstwo różnorodnych uczuć w kie-

runku dodajnym i ujemnym, z których jedne pozostawiają niezatarte ślady w głębi duszy, inne rozpływają się stopniowo w zobojętnieniu, inne jeszcze kupią się, zlewają i tworzą pewne uczucie mętne, często niedość wyrozumowane, które też sympatyą lub antypatyą nazywamy.

Nie ma dwoch uczuć bliższych bezpośredniego zetknięcia się jak sympatya i antypatya; — zawiedziona miłość przerzuca się w nienawiść, zdradzone zaufanie podaje rękę zemście.

Ale podczas gdy przyjaźń, miłość i sympatya usypiają rozkołysane serce, rozlewają w niem balsam pokoju i zadowolnienia, — nienawiść, zemsta i antypatya odbierają mu sen gwałtownem wszystkich pulsów biciem, a znużonemu szepcą do ucha: czuwaj, bo wróg wlepił w ciebie oko niepewne!

Słodki uśmiech na ustach, lubość w głosie, niedbałość w ciele, niemoc w wilgotnem i rozlanem oku, zwiastują miłość, rozczulenie, sprzyjanie, sympatyę; — nienawiść rozwartem i pełnem ognia patrzy okiem, donośnym i chrapliwym odzywa się głosem, kurczy w nas nerwy i naprzód wysuwa ciało.

Tamte skłonniejsze są do uścisków, te do walki; tamte do słów, te do czynu; tamte chwytają za pióro, te za oręż.

Sympatye budują tryumfalne bramy zwyciężonym, miękką muzyką rozkwilają i niewieszczą serca swoich przyjaciół, wznoszą modły za pomyślność sprawy, której upaść dozwoliły, pokarmem ciała chcą osuszyć łzy płynące z komórki, w której bije życie narodowe; antypatya ku wspólnemu wrogowi rozżarza się ogniem pokrzywdzonego, udzielając mu siły swojej w zamian; skąpa w słowach uściśnie dłoń jego siłą, pod którą kość trzeszczy; milczy czarta milczeniem, bo celem jej jest czyn. Ucieka ona od żalów, fleta i struny, bo lubi tylko duet: huk i szczęk. Gdy tamta w salonach ozdobionych w orły, chorągwie i trofea wypróżnia szumem napełnione kielichy, ta wzywa na ucztę piekielną, gdzie zemsta jest pokarmem, krew napojem, a grzmoty dział kapelą bankietu.

Sympatyą przejęte ludy Archipelagu płakały nad lo-

sem braci swoich w Atenach, gdy hordy Daryusza zalały równiny Maratonu, jednak w pomoc im nie przyszły; ale wstręt od jarzma Azyi przerzucił na pola bitwy pędem błyskawicy sąsiedniego Lacedemonu falangi.

Wlokły się przez dwa wieki zastępy krzyżowców na oswobodzenie ziemi świętej, łupiąc po drodze sympatyzujące z niemi narody; ale ziemia święta pozostała w ręku tych, którzy ję antypatyą zdobyli.

Nie sympatya dla Napoleona ale rozpacz wiodła do cudów męstwa zastępy polskie pod Sommosiera i Wagram, nad Nilem i Berezyną, i tam jeszcze, gdzie mgła nadziei znikła do szczętu. Czas miękkiej i płaczliwej sympatyi przeminął; narody idą do dzieła.

Zkąd nie ma obawy, tam jest obojętność, lub sympatya; jedna łatwo przeradza się w drugę. Niebezpieczeństwo jeży włos na głowie, krew przez skórę sadzi i spędza ludy w kupę jak trzodę przed napaścią wilka. Tu nie przydadzą się, przez góry i morza wędrujące echa sympatyi; tu *ja* — to *ty*, a bez *ty* — nie ma *my;* razem lub żaden, wszyscy lub nikt.

Ludy Europy są chorowitem ciałem, bo mu gangrena toczy lewą rękę; precz z nią! A my? — my plemię słowiańskie wzrośliśmy w środku, tam gdzie leży pancerz, a pod nim bije serce; my jesteśmy piersią Europy. Powiemyż kościom ojców naszych, powstańcie z tej ziemi i przyjmijcie chrzest nowy; przestałyście być kościami Słowian. Nie! lecz jeśli nas rzucą czołem do ziemi przed nowem bóstwem, chrzest ten pójdzie poza nas i stanie tam, gdzie szumią nurty Odry, Elby, Sali i Dunaju; tam pod grobami plemion napływowych spią popioły nasze.

Wszakże źródłem najgwałtowniejszych uczuć człowieka mogą być równie błędy jak prawdy; prawdy głębokie, błędy wielkie, błędy w sądzie o czynach osób innych, jak błędy popełnione w czynach własnych; zaczem tak sądem o ludziach i o ich sprawach, jak każdym innym sądem kierować powinny: spokój duszy, wykształcenie, bezstronność, umiejące z mrówiska fałszu, błędów i przesądów wygrzebać nieliczne prawdy, odróżnić prawdy od pozorów. O szczególe

tym pisałem kiedyś. Pozwólcie bym to zapatrywanie moje przedłożył tu synowi Waszemu.

W pocie czoła twojego, powiedziano, utrzymywać będziesz życie twoje; — w pocie tylko czoła twojego, dodajmy, dochodzić będziesz stopniowo do poznania praw rządzących światem, i prawdy, która ludźmi rządzić powinna.

Tysiące lat w przekonaniu ludzi słońce obracało się około ziemi, a przecież nie było zamiarem Stwórcy, uczynić wieczną dla nas tajemnicą zależność ziemi od słońca. Ruch słońca jest pozorem, kołowanie ziemi prawdą, którę zdobyto wieków mozołem. Czem jest zbiorowy rozum ludzkości względem ruchu ciał niebieskich, tem jest rozum dziecięcia względem gościńca umykającego pod kołami bryczki, lub brzegów rzeki umykających przed czółnem. Do poznania prawd wielkich, powszechnych, prowadzi dojrzewanie narodów; do potocznych, szczegółowych, dojrzałość szczegółowa ludzi, którzy się spotykają z niemi; lecz rozum zbiorowy i nieśmiertelny ludzkości lub narodu, jest treścią urobienia pojedynczych rozumów.

Gdzie dojrzałość pojedyncza i powszechna nie urobiła się jeszcze, tam przenikliwość zastępuje rozum: Cyrus zostaje królem, bo pierwszy dostrzega wschodzące słońce. Dowcip jest rozumem, gdzie jeszcze nie ma rozumu.

Gdzie jeszcze nie ma wytrawnego pojęcia i sądu, tam traf ślepy rozstrzyga spory, traf ślepy jest bóstwem sprawiedliwości; pokąd człowiek nie zrozumie co jest słuszność, miecz, ogień i woda są ziemskiem kodeksem kryjącej się jeszcze poza ziemią prawdy. Dojście powszechne do poznania praw powszechnych, to zagłada ognia i miecza, więzień i szubienic, wojen i zaborów.

Nie brak *wysokiego* rozumu jest nieszczęść źródłem, bo to co nie istnieje, nie może być siłą działającą; — źródłem nieszczęść jest nierozum, zajmujący miejsca próżne, a on zająć je musi, bo *natura horret vacuum*, nauczali fizycy do niedawna. Nierozum jest szkodliwszym często od niegodziwości; przeciw niemu nie ma broni odpowiedniej, środka właściwego. Rozum nie wyjdzie tu zwycięsko, jest on szablą

odskakującą od skóry nosorożca; bo nierozum wierzy w pozory, i wciąga innych w pozory, które czas dopiero odsłania i niszczy.

Prawda i pozór prawdy istnieją w środkach jak w celach. Ministrowie Elżbiety, chcąc upowszechnić w Anglii używanie wełny, nakazują, by każdy umarły obwiniętym był w płachtę wełnianą. Lekarz Ludwika IX. wiesza go za nogi u powały, by wydobyć przez usta pokarm, którego żołądek strawić nie mógł. Dwaj sąsiedzi po trzydziestoletnim sporze przed trybunałem piotrkowskim, usypują kopiec graniczny, i w zakład wiecznej zgody wieszają na nim żyda *in perpetuam rei memoriam.* Nie ulega wątpliwości, że środki te nie przeszły bez skutku: w Anglii zniszczono mnóstwo płacht wełnianych; — Ludwik wyzdrowiał rzeczywiście; — a granicę, którę śmierć żyda uwieczniła, pokazują zapewne dziś jeszcze mieszkańcy miejscowi; — lecz jestże równie niewątpliwem, że środki te były środkami właściwemi, i że to, co było prawdą w oczach ludzi XII. lub XVI. stulecia, jest nią w obliczu praw odwiecznych.

Experiamur in corpore vili, mawiali mędrcy swego czasu, sprawdzając rzeczy wątpliwe na żyjącem ciele; *tous les moyens sont bons*, twierdzą dziś ludzie partyi, gdzie idzie o dopięcie celu. Tamtym towarzyszyło przeświadczenie godziwości środka i celu; u tych godziwość stoi na zewnątrz zadania, bo pozór zajął miejsce prawdy.

Gdzie pojęcie nie sprostało prawdzie istniejącej bez nas i mimo nas, tam jest słów niedostatek; — gdzie jest rzeczy niedostatek, mimo że istnieją pewne pojęcia, tam się pojawiają słowa bez znaczenia. Jedno i drugie jest pozorem: pierwsze widzimy w opowiadaniach ludu niedość pojmującego to, co dostrzega; drugie w pismach ludzi, którzy nie zgłębili tego, co pojmować zaczęli. Nim w odradzającej się Europie, powiada Chateaubriand, pojęto prawdziwą poezyę, zastępowano wzniosłe myśli napuszonemi wyrażeniami: mleczne zimy morze, zielone łąk warkocze, ogrodowe kobierce, łzy wiosennego poranku. Gdzie skutkiem przyrodzonych usposobień i plemion i klimatu, twierdzi Klaczko, sztuka

przyjąć się nie mogła, tam jeszcze brak sądu o niej, zdradzają wyrazy wyszukane a puste: tęczowe blaski tonów, atłasowy pociąg smyczka, perłowatość lub szablistość układu w muzyce; w malarstwie przechodowe tony, i szum w powietrzu.

Znamieniem jasnego pojęcia prawdy jest prostota, godność i spokój; kto jej należycie nie zgłębił, ten łowi myśli oderwane, splata je ognistemi wykrzyknikami, porywa części, nie mogąc unieść całości. Tam siłą działającą jest praca sumienna, twarda lecz cicha; tu pozór nauki obwlekający klejonką uczuciową wewnętrzną czczość i próżnię. Prawda wielka, rzetelna, wypływa z głębi, i wciska się głęboko lubo zwolna; pozór, istność zewnętrzna uderza na zewnątrz; — tamta wrasta w człowieka nazawsze; ten zdmuchują wiatry przeciwne; prawda głęboka trafia na ludzi trudnych, zimnych lecz głębokich; pozór prawdy na płytkich, łatwych, powierzchownych; tam rzecz trwa dłużej niż ludzie; tu ludzie żyją dłużej niż ich dzieła; — prawdy wieczne jaśnieją jak słońce; zaś znikome, są elektryzujące błyskiem piorunów.

Stare przysłowie powiada, że ażeby poznać człowieka, trzeba z nim zjeść beczkę soli. Przysłowie to odnosi się tak do mężczyzn jak do kobiet. Do tych ostatnich więcej nawet, bo — jak słusznie utrzymuje Voltaire — są one mniej otwarte i szczere, już przez to samo, że są całe życie „żenowane“, że każde ich słowo, każde poruszenie ciała, każdy pojaw doznanego wrażenia przebywa cenzurę przyzwoitości. Zdaje mi się, że poznanie człowieka więcej niż na beczce soli, polega na tem, aby się nauczyć zawczasu odróżniać wiedzę prawdziwą od blichtru umnictwa, wychowanie od ułożenia, grzeczność od form etykiety, ludzkość od gościnności.

Podczas gdy blichtr umnictwa wysuwa się bezczelnie naprzód zawsze i wszędzie, rozstrzyga wszystko stanowczo, tłómaczy niepytany, naucza nieproszony; wiedza prawdziwa jest skromną, tu człowiek kryje się poza nią, korzy, a im

wyżej się wdrapał, tym dalej widzi przestrzeń do przebycia której, żywot jego wystarczyć mu nie może.

Wychowaniem według pojęć nowożytnych filozofów i pedagogów jest zbogacenie umysłu wiedzą prawdziwą, zbiorem wiadomości wyższych lub choćby tylko zasadniczych, przygotowujących człowieka do samoistności tak, aby się mógł stać użytecznym sobie i społeczeństwu. Wychowaniem prócz tego jest przeniknienie nawskróś młodocianego serca zasadami, które czynią człowieka na cały ciąg życia jego pracowitym, sumiennym i szlachetnym. Ułożenie jest parodyą wychowania. Zaprawdę nie wielką jest różnica pomiędzy *ułożeniem* młodzieńca do salonu a ułożeniem konia do cyrku lub legawca do myśliwstwa, bo gdzie są różne znaczenia, tam muszą być różne wyrazy.

Grzeczność prawdziwa jest bezpośredniem i koniecznem następstwem wychowania: ona jest córą rozsądku i zacności. Ona także przenika na wskróś jestestwo człowieka; żyje w nim każdej chwili jego życia; pojawia się w stosunkach z ludźmi stanu wszelkiego, w czynach i słowach, bez namysłu i bezwiednie. Grzeczności uczyć nie trzeba ludzi zacnych i rozsądnych; — zepsutych i głupich nikt grzeczności rzetelnej nie nauczy. Formy etykietalne są obłudą, kłamstwem, oszustwem, gdzie oszukujący są oszukanemi, oszukani oszukującemi. Ludzie trzymający się niewolniczo pewnych form — powiada nieoceniony Kraszewski — *nie są nigdy sami sobą*; *oni w każdem poruszeniu i w każdem słowie zdają się ciągle naśladować kogoś.* Ułożenie do form konwencyonalnych wytłacza na twarzy uśmiech wyuczony, uśmiech wieczny, który jej nie opuszcza przy najpoważniejszych nawet rozmowach; grzeczność rzetelna zarysowuje na niej godność, myśl i uczucie. Ludzie bez serca mają najwięcej serdeczności.

Wyrazy ludzkość i gościnność przedstawiają odmienne, niekiedy nawet różne usposobienia. Spokrewniamy je przez to, że jedno z tych usposobień bywa drugiego skutkiem lub powodem. Ubogi góral przyjmujący w domu swoim owczem mlekiem, bryndzą i chlebem owsianym wędrowca zbłąka-

nego wśród skał i przepaści jest *gościnnym* przez uczucie ludzkości. Włościanin przyprzęgający na gościńcu konie swoje do zagrzęzłych w śniegu sani podróżnego jest *usłużnym* przez uczucie ludzkości. *) Huculi rozbójnicy z czasów słynego Dobosza, przyjmujący na nocleg bezpieczny przeježdżających, którzy ich opiece zaufali, byli gościnnemi bez uczucia ludzkości. Pan możny, a częściej jeszcze obciążony długami, który w domu swoim raczy hojnie krewnych, próżniaków i łaskawych sąsiadów podziwiających jego kuchnię i piwnicę, którego słudzy źle płatni, a gorzej jeszcze żywieni, jęczący w chorobie bez opieki na stajennym barłogu, pełniący niedbale obowiązki swoje w przekonaniu, że lepiej nie warto, pan ten jest gościnny przez dumę, próżność i głupotę. W domu jego znikło poczucie obowiązków od góry i od dołu, bo w nim nie zamieszkała ludzkość. Ludzkość jest szczodrą obok oszczędności, gościnność marnotrawną obok skąpstwa.

Liczne i różnorodne są wpływy układające stosunki rodzinne, towarzyskie i społeczne u rozmaitych ludów i w rozmaitych okresach ich dziejów.

Pięknie brzmiące ustawy nie są jeszcze sprawiedliwością; formalność prawna nie jest wymiarem słuszności; obrządek nie jest jeszcze religią, ani mowa ludu językiem narodu i oświaty, bo kształt nie zastąpi rzeczy. Nabożniś nie jest człowiekiem pobożnym; rozrzutny nie jest dobro-

---

*) Przed kilku laty powracając do miasta z wycieczki zimowej, zagrzązłem w nasypie śniegu. Wymijało mnie kilku szwabów (tak nazywają tu osadników niemieckich). Proszę ich o pomoc. Zatrzymali się, spojrzeli i jeden z nich rzekł: „Zarobiemy trzy guldeny". Gdy im odpowiedziałem, że dając jednego daję dwa razy więcej niż warto, zacięli konie i odjechali milczący. Wkrótce potem z przeciwnej strony nadciąga nasz chłopek; zatrzymuje się o jakie trzydzieści kroków, wyprzęga konie, przyprowadza je i ratuje nas, lubo nie przyzwany. Dziękuję Wam, rzekłem, panie gospodarzu, ale cóż winien Wam jestem za tę usłużność. „Poratowali i mnie ludzie nie raz już w przygodach; niech pan jadą z Bogiem".

czynnym; burda nie jest walecznym, ani ustępujący z drogi trwożliwym; — zagorzalec nie jest patryotą, niwelator liberalistą; bo co przyparło do ostatnich krańców, zwrócić się musi w kierunku odwrotnym. Nie ludzie wynaleźli miary i wagi; one istnieją w świecie powszechnym, w prawach bożych, a odbiciem miary świata fizycznego w świecie ludzkim, jest umiarkowanie. Co nie ma miary i umiarkowania, nie ma granic; istność bez granic nie dopuszcza innych obok siebie; ona jest bóstwem w świecie powszechnym, despotyzmem w świecie ludzkim; jednobóstwem i jednowładztwem. Gdzie pojawami życia są ostateczności, tam społeczność nie zrosła się w jednę całość, lub już rozkładać się zaczyna.

Uczucie, nauczał alegorycznie któryś z filozofów greckich, mieszka w mózgu, a rozum w sercu; rozum i uczucie wspierać się muszą nawzajem, by człowiek stał się człowiekiem zupełnym. Rozum przemagający nad uczuciem jest sądem zimnym, uczucie głuszące rozum, jest namiętnością;— rozum stanu steruje losem wielkich narodów; namiętność, uczucie niezawisłe, podżega burze domowe w rodzinach i narodach. Rozum u ludzi wyższych jest płodem ich nauki; namiętność u ludu jest następstwem jego nieuctwa.

Kilku pijaków z Samos zbezcześciło trybunał Eforów;— nazajutrz trybunał ogłasza wyrok, że Samojczykom wolno jest być pijakami. Eforowie pchnęli ludzi głęboko zepsutych ku ostatnim krańcom, zkąd już tylko zwrócić się mogli; jedynie dotarcie do ostatnich krańców ocucić może ludzi, którzy zapomnieli, że w świecie bożym, tylko sam Bóg nie poddał się miarze.

Boże daj, powiada Rousseau, w radach udzielonych Polakom, by sumienie stało się najwyższym waszą sędzią, straszniejszym niż piekło, łaskawszym niż niebo. Sumienie, to prawość jednostkowa, stojąca w związku z prawem odwiecznem, z prawdą nieśmiertelną, powszechną; — brak sumienia, to bunt przeciw prawom bożym, to spotwarzanie prawdy pozorem prawdy.

Jak zobojętnienie nie jest jednością, a jedność na-

stępstwem odrętwienia, tak ubóstwianie lub poniewieranie życia, czynów i dzieł ludzi znakomitych, nie jest warunkiem i znamieniem życia i ruchu. Dwojaka, powiada Machiawel w historyi florentyńskiej, jest niejedność, tak jak dwojakie są wpływy ludzi znakomitych; jedni służąc pospolitej rzeczy, bez względu na pojedynczych, są silnemi siłą zbiorową; — inni schlebiając pojedynczym, lub sypiąc między nich dary, tłumią dobro pospolite, przemijającemi osób słabościami; — tamci mogą, są jeszcze słowa jego, wywołać różność opinii, ci tworzą fakcye, niezgody; fakcye wspierają lub gnębią człowieka; różność opinii wyświeca sprawę; — tu, dodajmy, jest prawda, tam pozór prawdy; dary ujmują ludzi zepsutych, słowa namiętne chwytają za serca młodzież.

Młodzież uniwersytecka, powiada Boerne (Briefe aus Paris), ubiera się tu skromnie, pracuje szczerze, szanuje starszych, ustępuje z drogi przechodniom; lecz gdy nadejdzie chwila czynu, jest pierwszą tam, gdzie śmierć w oczy patrzy! Nasi bursze w palonych butach, magierkach nakształt zera, i z pałką w ręku, przeobrażają się dla chleba jak motyle, wypełniając bióra najmniej popularne i ścigając dawnych towarzyszów. Czas zaciera pozór prawdy, gdy fałsz krył się na dnie; czas prostuje błędy, bo czas jest najwyższym prawdy trybunałem.

Prawda jest żywiołem życia, pozór prawdy nosi w łonie swojem śmierci zaród. Społeczność stać tylko może na prawdzie rozwijającej się w rożnorodnych kierunkach, pod wpływem rozmaitych nauk; a jak u istot organicznych, uważanych same w sobie, każda cząstka ich zbiorowego organizmu jest warunkiem istnienia i rozwoju całości; tak się kojarzą, przelatują i wiążą wszystkie odrębne i niezawisłe na pozór towarzyskie ruchy, zlewając się w jedną ogólną całość, w ten rozległy i niedość jeszcze zgłębiony organizm, który życiem społecznem nazywamy, w którym toną pojedynczy ludzie i ludy, który wiekową przeszłość z późną spokrewnia przyszłością.

Na dnie życia społecznego, jak na dnie oceanu, jest prąd posuwający się zwolna, ale ciągle i w kierunku nakre-

ślonym palcem Przedwiecznego; — na powierzchni życia społecznego jak na powierzchi oceanu występują fale, wiatry się zmieniają, burze mącą pokój i prądu siłę. To życie zewnętrzne jest życiem dziennem; a ów prąd nieprzystępny zmysłom jest ciągiem dziejów ludzkości i narodów. W jednem i drugim tkwić musi prawda, lub pozór prawdy, bo fałsze jawne nie przyjmą się nigdzie; — tamto jest żywiołem ludzi pływających po wierzchu; zrozumienie tego jest rzeczą nauk głębokich, odpowiadających głębokości zadania.

Lud zaniedbany w krajach uorganizowanych, miłuje tylko swoję „ojcowiznę“, a jego towarzyskie uczucia nie przechodzą poza granice jego gminy. Tatar i Arab nie przywiązany do grzędy ojców, miłuje dziką niezawisłość. Patryotyzm jest tu i tam obcem uczuciem, bo patryotyzm ma własne istnienia warunki; on zapuszcza korzenie w narodową przeszłość, a oddycha oświatą wieku; gdzie korzenie wężują po wierzchu, tam burze grożą obaleniem; gdzie szczyt nie sięga wysokości współczesnej atmosfery, tam duszno i ciemno, tam jest ubóstwo i niemoc; a potężni szanują tylko potężnych, słabych poniewierają i depcą. Głęboki i wzniosły patryotyzm, to głęboka i wzniosła oświata; oświata rzetelna, to rzetelna siła, to prawda nieprzeparta, której nie zastąpią ślkniące pozory.

Wszystko na ziemi rośnie ku słońcu, ku światłu, wszystko się pnie ku swobodzie oddechu; bo bez jasności i swobody nie ma życia organicznego ani wśród niemej przerody, ani wśród wielomownej ludzkości; a jak jedno jest słońce w przerodzie, tak w życiu narodów jedna musi być prawda naczelna, niezachwiana, istniejąca bez nas i mimo nas. Ludzkość posuwa się ku niej; dlatego im głębiej wstecz, tym wydatniejszem jest życie jednostek, tym więcej osobistości i drobnienia; drobnienia pojęć, praw, bóstw i ludów; — im dalej wprzód, tym więcej jedności myśli, pracy, uczuć i czynu. Stopień zbliżenia myśli, pracy i uczuć jest miarą społecznej siły i miarą zbiorowej dojrzałości. Dzieje świata są pełne wojen, prześladowań i niezgód domowych rozniecanych w imię prawd niezliczonych, prawd sprzecz-

nych, wojujących między sobą; — lecz jakże mało jest chwil wielkich, w których prawdy podrzędne i wątpliwe zgasnąć i zamilknąć musiały; chwil przedstawiających okazały widok zbratania, zapomnienia uraz, zrzeczenia się próżnostek i korzyści osobistych, a nawet przemilczenia wad pojedynczych w imię prawdy naczelnej, świętej, wiekuistej. Gdzie prawdy drobne głuszą prawdę naczelną, gdzie osoby występują w miejsce rzeczy; gdzie dążności szczegółowe stopić się nie mogą w dążność ogólną; tam jeszcze trwają dzieje dawne; tam istnieją istoty organiczne, lecz nie ma zbiorowego organizmu.

Dziwnem zapewne wydaje się synowi Waszemu, że człowiek którego ulubionem zajęciem jest nauka gospodarstwa społecznego, rozprawia Bóg wie o czem, a pomija szczegóły, odnoszące się do niej bezpośrednio. Więc przechodzę na to pole.

Pojawiające się coraz częściej we wszystkich pismach naszych rozprawy o przemyśle, handlu, finansach, są także jednym z dowodów, że każdy okres dziejów ludzkości, ma pewną myśl, pewną dążność panującą, która wyprzedza inne, rozpościera się szeroko, i przoduje wszystkich ludów usiłowaniom, jak daleko przedrzeć się może, i pokąd jej odległe następstwa jej pierwotnego nie zwichną kierunku. Przemysł i przedsiębiorczość są cechą wieku naszego, a ich pochód ostatnich lat kilkunastu przeszedł najśmielsze przewidzenia.

Żelazne koleje, telegrafy, para, cuda nieznane przeszłości całej, niesłychany dotąd ruch myśli i czynu, rozwój wiedzy i pracy, zdają się przebijać państw granice, jak je niegdyś dzikie przełamywały hordy; mięszają ludy, równoważą ich potrzeby, wiodą wszystkie ku wielkiej przyszłości; a to tak łatwo i tak szybko, że dziadowie nasi nie poznaliby już świata, na którym zostawili swoje wnuki.

Ten ruch nowy może nam być miłym lub przykrym, ale przeto niemniej jest prawdziwym. Wolno jest czcicielom ideału, potępiającym tak zwany materyalizm, rzucać klątwy na świat, w którym sami wygodnie żyją; świat ten posuwa

się bez nich i mimo nich, oddala ciągle od lacedemońskiej polewki, Scytów kobylego mleka, zamków średniowiecznych wysłanych słomą, od uczt zeszłego stulecia bez widelców i serwet, od głupoty, pijatyki i panegiryków, przy których usnęło wszystko co poprzedziło wiek dziewiętnasty. Byt materyalny narodu, jest jego oświaty wypływem; oświata nie przyjmuje się w nędzy; połączenie bytu i oświaty jest główną moralności publicznej rękojmią. Prawdy te zajęły już niezachwiane stanowisko w umiejętnościach społecznych i tylko nieprzewidziane wstrząśnienia zwichnąć je mogą w odległej przyszłości. Syn Wasz musi pojąć te urobione już prawdy, zgłębić je, przejąć się niemi, by mógł iść wraz z resztą ludzkości, chociażby z tyłu poza nią, a przecież o własnych siłach.

Jak nauki przyrodnicze, zatem poznanie praw świata fizycznego, utarły drogę wielkim wynalazkom Watta, Stefensona, Jakobiego, tak nauki społeczne, na których czele stoi gospodarstwo społeczne, wiodą do poznania praw rozleglejszych jeszcze, bo wiodą do pojęcia tego harmonijnego związku, które tkwi w dwoistej naturze ludzkiej, który łączy w pojedynczym człowieku jego organizm cielesny z jego duchową potęgą, a pojedynczego człowieka wplata w żywot ludzkości całej. Umiejętności te są młode; ich rozwój nowożytny, nie sięga daleko poza nasze czasy; one się nie rozłożyły jeszcze wśród ludów, w łonie których powstały, one są zaledwie z imienia znane pośród nas. Zwabiać je ku sobie, odsłaniać ich strony więcej zajmujące, oswajać czytających z ich pojedynczemi prawdami, jest to pięknem zadaniem, jest to zasługą krajową; bo bieda ludom, u których to co uprzyjemnia, odpycha wszystko co jest rzetelnie wzniosłem, użytecznem, rzeczywistem.

Moralność, oświata i byt, oto rozległe pola stojące otworem usiłowaniom naszym; moralność wrosła w serca człowieka jego wyrobionem przekonaniem, — oświata rzetelna, praktyczna, wyższa od tego zewnętrznego blasku, które po salonach razi oczy niewprawne, a budzi litość myślących, — byt materyalny, nieodstępny towarzysz oświaty

i moralności, oparty na pracy i umiarkowaniu, byt odpowiadający siłom istotnym; zatem nie ten co świeci wysileniem i omdlewa wewnątrz, by jaśnieć *pozorem* i żyje dziś, by umrzeć jutro; — moralność, oświata i byt zakorzenione u góry, schodzące do niższych warstw społecznych po drodze wytkniętej rozumem, względnością, pobłażaniem, przykładem, — podnoszące tych co są u dołu, bez zniżenia tych, których traf ślepy wyżej nich postawił: — oto rozległe pole, wzniosłe i pocieszające zadanie, oto cel, do którego dążyć winniśmy i do którego dojść możemy. Niechaj syn Wasz nie jednę chwilę wolną poświęci rozmyślaniu tej natury, a stanie się użytecznym kraju obywatelem.

Gdzie ten ruch raz powstanie, tam narastają szybko siły społeczne; kraj taki budzi poważanie zagranicą, i ufność w stosunkach przemysłowych; wszystko w nim żyje, wszystko się posuwa, a im dalej wprzód, tym szybciej i tym łatwiej. Jakież są środki, by raz wejść na tę drogę? *Prawe chęci i żelazna wola.*

Następstwem tych cnót obywatelskich, zatem następstwem rzetelnego patryotyzmu jest narastanie zasobu społecznego; bo zasobem społecznym jest wyrób dwoch połączonych potęg ludzkich: wiedzy i pracy. Zaczem zasobem jest nagromadzenie skutków użytecznej a niespożytej pracy ludzkiej, w jakiejkolwiek ona utkwiła materyi, w ziemi, budowli, narządach, kruszcu wydobytym z ziemi i przetopionym bądź na pieniądz, bądź na pierścień. Zasoby są przeto dziełem pracy, kierowanej pewnem wykształceniem, a warunkiem ich tworzenia się jest oszczędzanie, to jest, przewyżka pracy nad spotrzebowanie. W krajach dzikich, nie ma zasobów. Zasobem narodowym jest zbiór zasobów prywatnych, i nic innego być nim nie może. Zaczem idzie, że jak prywatny tak naród może zużywać cały swój dochód, może zużywać mniej niż dochód, lub więcej niż dochód. Następstwem pierwszego przypuszczenia jest stanie w miejscu, jest zastój polityczny, umysłowy i materyalny; — następstwem drugiego jest ciągły postęp w wykształceniu i w bycie; cofanie się byłoby wynikłością trzeciego.

Gdzie mimo niskiego stopnia oświaty *rzetelnej* we wszystkich warstwach narodu, gdzie mimo powszechnego wstrętu do pracy mozolnej, gdzie mimo powszechnego braku oszczędności troskliwej a wyrozumowanej pojawia się pewien rozwój, pewien postęp, tam *niewątpliwie* mienie krajowe narasta w ręku przybyszów i tych co są obcemi w pośród rodaków, tam losy narodu nie zależą od niego, tam powstają bezowocne walki o zasady, tam jest początek rozkładu. Naciskam na te ostatnie prawdy, bo one są groźnemi pośród nas.

W tych kilku okresach, zdaje mi się, objąłem treść rozległego pojęcia zasobu społecznego, pojęcia spaczonego w życiu potocznem przez pieniądze, które nam się wydają głównem bogactwem krajowem, a które niem są najmniej przecież. Gdyby pieniądz był zasobem społecznym, moglibyśmy chodzić w łachmanach, i nieumieć czytać i pisać, a przecież tonąć w złocie.

Rzemieślnik odrywa część kapitału przeznaczonego na kupno materyałów, i nabywa za nię narzędzia, bez których wyrabiać nie może, bez których nie może przemienić deski w stół, żelaza w lemiesz; społeczność odrywa część kapitału ogólnego, którego przeznaczeniem jest zaspokajać potrzeby bieżące, lub pomnażać zasoby dawne, i przeobraża ję w pieniądz, będący narzędziem wymiany. I tu i tam narzędzia są uszczerbkiem rzeczywistego zasobu: rzemieślnik zakupuje tylko niezbędne narzędzia; społeczność zaopatruje się tylko w takę ilość pieniędzy, by jej wymiany utrudnienia nie doznały; — rzemieślnik i społeczność wymarliby z głodu, gdyby ich całe zasoby przeszły w narzędzia; lecz gdy wydoskonalenie narzędzi rzemieślnika zmniejsza ich ilość i kosztowność, oszczędza czas i pracę, w społeczności na odwrót wydoskonalenie stosunków społecznych zmniejsza ilość narzędzi, usuwa pieniądze, zastępuje je wiarą, kredytem.

Są to wielkie i niezaprzeczone prawdy, do których wiodą umiejętności społeczne. Wszakże każda inna umiejętność użycza się z większą lub mniejszą łatwością pewnej analizie i syntezie, za pomocą których człowiek dochodzi

do poznania części przez pogląd na całość, i do zrozumienia całości przez oswojenie się z częściami. Szczególną własnością nauk społecznych jest niepodzielność ich treści; jest jednolitość całego ogromu, po którym się błąka wzrok niewprawny; — tu widzi odbicia rzeczy nieistniejących, tam nie dostrzega niewątpliwych; ówdzie dopatrzone skutki z obcemi im kojarzy przyczynami. Pieniądze zdają się być bogactwem publicznem, kapitały rzeczą, którę naraz stworzyć można; otworzony kredyt nowym kapitałem; praca przymusowa, najtańszą pracą; rozległość majętności, jej siły miarą; zamknięcie granic obcym wyrobom, wspieraniem domowej pracy; cechy i korporacye, rękojmią udoskonaleń i bezpieczeństwa, a wszystko tak staje jasnem poprzed oczy, tak wydaje się przystępnem pojęciu, że często społeczność uboga w historyków, techników, matematyków i artystów, tylu liczy ekonomików wyrokujących stanowczo i co chwila o wszystkiem co ich otacza, a co jest życia towarzyskiego gałęzią, — ilu ma członków umiejących słuchać i mówić. Życie obywateli i ich pojęcia, pozwólcie bym powtórzył, tak różne przechodziły koleje, jak różne były węzły łączące ludzkość. Życie Rzymu jaśniało na polu Marsa, życie średnich wieków w kaplicy i na turniejach; życie nowożytne w pracy rąk i umysłu. Ta nowożytna praca rozebrała organizm społeczny; ona go oczyszcza stopniowo ze wszystkiego, co w nim było sztuką lub gwałtem; ona w nim oddzieliła rzeczy wiary od spraw ziemskich, wydobyła pracę z więzów; zrównała ludzi w obliczu ustaw, i zbliżyła prawa ludzi. Świat nowożytny, to swoboda indywidualna, to wiedza narastająca pracą, to praca oparta na wiedzy. Biada tym, co nie zrozumieli czasu, w którym żyją.

Oto według zapatrywania mojego prawa naczelne, podług których układają się stosunki towarzyskie i społeczne u nas i poza nami. Syn Wasz musi poświęcić czas jakiś zbadaniu i przyswojeniu sobie tych praw i tych stosunków. Mając wkrótce wpleść się w zbiorowe życie narodu, musi on urobić w sobie przekonanie oparte na naukach rzetelnych; inaczej zwiększy tylko zbyt już liczne zastępy za-

rozumialców, krzyżujących wszystko, co w ciasnych ramach ich wiedzy i sądu pomieścić się nie może.

Na tem kończę odpowiedź na zadania, które mi przesłaliście; jeżeli zaś nie odpowiedziałem oczekiwaniu Waszemu i nagadałem zawiele a powiedziałem zamało, winę tego przypiszcie samym sobie: nie zaczepiajcie starych marzycieli.

III.

HELP YOUR SELF.

„Help your self" *).

Upowszechnione w Anglii przysłowie, które jako tytuł artykułu niniejszego położyłem, zawiera głęboką i rozległą prawdę prowadzącą do samodzielności. Biada tym, którzy bez pomocy obcej ratować się, a nawet istnieć nie umieją.

Utyskiwania robotników na brak *zasobów* i na długi, które dla ratowania się zaciągać im przyszło, obudziły we mnie nieraz smutne przewidywania, i nie jedno boleśne westchnienie z piersi mojej wydobyły; westchnienie tym boleśniejsze, że środki, które właściciele ziemiańscy dla ratunku swego obierają, przygotowują im nowe trudności i przyspieszają chwilę smutnego rozwiązania. Przedmiotowi temu poświęciłem też nie jednę stronicę prac moich.

Czytując dzieła i rozprawy treści społecznej, napotykałem nieraz na inne jeszcze przysłowie angielskie, które powiada: „Chceszli gospodarstwo twoje postawić wysoko, miej więcej paszy niż ziarna, więcej kapitału niż ziemi, więcej nauki niż kapitału".

---

*) Komitet zajmujący się w Krakowie ułożeniem „Książki zbiorowej" na cześć p. Pawła Stalmacha, męża wysokiej zasługi na polu walki uciśnionej narodowości polskiej na Szląsku, zaszczycił mnie wezwaniem wzięcia w tej pracy udziału. Nie wahałem się ani chwili i postanowiłem skreślić kilka uwag odnoszących się do jednej z najdolegliwszych ran w społeczności naszej. *Autor.*

To co w Anglii przeszło już w przysłowie, jest dopiero prawdą uznaną przez ludzi wyższych we Francyi: Kiedy nasi rolnicy, powiada Droz, użalają się na nizkie ceny płodów ziemiańskich, powiadamy im: wysiewajcie mniej ziarna a utrzymujcie więcej bydła. Lecz rolnicy nasi nie posiadają jeszcze dostatecznej nauki, a ziemia nasza nie ma odpowiednich kapitałów.

Ludzie *„praktyczni“* utrzymują, niedość rozumiejąc tego, o czem mówią, że rolnictwo jest wyłącznie warunkiem pomyślności krajowej, i że od niego zależy wszelki inny przemysł. Jest to zdanie jednostronne. Najdoskonalszem urządzeniem w każdym kraju byłoby postawić uzdolnienia i siły ludzkie tak, iżby żadna gałąź pracy i usiłowań rozwijać się nie mogła samopas, i żeby powodzenie każdej szło równolegle z powodzeniem wszystkich innych. Jakoż: gdzie przemysł fabryczny i rękodzielniczy rozwija się szybciej od rolnictwa, tam pojawiają się często nagłe zastoje wywołujące niedostatek między robotnikami, a nawet smutne polityczne i społeczne zajścia. Drożyzna jest zwykle stosunku tego znamieniem.

Gdzie przeciwnie rolnictwo wyprzedza inne rodzaje przemysłu, tam zwykle jest obfitość przedmiotów zaspokajających główne potrzeby. Wszakże rolnictwo wyprzedzające zbytecznie przemysł rękodzielniczy, jak równie rolnictwo w krajach, gdzie przemysł inny nie rozwinął się jeszcze, znajduje się w równie przykrem położeniu jak fabrykacya przedmiotów, których odbyt ustał, lub których *podaż* przewyższyła *poszukiwania.*

Gdzie wreszcie rolnictwo postępuje i rozwija się razem z przemysłem rękodzielniczym, fabrycznym i handlowym, tam każdy przybytek zboża, mięsa, skór, wełny znajduje niezwłocznie ludzi, którzy szczegółów tych poszukują bądź na *spotrzebowanie* własne, bądź na *zużycie* w zawodach, które im dostarczają środków nabycia takowych.

Stosunek ten — jak nadmieniłem wyżej, jest najpożądańszym dla wszystkich, bo wszelka praca i wszelkie nakłady przedstawiają najwyższe korzyści tam, gdzie *poszu-*

kiwania są ożywione, gdzie przeto *podaż* z pewną trudnością wypełnia nasuwającą się łatwość odbytu.

Nie ulega zaprzeczeniu, że rolnictwo będąc źródłem przemysłu wszelkiego, powinno być wszędzie głównym przedmiotem pieczołowitości równie ustawodawstwa, jak ludzi pojedynczych zajmujących się dobrem powszechnem. Nie idzie zatem przecież, aby rozliczne środki ku podniesieniu onego obmyśliwane, jakkolwiek skutecznemi byćby mogły w danych miejscach i okolicznościach, wszędzie równie korzystnie przystosować się dawały.

Jednym ze środków o którym ciągle mówią, za którym wołają ludzie czujący, że im czegoś niedostaje, jest *kredyt rolniczy*. — Drugim ze środków podniesienia dochodów rolniczych jest — zdaniem ich — uprawa, zatem rozprzestrzenienie dotychczasowych nieużytków i korczowanie lasów na pola orne.

Nie tu miejsce rozbierać mnóstwo szczegółowych urządzeń w tym celu, częścią podawanych, częścią już w życie wprowadzonych, a których skutkiem być miało podniesienie rolnictwa krajowego. Ograniczyć się przeto wypada na kilku uwagach odnoszących się bezpośrednio do rzeczy.

Tym co marzą o błogich czasach, w których pojawi się przecież łatwy i dostateczny kredyt rolniczy, a właściwie kredyt otwarty podupadającym, powiemy, że najniewątpliwszym skutkiem łatwego zapożyczania na ziemię byłoby rzeczywiście ułatwione przejście własności ziemiańskiej w ręce ludzi finansowych, u nas przeważnie cudzoziemców; ziemi, skropionej potem jej dotychczasowych lub dawnych właścicieli wypuszczających z rąk rodzinne zagrody.

Już od lat wielu publicyści francuscy utyskują, że przeszło czwarta część ziemi obciążona długami przestała należyć do swoich właścicieli, którym pozostał tylko tytuł własności. U nas — przyjmując najostrożniejsze obliczenie — długi ciążące na posiadłościach większych (folwarcznych), przechodzą owiele $^1/_3$ ich zbiorowej wartości.

Ziemie, według mniej lub więcej trwałych wpływów ubocznych, czynią 3 do 5 od 100 rocznego dochodu; banki

i kapitaliści wypożyczający na dobra pobierają 5 do 10 od 100. Przyjmując powyższe obliczenie długu zbiorowego przekonywamy się, że $^3/_5$ przychodu ziemiańskiego idzie na opłacanie odsetek należych „bankom dobroczynnym", i kapitalistom; — że przeto właściciele ziemiańscy stali się w przeważnej części rządcami dóbr na pół zagarniętych, pobierając jedynie tantiemy za krwawą pracę i odpowiedzialność, oraz zachowując tytuł dziedziców za niezliczone przykrości, za niepowodzenia i nieprzewidziane straty, na które z zimną obojętnością patrzy przemysł pieniężny.

Panowie! wspierajcie coraz dalej finansowe spekulacye, zakładajcie coraz nowe banki, czyńcie kredyt coraz przystępniejszym, a wkrótce kraj cały przejdzie w poddaństwo finansowych przemysłowców, przestanie być krajem naszym.

„Ależ, przebóg! — woła wysoko wykształcony, a od lat wielu gospodarujący sam w ziemi *Dezeimeris*, — wskażcie raczej cierpiącym rolnikom środki, przy pomocy których obejśćby się mogli bez niebezpiecznych kapitałów i zakładów finansowych! Nauczcie ich i przekonajcie, że mogą własnemi siłami zapomódz się i podnieść. Nie doczekaż nigdy Francya — dodaje on, — męża stanu, któryby będąc sam wykształconym rolnikiem przekonał współobywateli, że nie złotem, ale odpowiednim nawozem, ale zasilaniem ziemi pierwiastkami, które jej nie dostają, podnosi się jej wartość i urodzajność".

„Zapożyczajcie się, — są znów słowa jego, — jeżeli chcecie w miejsce waszych obecnych kłopotów postawić niedostatek stanowczy, a poniżającą niewolę dłużnika w miejsce niezawisłości człowieka, który umiał przywyknąć do życia skromnego".

W Anglii, Holandyi, Belgii, i w niektórych częściach Francyi, kapitał *miejscowy i wymienny*, przenosi, a przynajmniej wyrównywa wartości ziemi samej. W innych częściach Francyi, i w wielu europejskich krajach kapitały te nie sięgają 4-tej części zbiorowego mienia rolnika.

Jakoż: w nieuposażonej przez naturę Belgii dzierżawca posiadający 10.000 franków, ogranicza się na przestrzeni

10-ciu hektarów ziemi, i na gospodarstwie swojem dobrze wychodzi, podczas gdy w środkowej Francyi rolnik posiadający taki sam kapitał, zadzierżawia 40 do 50 hektarów, i zaledwie wyżyć z nich może. Z kądże to pochodzi? — Oto rolnik środkowej Francyi, i ogromna większość rolników w innych europejskich krajach, nie zgłębiła dość warunków powodzenia w rolnictwie, zatem nie doszła do przeświadczenia, że nie rozmiary obszarów powiększających koszta nakładowe, lecz skupiona siła produkcyjna ziemi jest źródłem dochodu ziemiańskiego, że wreszcie *rzetelnym, prawdziwym i jedynym kapitałem ziemianina jest praca i nawozy przysparzane przez pracę.*

Gospodarstwo rolnika obracającego małym kapitałem na wielkiej przestrzeni walczy z trudnościami, jest niedołężne, cierpiące, bez życia. Dlaczegóż nie idziemy za radą sprawdzoną licznemi doświadczeniami, i połowy ziem naszych, łanów odleglejszych i gorszych nie pozostawimy na pastwisko dla bydła lub owiec, albo nie zasiejemy na las, który chociaż potomkom naszym przysporzy korzyści, a już za życia naszego podniesie wartość majętności. Dlaczegóż naszych sił produkcyjnych nie skupimy na drugiej połowie, która przyniesie więcej niż dotąd przynosi całość, która prócz tego oswobodzi nas od kłopotów i życie nasze uprzyjemni.

Tym sposobem ludzie umiejący liczyć i posiadający odpowiednie wykształcenie, czynią ulepszenia bez długów, zatem czynią je dla siebie samych. Oni zachowują dla siebie korzyści z ulepszeń tych wyniknąć mające.

Nie ulega wątpliwości, że rolnictwo, a właściwie każde pojedyncze gospodarstwo choćby najuboższe, może się zapomódz samo sobą, własnemi siłami, bez zapożyczania kapitałów obcych, bez długów. „Na sto pożyczek obciążających hypoteki, — twierdzi *Deseimeris*, mówiąc o Francyi, — zaledwie jedna polepsza rzeczywiście położenie rolnika; zaś 99 zaciągane są jak gdyby rozmyślnie na szkodę własną i rzadko się wydarza, by ta przygoda nie powiodła się zapożyczającemu jak najzupełniej. W tych nawet wypadkach,

gdzieby kapitał zapożyczony użytym był sumiennie na polepszenia rolnicze, nadzieje zawiodą zapożyczającego, bowiem na sto majętności podupadających lub zakłopotanych, jest niewątpliwie 99 takich, — a jest tu mowa, uważmy dobrze, o Francyi — które jedynie przez ścieśnienie obszarów folwarcznych podźwignąć i uratować można“.

Jeżeli stosunek powyższy jest prawdziwym, a że tak jest nie ulega zaprzeczeniu, cóż tedy powiedzieć można o tych właścicielach ziemiańskich, którzy dla zasilenia gospodarstwa swojego przybierają grunta nowe, nieużytki, ziemię z pod wykorczowanych lasów, lub osuszają odwieczne trzęsawiska?

Ziemia uprawiana dotąd we Francyi, — a na to zgadzają się wszyscy ekonomiści, — wystarcza na wyżywienie ludności miejscowej. Jeżeli zatem przybieranie ziem nowych, które wymagają nakładów wielkich a doraźnych, jest jeszcze przedwczesnem we Francyi, cóż tedy powiedzieć o krainach naszych, gdzie nietylko ludność jest stosunkowo rzadszą, ale gdzie nadto przez brak przemysłu i oświaty, spotrzebowania nie odpowiadają rozmiarom ludności miejscowej. Właściciele ziemiańscy nieposiadający kapitałów własnych, którzy przeto zapożyczonym groszem ulepszenia podobne poczynili, poczuli wkrótce smutne następstwa tych wysileń, jak u nas, tak wszędzie. A dość jeszcze szczęśliwemi byli ci, co pozbywając się majętności za cenę zniżoną, uratowali przynajmniej jej dawną wartość.

Czyż można porównać niebezpieczne i pełne trudów położenie rolnika, szukającego w ten sposób środków ratunku z tym, który skupiwszy gospodarstwo swoje na małej przestrzeni, widzi jak obfitym plonem ziemia odpłaca mu trudy jego? Jego inwentarze żyjące są pełne zdrowia i siły; jego obejście jest schludne i starannie utrzymane; on oddycha swobodną miernością, bo nie zna wierzycieli, ciężkich zobowiązań i rozległych kłopotów przechodzących siły pojedynczego człowieka. On służąc sobie, służy ojczyźnie, bo powodzenie powszechnie jest zbiorem powodzeń pojedynczych obywateli.

Gdyby rolnicy nasi w miejsce uciążliwych, a do żadnych wniosków nie doprowadzających rejestrów, dzielących robociznę na ciągłą i pieszą, na dnie z wozem, z broną lub z pługiem; z cepem, z kosą lub motyką, dzielili rachunkowość swoję według łanów mniej lub więcej urodzajnych, biorąc w rachubę czas stosownie do większej odległości lub trudniejszego przystępu *), i według tego dzielili, bez szczegółowych podziałów roboty na każdym z tych łanów dokonane, zatem koszta uprawy każdego z nich oddzielnie zapisywali, doszliby do przekonania, że są pomiędzy niemi takie, które żadnych nie przynoszą korzyści, że są takie nawet, przy których nakłady przewyższają przychody. Ale do prowadzenia rachunkowości takiej potrzeba pewnych usposobień, potrzeba umieć coś więcej niż pisać, trzeba rozstać się z rutyną.

Gdyby dalej rolnicy nasi, odstępując od niedołężnej oszczędności, w miejsce ekonomów przeważnie bez wykształcenia, źle płatnych, a niekiedy zepsutych przez niedostatek, powierzali gospodarstwo swoje ludziom posiadającym odpowiedne wiadomości, lubiącym zajrzeć do pism ogłaszających szczęśliwie gdzieindziej poczynione próby, i umiejącym te wynalazki i odkrycia nagiąć i przystosować do miejscowości w sposób właściwy; a nawzajem wynagradzali ich godziwie, widząc w nich przyjaciół i towarzyszów pracy; — słowem, gdyby rolnicy nasi przyjmowali życzliwe a uzasadnione rady nauki, — wyrzekliby niewątpliwie sami po upływie lat kilku: że w nauce i pracy, a nie w bankach, szukać należy ocalenia.

W narodzie, któremu grozi zagłada, odezwać się musi pewne *poczucie powszechne* w kierunku ocalenia powszechnego. To poczucie nazywamy *instynktem zachowawczym.* Stwórca w niezgłębionej mądrości swojej obdarzył instynktem

---

*) Jeżeli w skutku odległości lub trudnego przystępu wywóz mierzwy lub przywóz snopów tym samym wozem odbywa się w danem miejscu 3 razy prędzej niż w innem, nie ulega zaprzeczeniu, że przywóz ten jest 3 razy tańszy tu niż tam.

zachowawczym wszystkie organiczne istoty: rośliny: zwierzęta, ludzi pojedynczych, i narody jako ciała organiczne. Chmiel, powój, bluszcz chwytają się żerdzi lub drzewa, bo od tego zależy ich istnienie; owce goralskie napadnięte przez wilka, i ptactwo napadnięte przez orła gromadzą się szybko na około wroga, ściskają go, więżą i mącą, pokąd zwierz obłąkany nie rzuci się w stronę i nie opuści chybionej zdobyczy; — człowiek przymyka oko przed migającym się prętem, uchyla głowę przed spadającym kamieniem wprzód nim pomyśli o tem co czyni. — Ludy wzięte zbiorowo, posiadają także instynkt zachowawczy: Niderlandy powstają jako jeden mąż, i kruszą potęgę władcy trzech światów; — Grecy opanowują przemysł turecki i gromadzą wielkie majątki, a po czterystu latach niewoli odzyskują dawną niepodległość; — Włosi austryaccy mówią i piszą jedynie po włosku, nie przyjmują papierowych pieniędzy, liczą wszystko na liry, a narodowość ich nienaruszona przetrwała lat dwieście obcego panowania; Węgrzy przechowują ze czcią religijną ubiór narodowy, a ich Niemcy i żydzi stają się Madiarami bezwiednie. — Gdzie instynkt zachowawczy samoistnienia usnął, tam oświata zakorzenić się nie może, tam jest apatya, tam naród nie ma przyszłości: dnie jego są policzone! Przodkowie nasi czuli tę prawdę: ona się uwydatniła w przysłowiu:

„Gdy Bóg chce zgubić który lud,
„Odbierze mu pomysł wprzód“.

IV.

O MIERZENIU CZASU.

O mierzeniu czasu *).

Montesquieu w swojem nieśmiertelnem dziele, „Esprit des lois," powiada, że w czasie wielkich odkryć Europejczyków, napotykano na ludy umiejące liczyć tylko do dwudziestu, to jest do liczby wyrównywającej ilości palców u rąk i u nóg. Pomiędzy liczeniem przedmiotów zmysłowych, a pojęciem czasu i zrozumieniem jego podziału na części, leży przestrzeń niezmierzona.

W wielu okolicach kraju naszego, mianowicie na Rusi, nikt prawie pośród ludu nie wie kiedy się rodził i wiele ma lat; nikt nie wie o istnieniu miesięcy, i o dniach oznaczonych liczbą. Rozmaite zasiewy i zbiory wykonywają podług dni świętych patronów, o których się dowiadują w cerkwi.

Kalendarz był wszędzie dziełem ludzi wyższych, a jego dokładność i zgodność z ruchami ciał niebieskich jest miarą cywilizacyi narodu, do którego należał.

Jak widzialność słońca pierwsza zwróciła na siebie uwagę ludzi i utworzyła naprzód liczenie czasu na doby, tak bezpośrednio po niej dostrzeżono peryodyczne cztery zmiany księżyca, pojawiające się co dni 7 około. Ztąd pochodzi, że dzielenie czasu na siedmiodniowe tygodnie jest naj-

*) Osoby zajmujące się zadaniami tej natury znaleść mogą dokładniejsze wyjaśnienia w pierwodruku niniejszej rozprawy umieszczonym w „Album" wyszłym we Lwowie r. 1876 pod kierunkiem J. I. Kraszewskiego.

dawniejszym pojawem pewnej cywilizacyi. Rozszerzyło się ono po wszystkich ludach i przetrwało wszystkie przeobrażenia polityczne i religijne. Cztery takich zmian ujęte w całość, stanowią miesiąc księżycowy. Ponieważ cztery te zmiany razem wzięte czynią około dni $29^1/_2$, pierwsze przeto miesiące u rozmaitych ludów miewały na przemian po dni 29 i 30.

Gdy po pewnym dłuższym przeciągu czasu, powracały w naturze te same pojawy, do których stosować się musiały zajęcia rolników, żeglarzy, rybaków i innych, przeciąg ten czasu zatem nazwano rokiem, rozpoczynającym się z wiosną. Nie mogło ujść uwagi ludzi ówczesnych, że w tym dłuższym a powracającym okresie czasu przeobrażenia księżyca powtarzają się około 12 razy; ztąd też 12 miesięcy, obejmujących razem dni około 354, były najdawniejszym podziałem roku na miesiące.

Egipcyanie, wszczególności zaś astronomowie aleksandryjscy dostrzegli pierwsi, że 12 miesięcy księżycowych obejmują o dni 11 mniej niż rok słoneczny, uważany oddzielnie. Spostrzeżenie to oparli na *gwiazdach nieruchomych*, a mianowicie na Siryusie, do ktorego słońce powracało dopiero po upływie dni 365. Dokładniejsza obserwacya była niemożliwą w owych czasach, z powodu braku przyrządów astronomicznych. Późniejsi dopiero astronomowie, jak zobaczymy dostrzegli niedostających około godzin 6.

Rozmaite sposoby mierzenia i rozliczania czasu, podzielić można na cztery systemy: dowolny, księżycowy, księżycowo-słoneczny i czysto słoneczny. Poznamy je bliżej przechodząc kolejno kalendarze, używane przez główniejsze ludy starego i nowego świata. Nie od rzeczy jednak będzie nadmienić wprzód o naturze każdego z nich, i wskazać zbiorowo ludy, które go używały.

W dowolnym kalendarzu przyjmuje się jakakolwiek ilość dni rocznych, ale zawsze ta sama. Początek roku takiego przypada w rozmaitych porach, i dopiero po upływie bardzo wielu lat trafić może znów na ten sam dzień. Kalendarz taki używany był u starożytnych Egipcyan i pier-

wotnych Greków, pierwotnych mieszkańców Italii, u Persów, Armeńczyków i Kapadończyków.

Księżycowy. Podstawą tego kalendarza jest tylko księżyc sam. Trwanie każdego miesiąca tak się układa, aby się skończyło w przededniu nowego księżyca. Biorąc pewną ilość lat takich, rok średni składać się będzie z dni 354 i około godzin 8. Jest to kalendarz obmyślany przez Arabów, a przyjęty przez wszystkie ludy mahometańskie.

Zasadą ogólną kalendarza *księżycowo-słonecznego* jest trwanie każdego księżyca na niebie od nowiu do nowiu. Ponieważ zaś po upływie takich 12 miesięcy początek roku nie wraca na dawne miejsce, przeto po kilkunastu latach dolicza się miesiąc 13, który się zwie *Cyclus*. Biorąc taki kilkunastoletni okres czasu, rok średni księżycowy ma także 364 dni i $^1/_4$. Tych kalendarzy używali Grecy starożytni i Macedończycy. Dotąd używają go Chińczycy, Japończycy, Mogołowie, Indyanie Indostanu. Kalendarz żydowski jest tej samej natury.

Czysto słoneczny. Opiera się na doliczaniu co lat cztery dnia jednego i około $^1/_4$, tak, że ziemia po upływie tego czasu odzyskuje dawne położenie. Używają go ludy chrześciańskie ze zmianami później poczynionemi, o których zobaczymy niżej.

Podział powyższy odnosi się do fenomenów przyrodzonych. Pod innym względem podzielićby można kalendarze, na cywilny, religijny i rolniczy. W Chrześciaństwie prócz kalendarza gregoryańskiego, który służy do wszelkiego użytku, obowiązującym jest także kalendarz czysto kościelny, którego przeznaczeniem jest jedynie oznaczyć dzień Wielkiej nocy, jako punkt wyjścia innych świąt ruchomych, tudzież postów i zapust.

Żydzi używali także dwoch kalendarzy. Ich rok religijny rozpoczynał się od wiosennego porównania dnia z nocą, zaś cywilny od jesiennego. U Greków prócz kalendarza księżycowo-słonecznego, był także kalendarz religijny, którego miesiące różnej długości odpowiadały dwunastu znakom

zodyaka i nosiły ich nazwy. Podług tego kalendarza rozkładali oni roboty rolnicze.

Znajomość rozmaitych kalendarzy starożytnych, jest warunkiem dokładności chronologicznej w historyi. Historycy stosują przeważnie do wszystkich narodów kalendarz juliański, inni używają rozmaitych, zkąd też powstały liczne niezgodności w dziejach starożytnych.

Przejdźmy do kalendarzy szczegółowych.

Egipcyanie używali kalendarza dowolnego, podług którego rok obejmował 365 dni. Ponieważ rok słoneczny jest dłuższym o 6 godzin mniej ułomek, przeto ich początek roku postępował ciągle naprzód, a po upływie lat 1460 ilość lat liczonych, była mniejszą o rok jeden od ilości lat słonecznych, t. j. prawdziwych. Ażeby to liczenie czasu zgodzić z czasem prawdziwym, dodawali oni po upływie lat 1460 rok jeden, który nazywali rokiem bożym, rokiem kanikularnym, lub peryodem zodyakowym. Pierwszy z tych lat, t. j. pierwszy okres kalendarza egipskiego, przypadł na lat 2782 przed Chrystusem, zaczem kalendarz ten istniał u Egipcyan już na lat 4242 przed naszą erą.

Rok egipski zawierał 12 miesięcy po dni 30. W końcu roku doliczano oddzielnie dni 5, które się nazywały dopełniającemi (épagomènes). Nazwy tych miesięcy są: thoth, paophi, athyr, choïak, tybi, méchir, plamenoth, pharmuthi, puchon, payni, épiphi i mésori.

Persowie starożytni używali tego samego podziału czasu, t. j. kalendarza egipskiego. Ich miesiące nazywały się: farvardin, ardibeheseht, khordad, tir, amerdad, schavriver, mihir, aban, ader, deh buhman, i isfendarmad.

Kalendarz ten trwał nienaruszony do czasów Aleksandra, który wstąpił na tron perski po Daryuszu w r. 329 przed Chrystusem. Ponieważ nietylko uczeni starożytnego Egiptu, ale i ludzie pojedynczy w prywatnem życiu dostrzegali, że kalendarz istniejący zawiera pewne niedokładności, poprawa jego przeto stała się niezbędną; — poprawa ta jednak była bardzo trudną z powodu, że każdy miesiąc i każdy dzień miał swego anioła opiekuna, których ducho-

wieństwo egipskie naruszać nie dozwalało. Zaradzono temu jednak w następujący sposób. Ponieważ rok prawdziwy ma dni 365 i około $^1/_4$, zaś 12 miesięcy po dni 30 czynią tylko dni 360, przeto niedostające dnie całe, których jest 5, umieszczono z kolei po każdym z 12 miesięcy, przez co aniołowie opiekujący się miesiącami, obejmowali z kolei pod swoję opiekę dnie nadliczbowe. Co się tyczy $^1/_4$ dnia, która wzięta 120 razy daje dni pełnych 30, postanowiono, aby co 120 lat doliczano do roku miesiąc 13. Okresów tych Persya przetrwała 8. Dziewiąty poczynał się 16 Czerwca r. 632 po Chr., zaczem kalendarz ten trwał tam lat blizko 1000. Wyszedł on z używania po obaleniu dawnej monarchii perskiej przez Mahometanów. Persowie jednak, którzy zachowali swoję religię, powrócili do kalendarza dawnego.

Ormianie, a właściwie Armenianie, używali kalendarza zupełnie dowolnego, gdzie rok składał się także z 12 miesięcy po 30 dni, skutkiem czego początek roku cofał się corocznie o dni 5 i $^1/_4$, zaś powracał na dawne miejsce co lat 69 $^4/_7$, czyli co dni 25.411. Od czasu nastania w państwie rzymskiem kalendarza juliańskiego, używali go Armeńczycy dla oznaczenia świąt. Miesiące armenskie nosiły nazwy: Navasarli, Hori, Sahmi, Dré, Kaghots, Arats, Méhégi, Aréki, Ahki, Maréri, Margats i Hrodits.

Ludy, które zamieszkały okolice morza Kaspijskiego i Kaukazu, jak Georgianie i Albańczykowie, a dawniej Kapadoci, używali kalendarza w części perskiego, w części ormiańskiego.

Syryjczykowie mieli kalendarz księżycowo-słoneczny z tą przecież niedokładnością, że dni ułamkowych nie doliczali do każdego roku, ale po upływie pewnego lat szeregu tworzyli z dni niedostających miesiąc 13 tak, aby początek roku przypadł znów na dzień jesiennego porównania dnia z nocą, t. j. na 21 Września. Po opanowaniu Syryi przez Rzymian, wprowadzono tam kalendarz juliański, którego używają dotąd niektóre ludy i sekty Syryi, jakoto: Nestoryanie i Jakobici. Początek ich roku przypada na dzień 1 Października. Oto są nazwy ich miesięcy: Tisri 1szy,

Tisri 2gi, Kanun 1szy, Kanun 2gi, Sabat, Adar, Nizan, Syar, Haziran, Tamuz, Ab i Elul.

Kalendarz arabski. Pod tą nazwą obejmuje się kalendarz używany nietylko przez Arabów, ale także przez wszystkie ludy wyznające religię Mahometa. Jest to jedyny kalendarz opierający się wyłącznie na księżycu. Każdy miesiąc kalendarza tego rozpoczyna się z nowym księżycem, przez co rok arabski obejmuje dni 354, a niekiedy 355. Skutkiem tego ciągłego opóźniania się, miesiące arabskie przechodzą wstecz wszystkie cztery pory roku, i dopiero po upływie lat 33 powracają na dawne miejsca. Nazwy tych miesięcy są: Mouharram, Safar, Reby 1szy, Reby 2gi, Djoumadi 1szy, Djoumadi 2gi, Redjeb, Schaliban, Ramudan, Schewal, Dsoulkaadah, Dsoulhejdah.

Liczenie miesięcy podług nowiów używanem jest przez ludy mahometańskie, równie w Europie, jak w Azyi i Afryce. Kalendarz spisany a używany przez stany wyższe i w rzeczach urzędowych, naznacza na przemian jednym miesiącom po dni 29, innym po dni 30. Kalendarz przez lud praktykowany prowadzi do ciągłych zawikłań, z powodu, że nów pojawiający się na niebie, nie wszędzie dostrzeżonym być może o tym samym czasie, zwłaszcza na wielkich przestrzeniach. Gdy prócz tego dnie pochmurne pojawienie się jego opóźniają, ztąd wynika, że w niewielkich nawet odległościach początek miesiąca liczony jest o dwa, lub trzy dni wcześniej lub później.

Epoką od której Mahometanie liczą lata swoje, jest ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny. Jako początek tej ery oznaczono według kalendarza naszego, dzień 16 Lipca r. 622. Roku 1825 liczyli oni rok 1242. Według obliczeń dokonanych później, ów dzień 16 Lipca przypadł podówczas w piątek; zkąd pochodzi, że świętem tygodniowem u Mahometanów jest Piątek. Kalendarz ten zaprowadzony został przez Omara III. Wszystkie święta mahometańskie są nieruchome względnie do kalendarza mahometańskiego, w rzeczywistości zaś cofają się ciągle przez czas trwania cyklu, który je w dawny wprowadza porządek.

Kalendarz *grecki* był początkowo jednolitym w całej Grecyi, i trwał do szóstego wieku przed erą naszą. Według niego rok składał się z 12 miesięcy po dni 30, więc obejmował razem dni 360. Ponieważ jednak co drugi rok dodawano miesiąc 13, złożony także z dni 30, przeto ich rok średni przeciętny, obejmował dni 375. Przeciąg czasu złożony z dwóch takich lat, nosił nazwy *trieteridy*.

Od szóstego wieku przed Chrystusem urabiać się zaczęły w Grecyi pojęcia astronomiczne, skutkiem czego zaczęto dostrzegać błędne liczenie czasu. Sprostowanie go przedstawiało trudności, bowiem kalendarz powszechny grecki uświęcony był przez religię i długie wieki. Ażeby lud skłonić do naruszenia go, użyto pośrednictwa bogów. Wyrocznie wtedy poleciły (co potrzebnem było do uregulowania czasu), aby święta i ofiary dotąd czynione i obchodzone w dwóch różnych epokach, zlane były razem na jeden miesiąc, zalecając przytem, ażeby rok liczono podług słońca, zaś miesiące i dnie podług księżyca. Astronomowie już wiedzieli, że księżyc trwa średnio dni 29 i $^1/_2$. Dnie te wzięto dwa razy, co czyniło 59, a tę ostatnią ilość dni podzielono na dwie części nierówne, skutkiem czego jeden miesiąc miał dni 30, a drugi 29. Urządzenie to przypisują Solonowi. Pierwszy nazywano *pełnym*, a drugi *próżnym*. Rozkład ten czasu nie mógł stanowić roku, którego 12 księżyców nie wypełniało; zaczem łączono 30 miesięcy księżycowych w jednę całość, niejako w rok księżycowy, bowiem po upływie tego czasu księżyc powracał na dawne miejsce, t. j. że pierwszy nów wiosenny pojawił się znów w tym samym dniu. Z tego to powodu ten miesiąc trzydziesty kończący bieg księżyca, nazywano ἕνη καὶ νέα.

Największą trudność przedstawiało zgodzenie roku księżycowego ze słonecznym, z których pierwszy przedstawia dni 354, zaś drugi podług obliczeń ówczesnych astronomów zawierał dni 365 i $^1/_4$. Ażeby pogodzić oba, wzięto ośm razy różnicę między jednym a drugim, co uczyniło dni 90, czyli 3 miesiące pełne. Te trzy miesiące nadliczbowe, umieszczono po roku 3, 5 i 8 w przeciągu lat 8; ten okres

8mioletni nazywał się *oktaetyrydą*. Lat 8 urządzonych w ten sposób obejmowały dni 2922, t. j. tyle właśnie, ile potrzeba dla utworzenia lat ośmiu słonecznych, licząc podług ówczesnych astronomów po dni 365 i $^1/_4$ na 1 rok. Tym sposobem rok słoneczny równie jak rok księżycowy wracały po danym okresie czasu na dawne miejsca; pierwszy po 30 miesiącach, drugi po 8 latach.

To urządzenie roku słonecznego i księżycowego było już znacznym postępem, ale nie odpowiadało jeszcze rozkazom wyroczni, według których lata iść miały podług słońca, a miesiące i dnie podług księżyca: tudzież aby święta i ofiary, z których jedne szły za słońcem, drugie za księżycem, przypadały w tej samej porze i w tym samym miesiącu. Pozostawało przeto jeszcze do rozwiązania, jakim sposobem urządzić można kalendarz tak, aby zeszedł się rok księżycowy ze słonecznym. Astronomowie greccy dostrzegli, że z końcem każdej *oktaeterydy* rok księżycowy spóźniał się o 1 dzień i $^1/_2$, względnie do roku słonecznego. Po dwóch *oktaeterydach* różnica wynosiła 3 dni. Połączono więc dwie *oktaeterydy*, co uczyniło lat 16, na końcu których umieszczono owe 3 dni nadliczbowe.

Poprawę tę uczyniono w Atenach, gdzie byli astronomowie. Inne rzeczypospolite znajdowały się w ciągłem opóźnieniu swego kalendarza. Stopniowo dostrzegły one jednak, gdy święta coraz więcej się cofały, że dawnego obliczenia zatrzymać nie można. Ale kalendarz ateński nie odpowiadał także zadaniu, które chciało, aby lata szły według słońca, a dnie i miesiące według księżyca. Bowiem dodając 3 dni do każdych lat 16 (t. j. do podwójnej *oktaeterydy*), byliby Ateńczykowie po upływie lat 160 wyprzedzili o cały miesiąc prawdziwy bieg lat słonecznych. Uchwalono tedy, aby po upływie tego okresu wtrącono jeden miesiąc. Zbyt długi czas przeznaczony na sprostowanie błędów rosnących z roku na rok, skłonił Ateńczyków do nowych poszukiwań.

Astronom nazwiskiem Meton, wpadł na myśl połączenia lat 19 w jeden okres, tak, aby jego dnie, miesiące

i lata szły ciągle według księżyca, zaś jego koniec zgadzał się z rokiem słonecznym. Oparł on obliczenie swoje na południku ateńskim, według którego pierwszy nów przypadł dnia 15 Lipca o godzinie 7 i 15 minut z południa, r. 432 przed Chr. Ten okres 19letni obejmował dni 6940, które rozdzielono na 253 miesięcy, między któremi było 7 nadliczbowych. Pośród tych miesięcy, 125 obejmowało po dni 30, zaś 110 po dni 29. Ten to kalendarz zatrzymali żydzi dotąd.

Rzecz dziwna. Grecya stojąca w dziejach starożytnych na czele współczesnej oświaty, napotkała na więcej trudności urządzeniu swego kalendarza, niż którykolwiek inny naród, a przyczyną pierwszych tych trudności były rozkazy bogów sprzeciwiające się przyrodzonemu rzeczy porządkowi. Pomijamy tu rozliczne przemiany i poprawki czynione w kalendarzu astronoma Metona. Ostatecznie jego obliczenie nie mogło się zgodzić z rokiem słonecznym, a po upływie lat 76, występowała różnica dnia jednego wynikająca z drobnej pomyłki w obliczeniu obrotu ziemi. Uchbienie to sprostował sławny ateński astronom *Kallip z Oyziku*, żyjący za panowania Aleksandra. Utworzył on okres czasu z lat 76, obejmujący przeto 4 okresy Metona, strącając od ostatniego dzień zbyteczny, który narastał w ciągu czterech. Wszystkie inne rozliczenia Metona pozostały tu nienaruszone. To nowe liczenie rozpoczęto w r. 330 przed Chr., t. j. od epoki, w której Aleksander stał się panem Azyi.

Nie należy spuszczać z uwagi, że kalendarz ten dwóch znakomitych astronomów ateńskich przetrwał aż do naszych czasów i nosi nazwę *kalendarza duchownego*, zaś okres czasu, który obejmuje, nazwano *liczbą złotą*.

Nie trzeba sobie wyobrażać, ażeby kalendarz nazwany greckim przyjętym był w całej Grecyi i w osadach greckich. Drobne rzeczypospolite, z których każda miała oddzielne prawodawstwo, inne obyczaje i różny stopień oświaty, które wojowały pomiędzy sobą i łączyły się z obcym nieprzyjacielem, dla poskromienia rywala i sąsiada, nie mogły także zgodzić się na wspólny kalendarz. Rzeczypospolite

i miasta: Argos, Sikion, Korynt, Korcyra, Jonia, Kreta, Cyrenea, Sycylia, Achaja, Lacedemonia, Teby, Delfi, Tessalia, Focya, Lokrya, wreszcie liczne osady na wybrzeżu morza Śródziemnego miały odmienne kalendarze.

Znajomość kalendarza ateńskiego jest ważną nietylko z powodu, że ten zachował się po części aż do naszych czasów, ale także dla tego, że historycy starożytni trzymali się go przeważnie pod względem chronologicznym. Układ też kalendarzy innych z dokładnością znanym nie jest. Oto są nazwy 12 miesięcy ateńskich: Hekatombeon, (dawniej Kronion), Metageitnion, Boedromion, Pyanepsion, Moemakterion, Posideon, Gamelion, Anthesterion, Elafebelion, Munychion, Thargelion i Sciroforion. Miesiąc 13 dodatkowy, o czem powiedziano wyżej nazywał się Pesideon i umieszczony był w środku roku, gdy nadszedł okres jego powstania.

Jest rzeczą godną uwagi, że podstawą polityki rzymskiej było pozostawianie ludom zawojowanym, równie w Galii jak w Azyi, ich własnych instytucyi i praw samorządu. W Grecyi nie inaczej postąpiono; dla tego też kalendarz ateński używanym tam był aż do czasów chrześciańskich.

Kalendarz macedoński, zasługuje na uwagę z powodu, że podboje Aleksandra i jego sława przyczyniły się potężnie do rozszerzenia kalendarza tego w części Europy i w Azyi. Pomimo różnych zdań często nieuzasadnionych, zdaje się, że Macedończycy używali kalendarza greckiego, co tembardziej przypuścić można, że kraj ten zaludnionym był przeważnie przez Greków, że język grecki był tam językiem powszechnym, że królowie macedońscy byli Grekami pochodzącemi z Argos, a potomkami Herkulesa. Przekonanie to popiera ten jeszcze szczegół, że trzy spostrzeżenia astronomiczne poczynione w Babylonie, a przechowane przez Ptolomeusza, z dni 19 Listopada r. 245, z 30 Października r. 237 i z 1 Marca r. 229 przed Ch., tudzież napis odkryty przez Francuzów w Egipcie z dnia 27 Marca r. 196 przed Chr., oparte są na obliczeniach obrotu księżycowego, zgodnie z kalendarzem macedońskim i ateńskim. Kalendarz

macedoński narzeczeny przez Aleksandra w krajach, które podbił, upowszechnił się w całej Azyi Mniejszej, w Syryi, w rzeczach pospolitych Fenickich i w Egipcie, za czasów Ptolomeusza astronoma. Rzymianie stawszy się panami posiadłości macedońskich, pozostawili zwyczajem swoim wolność używania dotychczasowego kalendarza. Chrześcianie syryjscy ortodoxowie i Jakobici używają dotąd nazw miesięcy podług kalendarza macedońskiego. Nazwy te są: Dius, Apelleus, Audineus, Peritius, Distrus, Xantikus, Artemisius, Dezius, Panemus, Lous, Gorpieus i Hyperbereteus.

Kalendarz żydowski, a właściwie sposób w jaki czas swój liczyły starożytne ludy Izraela, niedość jest znanym. Zdaje się wszakże nieulegać wątpliwości, że starożytni żydzi obliczali czas, jak to czynią Arabowie, według dostrzeganych na niebie odmian księżyca, który też dotąd jest ich czci przedmiotem. Twierdzenie to popierają równie dzieje Izraelitów, jak ich księgi kościelne.

Z pierwotnych nazw miesięcy żydowskich zachowały się tylko trzy, drugiego, siódmego i ósmego, które są: Ziu, Bul i Ethanim. W niewoli babylońskiej przechowali żydzi dawny kalendarz, bowiem religia ich sprzeciwiała się wszelkim zmianom. Prawdopodobnie przyjęli doliczanie dni nadliczbowych podług zwyczaju miejscowego, równie jak przyjęli język chaldejski.

Powróciwszy z niewoli babylońskiej przynieśli nazwy tamtejsze miesięcy, które przechowali dotąd.

Od wyjścia z Egiptu żydzi zmuszeni byli używać kalendarza księżycowo-słonecznego, a to z powodu nastałych odtąd świąt wielkanocnych. Zaczęli więc dodawać do roku miesiąc nadzwyczajny, ażeby Wielkanoc przypominająca ich wyjście z niewoli egipskiej, przypadała zawsze w dzień pełni najbliżej wiosennego porównania dnia z nocą i ażeby Zielone święta, w których czyniono Bogu ofiarę z pierwszych zbiorów wiosennych przypadały 50 dni później. Nów miesiąca poprzedzający owę pełnię był początkiem roku, który przypadł zawsze na wiosnę.

Kalendarz używany obecnie przez żydów powstał do-

piero w początku IV wieku ery naszej. Pierwszy pomysł kalendarza tego podał Rabin Samuel w mieście Sora w Arabii pustej, zaś Rabinowie Adda i Hillel ulepszyli go w pół wieku później.

Żydzi lata ery swojej liczą od stworzenia świata, które oznaczają na lat 3761 przed narodzeniem Chr.; zaczem dodając do liczby tej rok bieżący ery naszej, otrzymujemy rok bieżący kalendarza żydowskiego. Kalendarz ten opiera się na tem samem obliczeniu, na którem Meton oparł swój pierwszy kalendarz, a który polega na 19toletnim Cyklusie. W liczbie tych lat 19 kalendarz żydowski ma lat zwykłych 12, a 7 przestępnych. Przestępnemi są: 3, 6, 8, 11, 14, 17 i 19 każdego Cyklusa, a każdy z tych ma 383 dni, 21 godzin, $^{13}/_{18}$ minut, zaś każdy zwykły ma 354 dni, 8 godzin, 48 minut i $^{2}/_{3}$ około, zaczem cały Cyklus lat 19 ma 6939 dni, 16 godzin, minut $33^{1}/_{18}$=dni 6939·689622. Dziewietnasta część tej ogólnej sumy daje dni 365·246822, która zgadza się z obliczeniem kalendarza naszego niemal w zupełności, bowiem jest większą od niego tylko o $^{1}/_{200}$ dnia, czyli, oznaczając dokładnie: 0·004567.

Ponieważ każdy miesiąc żydowski zaczynać się musi na nowiu, oznaczyli oni przeto trwanie każdego na 29 dni, 12 godzin, 44 minut, 3·33 sekund, zaczem tylko o 0· sek. 51 większy od nowszych astronomicznych obliczeń.

Nowy rok żydowski rozpoczyna się zawsze od nowiu, który jest najbliższym jesiennego porównania dnia z nocą. Dzień rozpoczynający rok odkłada się niekiedy do dnia następnego, z powodów religijnych, a mianowicie gdy nów przypada na Niedzielę, Środę lub Piątek; gdy nów zajął już więcej niż godzin 18 doby, do której należy i t. d. Z powodu, że 12 zmian księżycowych na niebie nie dają roku słonecznego czyli rzeczywistego, żydzi przeto równie jak starożytni, o czem mówiono wyżej, doliczają miesiąc 13; skutkiem tego ich lata zwykle mają dni od 353 do 355, lata przestępne od 383 do 385; zaś miesiące, których ściśle według godzin, minut i sekund w zastosowaniu praktycznem oznaczyć nie można było, mają po dni 29 i 30.

Oto są prawdziwe nazwy miesięcy żydowskich, pozmieniane w wielu kalendarzach: Tischri (dni 30), Marcheswan, Kislaw, Tebeth (29), Schwat (30), Adar (29), W Adar, Nisan (30), Ijar (29), Siwan (30), Thamuz (29), Ab (30), Elul (29), licząc w to miesiąc dodatkowy czyli 13ty. Miesiące przy których dnie nie są wymienione, mają ich niekiedy 30, a to według tego, czy rok rozpoczyna się w dniu właściwym, czy też odłożony jest na dzień następny.

Kalendarz Słowian przedchrześciańskich pokryła gruba mgła niepewności, równie jak ich całe dzieje pierwotne i ich początki, może grubsza jeszcze, bo pierwsi kronikarze słowiańscy niewielkie do szczegółu tego przywiązywali znaczenie.

Mylnem wydaje się przypuszczenie, jakoby ci odlegli przodkowie nasi dzielili czas na tygodnie pięciodniowe, to bowiem nieopierałoby się na żadnem pojawie przyrodzonym, a tu tylko podstawy wszelkiego liczenia czasu szukać można było. Przeciwnie, jak u wszystkich starożytnych ludów, tak i u Słowian widzialne na niebie zmiany księżyca, musiały stanowić o ich liczeniu czasu. Miesiące z których każdy oddzielonym był od innego nowym na niebie księżycem i cztery przemiany tegoż księżyca, z których każda obejmuje dni 7 i ułomek, musiały u Słowian także stanowić ich pierwsze miesiące i tygodnie, zaś 12 przemian księżycowych rok jeden.

Po przyjęciu chrześciaństwa kalendarz juliański uznany przez duchowieństwo i upowszechniony w całej Europie był praojców naszych kalendarzem.

Co do nazwy miesięcy, te różniły się między sobą wtenczas jeszcze, gdy Słowiańszczyzna zachodnia, a właściwie Polska rozszerzać się już zaczęła na zachód i na południe, i tak: w Polsce właściwej Ledzień, Luty, Kazidroga, Łżykwiat, Maj, Czerwień, Lipień, Stajan, Październik, Pajęcznik, Prosiniec, Grudzień. U Rusi południowej, Siczeń, Łyć, Berezczot (na Rusi zachodniej Berezeń) Ćwiteń, Traweń, Czerweń, Łypec, Serpeń, Wreseń (na Podgórzu Kwiceń), Pazdernyk, Łystopadeń, Hrudeń. Jak widzimy, nazwy

które Ruś przyjęła była, przemogły w znacznej części nazwy dawnopolskie i przechowały się u nas dotąd.

Przytoczywszy nazwy miesięcy u rozmaitych ludów używane, nie odrzeczy będzie także wymienić staroniemieckie: Wintermond, Hornung, Lenzmond, Ostermond, Wonnenmond, Brachmond, Heumond, Erntemond, Herbstmond, Weinmond, Windmond, Heilmond. Widzimy, że dawni Niemcy równie jak Słowianie, a w szczególności Polacy, nazwy miesięcy wydobyli z własnego języka, opierając je na właściwościach pór roku. Powyższe nazwy miesięcy odnoszą się już do kalendarza juliańskiego, po za który okres czasu nie sięgają dzieje ludów germańskich.

W kalendarzu rzymskim starożytnym według niektórych autorów składał się rok w pierwszych wiekach Rzeczypospolitej z dziesięciu miesięcy i rozpoczynał od miesiąca Marca. Nazwy 4 ostatnich miesięcy przechowane dotąd we wszystkich językach prócz słowiańskich, są tego także dowodem. Rok ten obejmował 304 dni, rozdzielonych jak następuje: Martius 31, Aprilis 30, Majus 31, Junius 30, Quintilis (później Julius) 31, Sexstilis (później Augustus) 30, September 30, October 31, November 30 i December 30. Według Plutarcha rok rzymski obejmował od dawna dni 360, podzielonych na 10 miesięcy. Twierdzenie to zdaje się prawdziwszem, bowiem ta ilość dni w roku przyjmowaną była powszechnie przez inne ludy tej epoki, zaś w szczególności przez Albę, zkąd pochodził Romulus i wszyscy jego towarzysze, a współzałożyciele Rzymu. Ten pierwotny kalendarz Rzymian i innych ludów zamieszkujących Latium, musiał być bardzo kłopotliwym, zwłaszcza, że owe 10 miesięcy roku dzieliły pomiędzy siebie 360 dni w sposób nader niejednostajny. Jedne z nich zawierały po dni 30 i kilka, inne nawet niżej 20, co nie zgadzało się ani ze słońcem, ani z księżycem. Był to przeto kalendarz zupełnie *dowolny*.

Numa zrodzony w mieście greckiem, przeistoczył kalendarz dotychczasowy na wzór greckiego, dzieląc 360 dni na 12 miesięcy po dni 30. Miesiące te szły jak następuje: Januarius, Martius, Aprilis, Majus, Junius, Quintilis (Julius)

Sexstilis (Augustus), September, October, November, December i Februarius. Było to już znaczne ulepszenie. W sto lat później kalendarz rzymski uległ nowej zmianie, skutkiem wpływu, jaki na Rzym wywierały Ateny, gdzie się gromadziło najwięcej uczonych. Kalendarz ateński napotkał w Rzymie na niemniejsze trudności z tej samej przyczyny co tam, a mianowicie, że chciano bieg roku całego zgodzić ze słońcem, zaś miesiące i dnie z księżycem. Zwyczajny rok rzymski podług tego nowego kalendarza, obejmował dni 355 podzielonych między 7 miesięcy po dni 29, 4 po dni 31, a jeden ostatni dni 28, zaś co drugi rok był rokiem przestępnym, do którego dodawano miesiąc 13ty obejmujący raz dni 22, a raz 23. Ten okres 4 letni obejmował tedy dni 1465, zaczem na rok średni przypada dni 366 i $^1/_4$, skutkiem czego rok rzymski tej epoki posuwał się corocznie o 1 dzień. Ażeby błąd ten sprostować, przyjęto 3 okresy po lat 8, z których dwa pierwsze liczono sposobem dotychczasowym, zaś w ostatnim umieszczono zamiast 4 tylko 3 miesiące dodatkowo po dni 22, skutkiem czego cofano się o dni 24, a początek roku powracał na dawne miejsce. Po tej poprawie kalendarza opartej na systemie Metona, przeniesiono ostatni miesiąc zwany Februarius na drugie miejsce, co stało się pod rządem Decemwirów.

Jeżeli historycy napotykają na tak wiele trudności w oznaczeniu chronologicznem dziejów rzymskich, trudności te niewypływają z kalendarza opisanego powyżej, który był jasnym i stanowczym, ale ztąd, że opiekę nad nim poruczono duchowieństwu, które go przekręcalo według potrzeb swoich. Dodawali oni dnie i miesiące nadliczbowe, jakoby przestępne, skutkiem czego miesiące letnie przeszły stopniowo na zimowe. Powodem tych przemian była ta okolicznoś, że duchowieństwo czuwać miało nad tem, ażeby dnie zwane *nundina* nie schodziły się nigdy z dniami zwanemi *nones*, a to dla tego, że te ostatnie poświęcone były uroczystym obchodom na cześć Serwiusza Tuliusza, zaś pierwsze były dniami targów miejskich. Zlanie jednych i drugich byłoby sprowadzało mnóstwo ludu okolicznego do miasta, co zawsze

groziło zaburzeniem. Stopniowo nie trzymano się już żadnej zasady, a nawet zaniedbano dodawania dni przestępnych, skutkiem intryg i widoków osobistych. Duchowieństwo czyniło zmiany lub odmawiało takowych według tego, czy chciało utrzymać przy władzy lub obalić osoby stojące na czele rządu. Jak dalece kalendarz ten stał się w końcu niepewnym i zmiennym, dość jest nadmienić, że w r. 190 przed Chr. 1 Stycznia (Januarii) przyszedł na 29 Sierpnia, zaś w lat 22 później tenże 1 Stycznia przypadł na 15 Października.

Kalendarz juliański. Kłopotliwość nadzwyczajna w liczeniu czasu czuć się dawała wszystkim od dawna w Rzymie, ale nikt nie śmiał odezwać się przeciw ustalonemu zwyczajowi, który był w ręku księży. Potrzeba było samowładztwa Juliusza Cezara, ażeby ulepszenie do skutku doprowadzić. To śmiałe przedsięwzięcie nie było mu trudnem dlatego także, że był *pontifex maximus*, zaczem głównym stróżem kalendarza.

Dotychczasowy kalendarz rzymski oparty na ateńskim, przyjmował dni 355 okrągło, przezco początek roku cofał się nieustannie, a za Juliusza Cezara różnica ta wynosiła już dni 79.

Cezar w czasie pogoni za Pompejuszem do Egiptu, poznał tam jednego ze sławnych astronomów, nazwiskiem *Sozigenes*. Astronom ten był pierwszym, który obliczył, że słońce powraca na dawne miejsce po upływie dni 365 i $^1/_4$, że zatem doliczając dzień i do każdego czwartego roku, rozkład kalendarza zgadzać się będzie z biegiem słońca. Cezar przy pomocy jednego z uczonych Rzymian nazwiskiem Flawiusz, który go w pracach tych wspierał, dzień ten dodatkowy umieścił na końcu miesiąca Lutego (Februarius). Ponieważ w dawnym kalendarzu rzymskim niektóre miesiące miały tylko po dni 29, Cezar przeto przybywające obecnie dni 10 do roku (rok dawny miał 355 dni), rozdzielił pomiędzy te miesiące, podnoszące je także do 30. Cezar chcąc się również zastosować do dawnego zwyczaju, postanowił przenieść początek roku na zimowe przesilenie dnia

z nocą. Ponieważ jednak w roku, w którem się to działo, nów przypadł w dni 8 po przesileniu, a Cezar chciał kalendarz swój rozpocząć z nowym księżycem na niebie, początek przeto roku przypadł w dni kilka po przesileniu zimowem. Zwyczaj ten przechował się aż do naszych czasów.

Marcus Antonius, który był kosulem i objął ster rządów po zamordowaniu Cezara, polecił na uczczenie pamięci reformatora nazwać Juliusem miesiąc, który dotąd nosił nazwę Quintilis, zaś w 30 lat później dekretem Senatu Sextilis przezwano Augustus, na cześć Oktawiana, gdy ten przybrał imię Augustus.

Według rozkładu dni zrobionego przez Flawiusza i Cezara, Luty zwykły miał dni 29, a w latach przestępnych 30, zaś Sextilis, obecnie Augustus, dni 30. Pochlebcy Oktawiana nie chcieli dopuścić, ażeby miesiąc poprzedzający na cześć Cezara Juliusem nazwany, miał dni 31, zaś poświęcony Augustowi tylko 30. Ujęto przeto Lutemu dzień jeden, a przeniesiono go na Sierpień. Ztąd to pochodzi, że Luty zwykły ma tylko dni 28. W miarę zepsucia rosły pochlebstwa tego rodzaju: imiona samowładzców Rzymu nadawano podbitym i nowo-odkrytym krajom, na ich cześć przezywano miasta, uczeni dostrzegali niby nowe gwiazdy, których nawet dostrzedz jeszcze podówczas nie mogli, z powodu braku narzędzi, ażeby gdzieś na błękitach niebios umieścić imiona swoich władzców. Gdy i to się wyczerpało, zeszli do kalendarza, by imionami ich oznaczyć pewne miesiące. Dekretem Senatu nazwano Neronem Kwiecień; inną uchwałą Senatu nazwano Maj Klaudyuszem; Domicyan nie czekając na uchwałę pochlebców, nakazał pod karą śmierci Październik nazwać Domicyanem. Obrzydliwe te nazwiska wyrzucono niebawem z kalendarza, zapisawszy je na skrwawionych kartach dziejów ludzkości.

Ponieważ w roku, w którym Juliusz Cezar zmiany swoje zaprowadzał, początek roku przypadł na 13 Października, Cezar przydać musiał na ten raz miesiące dodatkowe wynoszące razem dni 90. Rok ten nazwano rokiem *konfuzyi*,

zaś liczenie czasu podług nowego systematu rozpoczęło się 1 Stycznia r. 45, według innych o jeden rok wcześniej przed Chr.

Kalendarz gregoryański. Kalendarz juliański przyjęty był urzędownie w całem państwie rzymskiem a nadto przez wszystkie ludy i sekty. Chrześciaństwo przyjęło go także. Kalendarz ten trwał nienaruszony aż do r. 1582 po Chr. Duchowieństwo chrześciańskie posługiwało się prócz tego (jak powiedzano wyżej) kalendarzem Metona, który zwano *liczbą złotą*, a to z powodu, że obliczenia jego opierały się na księżycu, według czego naznaczno święta Wielkanocne i inne ruchome zależne od nich.

Ponieważ astronomowie Cezara Sozigenes i Flawiusz w obliczeniu ruchu słonecznego nie dopatrzyli, że do zaokrąglenia dni 365 i godzin 6, niedostaje minut 11, sekund 9 i ułomek, co po upływie lat 129 tworzy dzień 1, przeto r. 325 w czasie soboru Nicejskiego, wiosenne porównanie dnia z nocą oznaczone przez Cezara na dzień 25 Marca, przypadło dnia 21 Marca. Zgromadzeni tam Ojcowie przenieśli je po prostu na dzień, w którym przypadło podówczas. Błąd pierwotny postępował jednak dalej, a r. 1582 porównanie wiosenne cofnęło się już na dzień 10 Marca. Niedokładność tę dostrzegano wielokrotnie.

O poprawie kalendarza myśleli już Syxtus IV i Leon X. Konsylium Trydentyńskie wreszcie włożyło stanowczy obowiązek na Grzegorza XIII poprawę kalendarza do skutku doprowadzić. Papież zwołał w tym celu najznakomitszych współczesnych astronomów. Pomiędzy temi byli: Krzysztof Klawiusz (Niemiec), Piotr Ciacconius (Hiszpan), Ignatio Danti i Alojzy Lilius (Włosi). Nie od rzeczy będzie tu nadmienić. że pomiędzy mężami wezwanemi już poprzednio przez Leona X do prac przygotowawczych, znajdowali się Mikołaj Kopernik i Marcin z Olkusza (Olkuski). Rękopism ich pod tytułem: „*Nova Calendarii Romani reformatio*“ z dnia 3 Grudnia 1516 na rozkaz papiezki wykończony, a na którym oparto ostateczne urządzenie kalendarza, przechowuje Akademia Krakowska w orginale. Grzegorz XIII

wprowadzając w życie kalendarz urządzony ostatecznie przez powtórną komisyę, kazał wypuścić dnia 10 w pierwszej połowie Października (w którym to właśnie miesiącu zajął się był tym szczegółem), przezco kalendarz juliański nienaruszony w niczem wszedł na prawdziwe stanowisko. Ażeby na przyszłość owe minut 11, sekund 9 i ułomek, utrzymały kalendarz w zgodności z prawdziwym obrotem ziemi, postanowiono, ażeby w ciągu każdych 400 lat, strącano 3 dni nadliczbowe z ułomka tego powstałe, co wykonywać polecono w latach, które się kończą dwoma zerami, a są podzielone przez 400. Według tej zasady w każdych idących po sobie 4 latach wiekowych okrągłych t. j. kończących się dwoma zerami, trzy pierwsze nie są podzielone przez 400, zatem też nie są przestępnemi, pomimo że są podzielne przez 4, skutkiem czego w ciągu lat 400 dolicza się o 3 dni przestępne mniej, niżby się doliczać powinno, gdyby się trzymano zasady co do dni przestępnych zwykłych, przypadających co lat 4. I tak: rok 1600 był przestępnym, zwykłym i wiekowym, bo jest podzielonym przez 4 i przez 400. Lata 1700, 1800 i 1900 nie należą do przestępnych wieków, mimo, że są podzielone przez 4, bo nie są podzielone przez 400. W dalszej przyszłości przestępnemi będą lata 2000, 2800, 3200 i t. d. zaś wieki środkujące między niemi nie będą przestępnemi, według tej samej zasady.

Kraje zamieszkałe przez ludy katolickie pochodzenia romańskiego, a mianowicie: Włochy, Portugalia, Hiszpania, Francya i Flandrya, przyjęły ten nowy kalendarz wkrótce i bez trudności. Państwa niemieckie katolickie i Szwajcarya wprowadziły go u siebie w r. 1584; Polska w r. 1586; Węgry w r. 1587. Państwa protestanckie, łącząc pojęcia i prawdy astronomiczne z religijnemi, jak się to dzieje dotąd, oparły się temu nowemu układowi z wyjątkiem Danii, która bezwzględnie przyjęła go już roku 1582. Niemcy protestanci uznając ważność i dokładność poprawki, wprowadzonej przez Grzegorza XIII, a przecież nie chcąc poddać się urządzeniu pochodzącmu od głowy kościoła katolickiego, trwali przeszło lat sto przy dawnym błędzie.

Wreszcie konieczność przymusiła ich w roku 1700 do poczynienia w kalendarzu swoim zmian niezbędnych, a które pozorem tylko różniły się od kalendarza gregoryańskiego, i rzeczywiście nie były czem innem. Anglicy przyjęli go w r. 1752, Szwedzi o rok później. Obecnie już tylko Rosya i Chrześcianie wschodni wyznania greckiego trzymają się kalendarza Juliusza Cezara, skutkiem czego początek ich roku i wszelkie obliczenia czasu spóźniają się, jak na teraz, o dni 12 od kalendarza słonecznego.

Ażeby dać jaśniejsze jeszcze pojęcie zasad, na których się opiera kalendarz gregoryański, streścimy tu objaśnienia powyższe w sposób następujący:

Ponieważ czas potrzebny do obrotu ziemi naokoło słońca trwa dni 365, godzin 6 bez minut 11, sekund 9 i kilka terc, postanowiono przeto:

I. Dni 365 stanowić będą lata zwykłe, których jest 3 po sobie idących. W latach tych ma Luty dni 28.

II. Ponieważ godzin 6, co lat 4 czynią dobę jednę czyli jeden dzień, przeto co czwarty rok dodawać się będzie dzień jeden do powyższych dni 365. Rok ten poznaje się po tem, że cyfra jego podzielona jest przez 4. W latach tych Luty ma dni 29.

III. Ponieważ minut 11, sekund 9 i kilka terc, które strącać należy od owych godzin 6, po upływie lat 129 i ułomek, tworzą także jednę dobę czyli dzień jeden, przeto po każdym takim okresie czasu, powinien by na odwrót ubywać dzień jeden. Z powodu jednak ułomku, jak niemniej ze względu na trudność trzymania się tych, niedość oznaczonych okresów, a przechodzących trwanie 4 pokoleń, postanowiono, że dnie ujemne wynikłe z minut i sekund, ujmowane będą w liczbie 3 w ciągu lat 400 *).

---

*) Teraźniejsi astronomowie przyjęli zwyczaj oznaczania różnicy, o której jest mowa powyżej ułamkiem dziesiętnym: 365.242255, co w potocznej mowie oznacza dni 365, godzin 5, minut 48, sekund 47/48. W rozprawie niniejszej zachowałem minuty i sekundy z powodu, że te łatwiej wpadają w oko lu-

Ażeby więcej stanowczo oznaczyć lata wiekowo-przestępne i ułatwić ich spamiętanie, powiedziano, że przestępnemi są te tylko stulecia pełne, których cyfra podzieloną jest przez 400. Lata przestępne zwykle powtarzają się tedy co lat 4, zaś lata przestępne wiekowe co lat 400.

IV. Według najściślejszych obliczeń rok kalendarza gregoryańskiego jest większym od roku słonecznego o 23 sekund, które po upływie lat 3756 od zaprowadzenia tego kalendarza (1582) uczynią także dzień jeden, za tem utworzą rok przestępny nadzwyczajny. Nim nadejdzie rok 5338, astronomowie tej odległej przyszłości dostrzegą ów narost i liczenie czasu do właściwych zwrócą rozmiarów, jeżeli wielkie a dziś nieprzewidziane przeobrażenia społeczne nie sprowadzą straszliwych kataklizmów i dzieł wiekowej cywilizacyi nie pogrzebią po raz trzeci, a może dziesiąty!

Nadmieniliśmy wyżej, że wyznawcy kościoła wschodniego (co Unici także przechowali), trzymają się dotąd kalendarza juliańskiego, gdzie zaniedbano ułomki godzin, przedłużające o tyle trwanie roku kalendarzwego. Skutkiem pomijania tego rok kalendarzowy wschodni będąc dłuższym od roku rzeczywistego t. j. słonecznego posuwa się ciągle. Od r. 1582 t. j. od czasu sprostowania kalendarza juliańskiego po r. 1700, kalendarz wschodni spóźnił się o dni 10; — od roku 1700 do 1800 o dni 11; — od 1800 do 1900 spóźnienie to wynosi dni 12; — od 1900 do 2100 wynosić będzie dni 13 i t. d.

Koncylium Nicejskie, zwołane przez Konstantego w celu złagodzenia nieporozumień różnowierców, a w szczególności Aryanów, postanowiło między innemi ustalić niezachwianie dzień, w którym obchodzonem ma być święto Wielkiej-

---

dziom niespecyalnym, o co szło mi tu więcej niż o astronomiczną dokładność. Różnica ta wreszcie jest bardzo mało znaczącą, tym bardziej, że ziemia w biegu swoim zakreśla elipsę, zmniejszającą się ciągle lubo nieznacznie, a która po upływie kilku tysięcy lat zaczyna się znów powiększać i powraca do dawnego rozmiaru.

nocy, dotąd ściśle nieoznaczonej. Myślą było także zgromadzonych tam dostojników kościoła, Wielkanoc tak umieścić, ażeby ta nie spotykała się nigdy z żydowską. Ten cel ostatni jednak chybionym został, bowiem żydzi, jak widzieliśmy wyżej, swoje święto wielkanocne obchodzą zawsze dnia 15 Nisan, a dzień ten ich kalendarza przypada pomiędzy 26 Marca a 25 Kwietnia naszej rachuby.

Koncylium Nicejskie orzekło tedy stanowczo i raz na zawsze, że dzień Wielkiejnocy obchodzony ma być 1szej Niedzieli po pełni przypadającej bezpośrednio po wiosennem porównaniu dnia z nocą, lub w tydzień po tejże pełni, jeżeli takowa przypada w Niedzielę. Oznaczenie przeto Wielkiejnocy na każdy rok nadchodzący jest bardzo łatwem. Inaczej rzecz się ma, gdy idzie o wynalezienie dnia tego w jednym z lat dawno upłynionych, lub w przyszłości nadejść mających, a to z powodu nieskończenie podrobionych ułomków minut i sekund wchodzących w okres czasu, który dzieli między sobą dwa sąsiednie nowie. Ażeby ułatwić w wypadkach podobnych ścisłe oznaczenie Niedzieli Wielkanocnej, wynaleziono następującą formułkę arytmetyczną: Rok, ktorego dzień Wielkanocny wynaleść mamy (dajmy 1772), dzieli się naprzód przez 19; następnie przez 4, a dalej przez 7. Dzielniki te nie są uzasdnione, odnoszą się one jednak, pierwszy do Cyklusu Metona, drugi do przestępnych lat zwykłych, trzeci do 7 dni tygodnia. Nie należy spuszczać z uwagi, że w działaniach tych przyjmują się tylko reszty już niepodzielne, zaś ilorazy opuszczać należy. Dalej resztę 1szą wziętą 19 razy więcej 23 *) dzieli się przez 30. Dalej reszta 2ga, wzięta 2 razy więcej, reszta 3cia wzięta 4 razy więcej, reszta 4ta wzięta 6 razy (wypadła z podzielenia przez 30) więcej 4 **) dzieli się przez 7. Dodawszy do reszty 4ej resztę 5tą (ostatnią), i odciągnąwszy od tego 9, wypadnie

---

*) Liczba ta od r. 1700 do r. 1899 jest 13; od 1900 do 2199 będzie 24 i t. d.

**) Liczbą tą od r. 1700 do r. 1799 było 3; od r. 1800—1899 jest 4; od r. 1900 do 2099 będzie 5 i t. d.

pewna liczba, która oznacza ilość dni od dnia 1 Marca włącznie, z których ostatni będzie dniem Wielkiejnocy. Jeżeli liczba ta jest mniejszą od 31, w tym razie Wielkanoc wypada w Marcu, jeżeli jest większą, dnie idące po za 31 wchodzą już w miesiąc Kwiecień; i tak rok 1772 dzieląc przez 19, otrzymuję jako resztę już niepodzielną 5,

(1772 : 19 = 93), tenże rok dzieląc przez 4. ϕ
(=62)
——————
= 5 dzieląc zaś przez 7 . . . 1

Reszta więc 1sza (5) wzięta 19 razy, powiększona o 23, a podzielona przez 30, daje resztę 28. Dzieląc nareszcie resztę 2gą (ϕ) dwa razy wziętą, więcej resztę 3cią (1) 4 razy wziętą, więcej resztę 4tą (28) wziętą 6 razy, więcej 3 dzieląc przez 7, otrzymujemy jako resztę niepodzielną ϕ. Dodawszy do reszty (4) resztę (5), i odciągnąwszy od tego 9, otrzymujemy, że Wielkanoc wypada 19 Kwietnia. Czyli

1772 : 19 = 93	1772 : 4 = 443	1772 : 7 = 253
=62	17	37
= 5 a = 5	12 b = ϕ	22 c = 1
		1

$(5 \times 19 + 23) : 30 = \frac{(118)}{(28)} : 30 = 3$ d = 28

(ϕ+4+168+3) : 7 = (175) : 7 = 25; e = ϕ

(28 + ϕ — 9) = 19.

Wynalezienie tej formułki uczyniło zbytecznemi kalendarz „złotej liczby“ i „litery niedzielnej“.

Dla utrzymania całości nadmienić tu jeszcze wypada, lubo to wiadomem jest każdemu, że w Niedzielę 6tą po Wielkiejnocy umieszczone zostały Zielone święta; 6 i ½ tygodni wstecz przypada Środa Popielcowa, rozpoczynająca u katolików post zwany Wielkim; Wtorek, Poniedziałek i Niedziela, które ję poprzedzają, noszą u nas nazwę „ostatków“; zaś cały czas, pozostający dalej wstecz aż do Nowego Roku, stanowi „zapusty“, których dłuższe lub krótsze trwanie zależy od tego, jak widzimy, czy 1sza

pełna, a po niej 1sza Niedziela przypadnie dalej lub bliżej po za wiosennem porównaniem dnia z nocą.

Kalendarz Rzeczypospolitej francuzkiej, której zadaniem było zdruzgotać wszystko co przypominało dawną niewolę, samowładztwo i bezprawia, zmienił wewnętrzny układ kalendarza gregoryańskiego, nie naruszając jego podstawy. Podzielił on rok na 12 miesięcy po dni 30, a każdy miesiąc na 3 „dekady“. Ponieważ miesiące te obejmowały razem tylko dni 360, niedostające przeto dni 5 umieszczono na końcu roku jako *dodatkowe*. Dzień powstający z godzin 6, doliczano co lat 4 do tychże dni dodatkowych, który nosił nazwę Franciade. Dla strącenia od dni przestępnych minut i sekund nie dostających postanowiono, aby po upływie każdych lat 130 zmniejszano ilość dni *dodatkowych*, z 5 na 4, jeżeli się okres zamykał rokiem *zwykłym*, zaś z 6 na 5, jeżeli się okres zamykał rokiem przestępnym.

Trudno nieprzyznać, że ten układ kalendarza był bardzo prosty, przystępny i zgodny z naturą rzeczy. Kalendarz ten zaprowadzony został przez Konwent rewolucyjny uchwałą z dnia 24 Listopada r. 1793. Podług niego rok rozpoczynał się dnia 22 Września na pamiątkę założenia Rzeczypospolitej r. 1792. Zniesionym został przez cesarza Napoleona I. dekretem z dnia 9 Września r. 1805 z powodu trudności wynikłych w rzeczach kościelnych i sprawach cywilnych, odnoszących się do epok dawniejszych, lub do stosunków zagranicznych.

Miesiące kalendarza rewolucyjnego nosiły następujące nazwy: Vendemiaire, Brumaire, Frimaire, Nivôse, Ventôse, Pluviôse, Germinal, Floréal, Prairial, Messidor, Thermidor, Fructidor.

Dnie każdej dekady nazywały się: Primidi, Duodi, Tridi, Quartidi, Quintidi, Sextidi, Septidi, Octidi, Nonidi, Decadi.

Dzień ostatni dekady był świętem odpowiadającem naszej Niedzieli. W miejsce świąt kościelnych zaprowadzono uroczystości narodowe, zaś wszystkie dnie roku, w miejsce

imion Świętych otrzymały nazwę odpowiadające rozmaitym zajęciom rolniczym i przemysłowym, które pomijamy.

Kalendarz którego trzymają się Chrześcianie wschodni, Grecy i Rosyanie, opiera się w zupełności jak już nadmieniono wyżej, na kalendarzu juliańskim. Oznacza on przeto rok na dni 365 i godzin 6 pełnych.

W kalendarzu wchodnim, równie jak w gregoryańskim święta ruchome, Post i Zapusty zależą od Wielkiejnocy, a jej oznaczenie przez rachunek, tem tylko różni się od powyższego przykładu, że w miejscu przyjętych tamże liczb 23 i 4, które, jak dopisek objaśnia są zmienne, przyjmować należy zawsze i niezmiennie liczby 15 i 6. *).

Oto są w skróceniu dzieje kalendarza u rozmaitych ludów, i w rozmaitych czasu okresach. Nie ulega zaprzeczeniu, że najwięcej zbliżonym do prawdy rzeczywistej jest kalendarz poprawny, zwany gregoryańskim, pomimo że obliczenia jego, jak to już widać z powyższego wykładu, nie sięgnęły jeszcze dokładności matematycznej. Uczeni badacze praw i prawd przyrodzonych nie wahają się twierdzić, że kalendarz ten z postępem nauk i w miarę ulepszających się przyrządów astronomicznych ulegnie raz jeszcze pewnym zmianom, zbliżającym go ku doskonałości, oile słabe siły ludzkie w harmonijnym, ale zawiłym ogromie tworu Bożego zbliżyć się ku niej mogą.

Do poszukiwań powyższych dołożę jeszcze jeden szczegół odmiennej wprawdzie natury, ale łączący się z niemi bezpośrednio.

„Ordo est anima rerum“, mawiali starożytni i słusznie; zaś jednym z głównych warunków porządku i dokładności w gospodarstwie, czy to wiejskiem czy to miejskiem, tudzież w wypełnieniu obowiązków, bądź prywatnych bądź publicznych, jest rozmiar i podział czasu, schodzący do części składających dzień jeden, zatem do godzin; dla tego też słusznie powiedziano, że zegar jest jednym z najpiękniejszych

*) Patrz powołane na wstępie Album, str. 36 i d.

podarunków uczynionych Europie przez Arabów, i z tych, jakie jeden człowiek drugiemu zrobić może.

Po miastach, gdzie istnieją zegary na wieżach, ludność wszelkiego stanu i powołania urządza swoje zajęcia dniowe według godzin rzeczywistych; inaczej dzieje się po wsiach i po małych miasteczkach. „Trzy godziny po wschodzie słońca;“ „dwie godziny przed południem“ są zwykłe sposoby u ludu mierzenia czasu i dnia. Lecz któż oznacza to południe; czemże się mierzą te godziny, często za małe, niekiedy podwójne.

Gdym był w Truskawcu przed wielu laty, słyszałem lud tamtejszy, nie inaczej umawiający się do żniw, i innych robót tej pory roku. Wkrótce urządzono tam zegar na wieży kąpielowej, a gdym odwiedził Truskawiec parę lat później, już lud miejscowy oznaczał czas dokładnie, według godzin a nawet kwandransów. Zegar, to wielki postęp ze względów ekonomicznych i umysłowych.

U właścicieli posiadłości większych znajdują się zwykle zegary, lecz nieprzystępne dla włościan, a których regulowanie jest prawie niepodobnem. Jakże zaradzić tej tak ważnej niedogodności? Pozaprowadzać „zegary słoneczne“ których urządzenie jest nader łatwem, i prawie nic nie kosztującem. Oto jest sposób ich urządzenia:

Wkopać należy w ziemię pień gruby i prosto spiłowany. Na pniu umocowanym przytwierdza się krąg płaski, jak gdyby wierzchnią część stołu, pociągnąwszy go lakierem lub olejem dla ochronienia od wpływu słońca i deszczu. W środku tego kręgu utwierdza się drut gruby, około $1/2$ łokcia długości mający, pionowo, t. j. prostopadle, przy pomocy ciężarku zawieszonego na nitce. Tu już jest wszystko przygotowane. Nazajutrz oznaczać należy ołówkiem starannie przez dzień cały, co godzina, lub co pół godziny miejsca gdzie sięga wierzchołek cienia. Połączywszy miejsca oznaczone, utworzy się łuk. Miejsce, które na tym łuku będzie najbliższem druta, jest południem niewątpliwem. Ustawiwszy zegarek zgodnie z wynalezionem południem, oznacza się na łuku miejsca, na których znajdzie się cień,

gdy zegarek okaże godzinę 1, 2, 3 i t. d. aż do zachodu słońca. Te same podziały przeniesione cyrklem na drugą połowę łuku, oznaczą godziny 11, 10 itd.

Tu kończy się całe zadanie. Południe na którem opiera się rozmiar godzin innych, można wynaleźć w ten także sposób: za pomocą nitki której jeden koniec przywiązuje się do spodu druta, a drugi do ołówka, zakreśla się na kręgu półkole. Dwa miejsca w których w ciągu dnia wierzchołek cienia przetnie nakreślone półkole, należy naznaczyć i połączyć linią prostą, a przedzieliwszy ję, tudzież łuk powstały między niemi na dwoje, linia prosta poprowadzona od spodu druta przez środek linii poprzecznej, paść musi na środek łuku i okaże południe *dnia tego*, jak to objaśnia szczegół poniższy. Nie należy tu spuszczać z uwagi, że zegary słoneczne urządzane być powinny w czasie najdłuższych dni roku, tj. w środkowych miesiącach lata, a to w celu, iżby zegar zajął jak największą część doby. Tym samym sposobem urządzają się zegary słoneczne na murach.

Nadmienię tu jeszcze, że linija łącząca południe z osadą druta, jest południkiem (meridian) danej okolicy, według którego oznaczają się godziny i minuty wschodu i zachodu słońca, odnośnie od tegoż miejsca, a które się opóźniają w miarę jak się posuwamy ku zachodowi, w przybliżeniu o kwandrans co mil 50. Na podstawie tegoż południka oblicza się godziny i minuty, podczas których widzialne będą zaćmienia w danem miejscu; — wreszcie przy pomocy tylko tego południka ustawić można wszędzie zegar na prawdziwą godzinę każdej miejscowości.

Ponieważ jednak dnie pełne, a właściwie *doby* nie są zupełnie równe pomiędzy sobą, t. j., że jedne mają więcej, inne mniej niż godzin 24 o minut kilka lub kilkanaście, aż do 32, zaś czas, który zajmuje wskazówka na podwójne okrążenie godzinnika zegarowego, jest zawsze jeden i ten sam, przeto zegar mechaniczny okazywać musi południe niemal zawsze o kilka lub kilkanaście minut już to prędzej, już też później, niż zegar słoneczny, lubo po upływie roku oba zgodzić się muszą, a to z powodu, że

ruch zegaru sztucznego obliczony jest na dobę średnią, t. j. przeciętną z całego roku.

Okoliczność ta tłumaczy jak niesłusznemi są często narzekania na nieregularność kosztownych nawet zegarów, z powodu, iż te nie zgadzają się ze słońcem. W kalendarzach dobrze urządzonych znajdują się tablice, wykazujące tę przyrodzoną ruchu słonecznego niejednostajność. Nie zkądinąd pochodzi, że w drugiej połowie Stycznia, a nawet jeszcze w Lutym zwykliśmy mówić: „Dnia już przybyło znacznie, ale tylko w wieczór; zrana jest jeszcze ciemno do późna“. Jestto jak gdybyśmy powiedzieli, że laska jest za długa od góry a nie od dołu. W rzeczywistości dzień przybywa na obu krańcach, zaś zegary nasze urządzone według trwania średniego doby w roku, okazują w tej porze godzinę 12 i minut 10, 20 a nawet 32, podczas gdy słońce (używając wyrażenia zwykłego) znajduje się na punkcie najwyższym, środkowym względem ziemi. W jesieni rzecz się ma odwrotnie.

Ktokolwiek zastanowi się nieco nad ważnością mierzenia czasu i podciągnięcia pod ten rozmiar robót wszelakich, ten nie może nieprzyznać, że upowszechnienie *zegarów słonecznych* byłoby postępem, którego lekceważyć nie należy. Wszakże zegary te umieszczone byćby powinny nie w ogrodach ku ozdobie, lecz na podwórzu, przed urzędem gminnym, lub na murze kościoła. Tylko brak dobrych chęci, troskliwości o dobro powszechne i o własną wygodę, odwrócić może właścicieli ziemiańskich od poczynienia prób podobnych.

„Rachuj dnie i minuty żywota twego, bo *one są czasem,* a sam tylko czas jest *istnieniem bez trwania*“. *(Thomassy).*

V.

TATARZY

TRAJEDYA W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

TAMERLAN, Wielki han.
KUTŁAJ, emir.
ZOAR, jeden z dowódców.
AFARAN.
XELINA, branka.
IZANA, „

Starszyzna tatarska, wojsko i. t. d.

Rzecz dzieje się w Persyi pod miastem Szyrwan.

Sztuka ta złożoną była do konkursu ogłoszonego przez Kasyno narodowe we Lwowie r. 1852, przy którym nagrodę otrzymała komedya: „Wąs i peruka“, a to jak powiedziano *ze względu na zasługi dramatyczne Korzeniowskiego.*

OD WYDAWCY.

„Tygodnik Illustrowany“ (warszawski) ogłosił był szereg artykułów o dramatycznych dziełach polskich pod napisem „Przegląd piśmienniczy“, między któremi znajduje się rozbiór dwoch poniższych trajedyi (Nr 386). Rozbiór Arceza, napisany z głęboką znajomością sztuki dramatycznej zakończa się następującemi słowami:

„Sprawa tu zresztą istotnie wielka: szczęście całego narodu, ważące się na rozkołysanej toni egotycznego pełnego tajemniczych głębi uczucia; z kolei gwałtowne nadludzkie znów wysiłki ducha podważane nieubłaganem fatalizmem. Jak powiedzieliśmy, bohaterowie tam sami. Gdzie się zwrócisz, szlachetny czyn napotkasz, cnotliwą podziwiasz walkę; więc też z zapasów tych każda osoba dramatu wychodzi czystą jak łza tragiczna; wina brzemieniem całem na losy tylko spada. Wiersz piękny, wzniosły, słowo wszędzie poważne, wspaniałe, zrodzone do koturnu, splątanie węzła i roz-

cięcie go wielce kunsztowne, dyalogowanie świetne, układ sceniczny przepyszny“.

Drugiej z dwoch umieszczonych tu trajedyi, „Tygodnik“ nie przyznaje już tych samych zalet i nazywa ję tylko dramatem, zaś rozbiór je zakończa temi słowy:

„Rzecz to przy wszystkich wadach swoich zawsze jeszcze niepospolicie piękna. Charaktery głównych bohaterów ciosane są pomnikowo, Tamerlan, Affaran ze wszech miar godni siebie. Czoła ich opromieniają dwie niemal zarówno potężne idee. W danej chwili wyzywają się na rękę, wbiegają w szranki, pierś w pierś uderza, Bóg tylko jeden rozsądza o zwycięstwie. Zato kobiety, o wiele mniej tu udatne czyli raczej poprostu kobiety to tylko ale już nie bohaterki jak Egema. Zresztą co do zalet języka poetycznego, obrazowania, wersyfikacyi, względnie nawet co do układu scenicznego, dramat ten w niczem nie ustępuje poprzedniemu“.

J. W.

(Wydawca poprzedni).

Akt pierwszy.

Teatr przedstawia widok rozległych równin, pokrytych namiotami obozowemi.

SCENA I.

ZOAR. XELINA. IZANA.

ZOAR (*wprowadzając je*).

Tu czekajcie.

IZANA.

Na kogo?

ZOAR.

Mamże się tłumaczyć?

XELINA.

Tak rano....

IZANA.

I tak nagle....

XELINA.

Powiedz, cóż ma znaczyć?

Kto kazał?

ZOAR.

Kutłaj.

XELINA.

Kutłaj? zwiększasz moję trwogę,
O, nic się więc dobrego spodziewać nie mogę!

SCENA II.

(Gromadzi się starszyzna wojskowa we dwa rzędy; Kutłaj na czele; za nim Zoar; za wejściem Tamerlana wszyscy pochylają głowy).

TAMERLAN *(w głębi).*

Dziś chcę wam pamięć dawnej uległości zatrzeć:
Wolno wam podnieść głowy — wolno na mnie patrzeć.

(podnoszą się — on się zbliża)

Bo niechaj ze mnie pozna każdy Tatar prawy,
Z jaką twarzą rycerze stają do rozprawy. —
Wodzowie! których liczne i chlubne zwycięstwa
We trzech światach pomniki zostawiły męstwa,
Którym do względów moich słuszne dały prawo,
Czyny odległym wiekom przekazane sławą;
Dziś możecie łask moich, moich względów użyć,
I nowem poświęceniem na nowe zasłużyć. —
Zmierzyliśmy orężem różne ziemi strony:
Schylił przd nami głowę Bagdad poskromiony,
A zuchwalstwa swojego opłacając winę,
Z zasłużoną pokorą niesie nam daninę.
Zająłem Turkomanów, żyzną Partów ziemię,
Geordian i Persów, i Czerkasów plemię,
Runął Kerman, Turkestan i Damaszku mury;
Samych zwycięzców trwoży ten widok ponury,
Gdzie równiny zaległy Alepu zwaliska,
Gdzie z niezgaszonych zgliszczy jeszcze płomień błyska.
Znają nas za Gangesem, znają Dniepru wody;
Maurowie i Azyi północne narody,

A gdzie noga nie była, tam imię przelata,
I trwogą upokarza wszystkie ludy świata. —
Czyliż sam Szyrwan dumny ogromnemi wały,
Miałby zwycięstwom naszym dać odpór zuchwały?
Czy Szach zwalczył nas kiedy? oparł się? a wreszcie
Czyż Persyi moc całą w jednem złączył mieście?
Odwagi! pamiętajcie, kto na waszem czele;
Nie siły tu potrzeba, lecz odwagi wiele. —
Wy, którym nad wojskami władzę powierzyłem,
Których ufnością moją, wiarą zaszczyciłem,
Wskażcie waszym podwładnym, jak wysoko cenię
Godne mnie i was godne życia poświęcenie. —
Powiedźcie im, że moich skarbów dziś nie skąpię,
Że dzieciom ojców, sługom ich panów zastąpię, —
Że ten kto zręczną sztuką, lub przez męstwo nowe,
Satrapy ze Szyrwanu przyniesie mi głowę,
Satrapy, co śmiał grozić, mnie grozić zuchwale!
Co śmiał pierwszy ubliżyć Tamerlana chwale,
Izanę, brankę moją w nagrodę odbierze; —
Niech się o tem zaszczycie dowiedzą żołnierze,
Niech tę wiadomość wszystkim ogłoszą wodzowie,
Niech się nawet z najniższych każdy o niej dowie:
Wódz, żołnierz, — swój czy obcy — z czyich bądź rąk zginie,
Zasłużona nagroda zwycięzcy nie minie. —
Wszystkich zaś, co odwagą odznaczą się w wojnie,
Łaską i skarby memi wynagrodzę hojnie.

Tobie mężny Kutłaju, który nadaremnie
Już raz nagrody takiej żądałeś odemnie,
Xelinę, którę kochasz, na własność ci daję. —
Liczne przy boku moim zwidziłeś już kraje,
W granice Polski twoja wycieczka szczęśliwa,
Do waleczniejszych czynów w Azyi cię wzywa.

KUTŁAJ.

Królu, tyś władzę bóstwa na pomoc przywołał,
Któżby za tę nagrodę zwyciężyć nie zdołał?

XELINA.

Co, ja mam być nagrodą? czyliż jestem zdolną....

IZANA *(przerywa).*

Daj służebnicę twoję, nie Arabkę wolną. —

(Kutłaj daje znak, aby je wyprowadzono).
(Wojsko się rozchodzi).

SCENA III.

CIŻ prócz IZANY.

XELINA *(wraca się — klęka i wnet wstaje).*

Przebacz mi wielki hanie, — lecz zkądże ta zmiana?
Dla czegoż dziś nowego przeznaczasz mi Pana?
Więc twa poufna branka, wierna ci tak długo,
Ma dziś wzgardzona zostać sługi twego sługą?
W chwili, gdy się Bóg moich cierpień ulitował,
I burzą otoczonej pogodę zwiastował;
Kiedyś przyrzekł niedolę nieszczęśliwej skrócić,
Kiedym miała na łono rodziny powrócić,
Ty cofasz przyrzeczenia — i sam z sobą sprzecznie
Na większe jeszcze męki skazujesz mnie wiecznie?
Pięć lat niewoli takąż nagradzasz swobodą?
Jażto żołnierzy twoich mam zostać nagrodą? —
Dziś, gdy ciągłe cierpienia słabe starły wdzięki,
Usuwasz mnie z pod swojej opiekuńczej ręki?
Czyż w gronie tylu dziewic, których młodość świeża
Hojnie może nagrodzić twojego rycerza,
Nie ma tego zaszczytu godniejszej odemnie?
Nie, panie — tej ofiary żądasz nadaremnie.

(do Kutłaja)

Ty, gdy mnie trwogą twoje przeraża oblicze,
Jakież w pożyciu ze mną rokujesz słodycze?
Czy sądzisz, że swobodna, bo po męża zgonie,
Spokojnie schylę w jarzmo pohańbione skronie?

Że już dawne ku tobie ostygły niechęci?
Że mi morderstwo męża wygasło w pamięci?
Widzę jeszcze te gwałty, łupiestwa i sromy,
Gdyś nad Dnieprem graniczne ponajeżdżał domy;
Gdyś nas napadł bezbronnych po słońca zachodzie. —
Wacław po trudach dziennych spoczywał w swobodzie;
Porwano mnie. — Gdy mąż mój ścigał was w pogoni,
I natarł ze swojemi, oręż pękł mu w dłoni!
Przeszyto piersi jego, upadł krwią zbryzgany....
Czy pamiętasz? — Ja widzę piersi jego rany?
Drżącym głosem śmiertelne przerywał chrapanie,
Ostatnie żonie swojej dając pożegnanie!
Umilkł, i znikł; ja jeszcze oczami sięgałam,
Widziałam jego oczy, jego głos słyszałam!

(*do Tamerlana*)

Tyż dozwolisz, by męża mojego morderca
Urągał się z mych cierpień, tuląc mnie do serca?

TAMERLAN.

Kutłaju, cóż ty na to?

KUTŁAJ.

Czyliż jedna branka
Zatrwoży mnie pamięcią dawnego kochanka?
Próżno mnie wyrzutami zniechęca i draźni:
Nie żądam poufałej małżeństwa przyjaźni.
Jeśli kochać nie zdoła, niechaj mnie szanuje,
I więcej poważania niż miłości czuje.
Panie, co wyżej cenisz, niech wiemy oboje:
Czy płacze niewolnicy, czy zasługi moje?

TAMERLAN.

Powiedziałem — Xelina do ciebie należy.
Dalej prowadź pod mury walecznych żołnierzy,

Spiesz nabyte wawrzyny świeżemi pomnożyć,
I obszerniejsze pole mym łaskom otworzyć.

KUTŁAJ.

Królu, sercu mojemu nie przydawaj męstwa:
Zawsze powrót mój z bitwy był godłem zwycięstwa.

TAMERLAN.

Zoar, ty strzeż obozu. —

(odchodzą).

SCENA IV.

ZOAR. XELINA. IZANA *(które w głębi czekały ich odejścia).*

IZANA *(wchodząc zatrzymuje Zoara).*

Już więc ustąpili; —
Zatrzymaj się; — czekałam tej dogodnej chwili;
Mów — mamże się spodziewać smutku, czy wesela?
Wprzód zostałam własnością, niż znam właściciela.
Ach, przez litość — trawiącej ulżyj mi boleści:
Gdy o śmierci Satrapy dojdą ciebie wieści,
Donieś mi, czyją będę.

ZOAR.

Spełnię twoję wolę.

(odchodzi).

SCENA V.

IZANA. XELINA.

IZANA.

Nieszczęśliwa, czyż przeto zmienię moję dolę?
Czyliż mnie nowy tyran z jarzma oswobodzi?
Ach, któż mi Afarana stratę wynagrodzi!

XELINA.

Co, i ty miałaś męża? Ty wiesz zatem pani,
Jak srodze taka strata serce żony rani!
Dawno jesteś?

IZANA.

Dni kilka.

XELINA.

Tu czuć nie umieją;
Nie widzą własnej nędzy i z obcej się śmieją.
Więc i ty miałaś męża?

IZANA.

Nie miałam go jeszcze,
Lecz to szczęście przeczucia wróżyły mi wieszcze.
Był to niewolnik memu Ojcu zaprzedany,
Któremu litość moja słodziła kajdany.
A ty kto jesteś?

XELINA.

Więcej niż ty nieszczęśliwa,
Która litości nieba na próżno przyzywa;
Która z łona rodziny do niewoli wzięta,
Lanemi codzień łzami ordzewiła pęta!
Błogo żyliśmy, sobą szczęśliwi wzajemnie,
Z nim ciągle jeszcze myślą rozmawiam tajemnie.
O! już go w zimnym grobie płacz żony nie wzruszy —
Umarł, tak — ale jeszcze żyje w mojej duszy!

IZANA.

Kto jesteś?

XELINA.

Jestem Polką.

IZANA.

Jątrzysz moje blizny:
I mój Afaran z Polski.

XELINA.

Co, z mojej Ojczyzny?
Z Polski, z kochanej Polski! to imię?

IZANA.

Jest nowe,
Nie przywykli do waszych dali narodowe.

XELINA.

Jakbym go widzieć rada! ledwie wierzę temu;
Me cierpienia obcemi nie byłyby jemu.
Może go znałam kiedy; — on by mi powiedział,
To, co przedemną ukrył miejsc i czasu przedział.
Ty płaczesz?

IZANA.

Wspólność losu łzy nam z oczów sączy,
I wspólnością nieszczęścia serca nasze łączy.

XELINA.

A ty Arabką jesteś? i wasza kraina
Już wiele cierpieć, wiele ofiar nieść zaczyna.

IZANA.

Boże! i wyż tak długo w kajdanach jęczycie?
Dla mnie ten dzień jest dłuższy niźli całe życie!
I jażbym przeczekała sromoty lat tyle,
Nim los z ludźmi grający lepszą podda chwilę?
Tak — nademną nie będą tryumfować długo:
W wolności się zrodziłam i nie umrę sługą.
Odważmy się na wszystko, a obie nie będziem
Sprośnych chuci zwierzęcych ohydnem narzędziem.

XELINA.

Mnie zbyt długie nieszczęścia odebrały siły,

I płaczącą bez świadka, cierpieć nauczyły.
Mnie mąż na łono swoje przyjąć kiedyś raczy,
I nieszczęśliwej żonie jej hańbę przebaczy.

IZANA.

Gdybyś ty Afaranie o nagrodzie wiedział,
I gdyby nas tak wielki nie rozgradzął przedział,
Tybyś słowa twojego dotrzymał niezłomnie,
Przyszedłbyś aż tu!

XELINA.

Wacław nie może przyjść po mnie!

SCENA VI.

TEŻ I ZOAR.

ZOAR *(do Izany)*.

Chociażbym pragnął twoję zaspokoić trwogę,
Nic jeszcze stanowczego donieść ci nie mogę.
Już wojska wystąpiły; mężne wojowniki
Już roztaczają z kłębka księżycowe szyki.
Zostawiam jeden oddział, ten was zabezpieczy,
A z drugim Kutłajowi spieszę do odsieczy.
Wy skryjcie się w namiotach.

XELINA.

Gdzież mnie skryć możecie
Przed brzemieniem udręczeń, co me serce gniecie?

IZANA.

O, jakbym rada w tłumach sama się przeciskać,
Walczyć, i sama w sobie nagrodę pozyskać!
Powiedz im, że ich cała odwaga daremną,
Że kto chce o mnie walczyć, musi walczyć ze mną.
Niechaj przyjdzie w tryumfie po tryumfy nowe.
Tu za głowę Satrapy znajdzie moję głowę,
Albo swoję zostawi!

XELINA.

Morderca Wacława!...
(słychać szmer i krzyki.)

ZOAR.

Uchodźcie ztąd: wojenna już się wzmaga wrzawa.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

Akt drugi.

SCENA I.

(Teatr przedstawia ustronie obozowe pokryte drzewami, w głębi kilku Tatarów leżących jako czaty; jeden stoi z dzidą).

KUTŁAJ. ZOAR.

KUTŁAJ.

Czy widziałeś zwycięzcę Satrapy?

ZOAR.

Widziałem,
Lecz o odwadze takiej jeszcze nie słyszałem!
Jak duch, któremu cięcie zaszkodzić nie może,
Roztrącał tłumy, darł się przez dzidy i noże;
Dotarł pod mury — porwał o ziemię nim rzucił,
I z głową jego, lotem błyskawicy wrócił.

KUTŁAJ.

Poznałeś go?

ZOAR.

Nie, Panie —

KUTŁAJ.

To jest cudzoziemiec.

ZOAR.

Ze stroju zda się Arab — może Grek lub Niemiec?

KUTŁAJ.

Czy pamiętasz wycieczki Krymu, Ukrainy?
Wzdłuż Dniepru?

ZOAR.

Przypominam!...

KUTŁAJ.

Ów mąż...

ZOAR.

Mąż Xeliny!

KUTŁAJ.

Gdy otrzyma od Hana nagrodę w Izanie,
Niech odchodzi natychmiast!

ZOAR.

I dnia nie zostanie!

KUTŁAJ.

Idź do Xeliny. Postaw w jej namiocie straże,
I powiedz jej, że Kutłaj, Kutłaj, jej pan każe,
Aby dawnym zwyczajem wierna panu swemu,
Bez osłony na twarzy nie wyszła z haremu,
Inaczej śmierć ję czeka. Nie dopuść zbliżenia;
Nakazuję ci!

ZOAR.

Spełnię twoje polecenia.

(odchodzi).

KUTŁAJ *(sam).*

Trzeba ję ukryć przed nim; ten krok jest koniecznym:
On może stać się dla mnie wrogiem niebezpiecznym.

Ta niezwykła odwaga i blask wykształcenia,
Przymioty, które Han nasz wysoko ocenia,
Do łask jego nie mylną otworzą mu drogę. —
Nie, ja zjawienia jego ścierpieć tu nie mogę.
(*odchodzi*).

SCENA II.

(Teatr przedstawia część obozu gdzie są ozdobniejsze namioty kobiet, za niemi straże. — Zoar czeka, — wkrótce nadchodzi Xelina, za nią dwoch eunuchów i dwoch żołnierzy.)

ZOAR.

Witaj piękna Xelino, i przebacz mi razem,
Jeźli z przykrym do ciebie przychodzę rozkazem. —
Nas podwładnych tem losy często zwykły męczyć,
Że w własnem udręczeniem, musim drugich dręczyć.
Kutłaj dla zasłonienia ciebie od potwarzy,
Chce abyś nigdy w polu nie odkryła twarzy.
(*daje jej woal na twarz.*)
Byś nigdy w inne strony nie zmierzyła kroku;
On chce byś publicznego strzegła sią widoku;
On chce (ta dzika zazdrość godną jest nagany),
By nikomu twe oczy nie zadały rany. —

XELINA.

O, pomiń to Zoarze, każda twoja mowa
Składa mistrzowską sztuką wymierzone słowa.
Tą życzliwością twoją zwiększasz moje smutki;
Z tej łagodności, straszne przewiduję skutki!

ZOAR.

On chce, byś mu powolna, sama, wśród ukrycia...

XELINA (*z ironią.*)

Żyła szczęśliwa!

ZOAR.

On jest panem twego życia...
On może...

XELINA.

Wydrzeć mi je. — Czyż żebrałam o nie?
Pocieszasz utrapioną gdy wspomnisz o zgonie!
Jednak, choć w udręczeniach śmiercią się nie trwożę,
I te jeszcze rozkazy wypełnię w pokorze. —
Ty, którego ojczysta przyjęła mogiła,
Jeszcze mi droższym jesteś kiedym cię straciła.
O, tybyś żonie twojej świat cały zastąpił,
Płakać jej nie zabraniał, i światła nie skąpił.
(*wkłada woal.*)

ZOAR.

Chciej mi także wybaczyć, jeźli z drugiej strony
Im oznajmię Kutłaja wyrok niecofniony:
(*do żołnierzy*).
Jeźli wyjdzie z haremu odbierzcie jej życie;
Życie jej ocalone, własnem opłacicie.

XELINA.

Nie potrzebujesz mordów dawać im nauki,
Wprawni oni od dawna do tej trudnej sztuki.
Lecz powiedz: tych rozkazów jaka jest przyczyna?
Takżeto Kutłaj nowe pożycie zaczyna?

ZOAR.

Do nas należy każde jego przedsięwzięcie,
Nie badając przyczyny, wykonywać święcie. —
Xelino, to ci jeszcze winieniem nadmienić,
Że gdybyś własne życie nie dość miała cenić,
Gdyby cię dostrzeżono z kim obcym mówiącą,
Ściągnęłabyś śmierć na niego, nad tobą wiszącą!
Kutłaj dotrzyma!

XELINA.

Trzebaż o tem przekonywać?
On więcej dotrzymuje, niż zwykł obiecywać.
I cóż mnie jeszcze czeka, gdy dziś zazdrość dzika
Światło oczom odbiera i usta zamyka?

ZOAR.

Patrzaj, już z pola bitwy wracają rycerze,
Pamiętaj!

XELINA.

Bądź spokojny.

ZOAR.

Strzeżcie jej żołnierze.
(odchodzą w przeciwne strony.)

SCENA III.

(Teatr przedstawia najozdobniejszą część obozu. — Tamerlan siedzi przed swoim namiotem na wyniesionem miejscu; — przechodzą tatarskie wojska zwycięskie; na ich czele Kutłaj. Zoar i Afaran z tyłu, — ten ostatni raniony, okryty białą togą arabską, zpod której przesłania reszta stroju polskiego; powierzchowność jego zwiastuje świeży trud wojenny).

TAMERLAN.

Słusznie łask mych czekacie w zgromadzonym kole,
Gdyście hańby na mojem nie wyryli czole;
Lecz pokonane tłumy oddając rozpaczy,
Dowiedli co Tamerlan, co broń jego znaczy.
Głośni nieznanym dotąd blaskiem majestatu,
Niemało do mówienia zostawimy światu.
Ja każdego z was chwałą nagrodzę wzajemną;
Bo o każdym powiedzą, że walczył podemną.
Ledwo pojmą jak mimo skały, morza, trudy,
Jeden lud w proch obrócił — we trzech światach ludy.

Gdy kraje trupem zasłał, i rzeki zakrwawił,
Bogu tylko nad sobą pierwszeństwo zostawił. —
Zdarte ozdoby świątyń, skarb miastu zabrany,
Rozdać między setniki, murzy, hatamany. —
Gdzież jest ów rycerz dzielny, co w męskim zapale
Walecznym czynem, blasku przydał naszej chwale?

AFARAN *(występując naprzód).*

Walczyłem, nie zaborów zapalony chwałą;
Szlachetniejsze uczucie orężem władało.
Gdzież jest Izana.

TAMERLAN.

Kutłaj wydać ję rozkaże.
(do Zoara)
A ty nowe w obozie porozstawiaj straże.
(do wojska)
Wam pozwalam dniem jednym ciągłe przerwać znoje,
Nim dalsze wewnątrz kraju roztoczymy boje.
Tak szeroko rozwiedziem nasze panowanie,
Jak blask słońca dosięga i jak ziemi stanie.
W czterech jej końcach państwa zakreślim granice,
A w środku ziemi, świata wzniesiemy stolicę. —
Lecz gdym dostrzegł, że w boju w najważniejszej chwili
Niektórzy podle życia zbiegostwem chronili,
Zgrozą przejęty, hańby przebaczyć nie mogę,
I wszystkim bojaźliwym zostawię przestrogę:
Niech się o woli mojej całe wojsko dowie,
Niech ich śledzić i chwytać nakażą wodzowie;
By zaś i ztamtąd postrach nie spłoszył ich nowy,
Żadnemu zbyt przezornej nie zostawić głowy. —
Pocóż, gdy powierzchowność wrogów nie omami,
Ta bezkorzystna tłuszcza wlec się będzie z nami?
Pocóż to bojaźliwe i wyrodne plemię
Niepotrzebnym ciężarem ma obarczać ziemię?
Tęż nam drogę tryumfu przeznaczyły Nieba?
Czyż liczbą będziem straszyć, gdzie walczyć potrzeba?

(do Afarana).

Ty, którekolwiek na świat wydały cię ludy,
Pójdź dzielić naszę sławę, zapasy i trudy. —
Za zgładzenie Satrapy Izanę posiadasz;
Za inne czyny, nowy obowiązek wkładasz.
Kiedy przy tobie zgaśli wojownicy główni,
Gdyś się odważył stanąć prawie ze mną w równi,
Tym co niżej zostali, ich niższość wybaczam,
A pierwsze miejsce po mnie, dla ciebie przeznaczam.
Wzgląd na ten zaszczyt, nowe męstwo w tobie wzbudzi;
Pomnij: po panu świata tyś pierwszy wśród ludzi!

(Po tych ostatnich wyrazach wszyscy schylają głowy prócz Kutłaja).

TAMERLAN *(do Kutłaja).*

Cóż to? w obliczu mojem, w obliczu podwładnych,
Ty śmiesz mi opór stawić? i bez względów żadnych
Zuchwałym wzrokiem moje naganiasz rozkazy?
Wiesz, — nie lubię słów jednych powtarzać dwa razy. —
Co? Czyż mi zasług waszych nie wolno oceniać?
Z każdym dniem, z każdą chwilą, sługi moje zmieniać?
Strzeż się, abym cię z liczby godnych nie wymazał,
I do tych niepotrzebnych policzyć nie kazał.
Ty wiesz: nagradzam męstwo, kiedy kto zasłuży,
A odbieram nagrodę, gdy jej niewart dłużej. —
Ja, co z trzema światami do rozprawy staję,
I w jedno spajam ciało różnorodne kraje,
Mam starszeństwa na waszych drobnostkach budować?
Mam zwycięstwa każdego na sztuki rachować?
Przeliczać wasze lata, rozmierzać życzliwość,
Zgadywać wasze chęci, ważyć sprawiedliwość?
Czyż przeto niszczę twoje dawniejsze zasługi?
Jeszcze ten będzie pierwszy, kto jest po mnie drugi!

AFARAN.

Panie, łask twoich wyżej cenić nikt nie zdoła;
Lecz ważniejsza powinność gdzieindziej mnie woła.

Byłem sprzedany; wolność którę mi los nada,
Spełnienia jej warunku obowiązek wkłada.
Tem mi tylko niewolę mój właściciel skrócił,
Bym córkę utraconą domowi powrócił. —
Nadto, jestem Polakiem; — jakaś skryta władza
Zawsze mi to wspomnienie na myśl naprowadza.
Musiałbym długo walczyć z ranionem sumieniem,
Bym tych co nas gnębili wspierał mem ramieniem.

TAMERLAN.

Co — i tyż zaślepiony, cenisz tak surowo
Kajdanami w niewoli wymuszone słowo?
Albo nazbyt pamiętny dawnych krzywd niewielu,
Tyżbyś śmiał marnych uczuć bezsilny mścicielu
Odepchnąć dumnie zaszczyt najchlubniejszy w świecie:
Drugie miejsce na ziemi, a po Bogu trzecie?

(odchodzi, za nim wszystko ustępuje).

SCENA IV.

AFARAN. KUTŁAJ.

KUTŁAJ.

Znasz ty mnie?

AFARAN.

Dzięki niebu, od niedawnej chwili.

KUTŁAJ *(na stronie).*

Lecz ja ciebie znam dawniej; tak, wzrok mnie nie myli.
(głośno)
Słuchaj — twe niespodziane i dziwne zjawienie
Okropne między nami sprawi zaburzenie.
Jeżeli Han tak lekce zasługi ocenia,
Że chwila przypadkowa losy wodzów zmienia;
Że osadza na miejsce ludzi znamienitych
W nicości wylęgniętych, z ciemnoty dobytych;

Którym ślepe zdarzenie, nie wrodzone męstwo
Do rąk żebrać nawykłych wprosiło zwycięztwo;
Którzy w tryumfie nawet, drząc przejęci trwogą,
Co los za nich wykonał, ledwie pojąć mogą!...

AFARAN (*przerywając*).

Jeśli się mamy spotkać jako prawi mężę,
Godniejsze od słów wietrznych wybierzmy oręże.
Tam ze wstydem uczujesz lub przyznasz mi może,
Że prawdziwa odwaga kryje się w pokorze.

KUTŁAJ.

Tyś jednym czynem moje zniweczył zasługi;
Jedną chwilą wyprzedził szereg lat tak długi;
Tyś mnie na niestłumione naraził niesnaski,
Na pogardę podwładnych i Hana niełaski.
Ty mi władzę wykradłeś — niesławą okryłeś,
I wieczne piętno hańby na czole wyryłeś!
Nie zatrwoży mnie głos twój, ani twoja postać;
Oba na jednym świecie nie możemy zostać!

AFARAN.

Dobrze, niech więc rozstrzygnie oręż to zadanie,
Kto z nas pójdzie na inny, kto na tym zostanie...
Lecz pocóż mam tu ginąć, lub zabijać ciebie?
Może kiedyś w ważniejszej zejdziem się potrzebie;
A puściwszy w niepamięć rzeczy osobiste,
Twarz w twarz, w otwartem polu staniem za ojczyste.
Tam do szczęścia mojego nie potrzeba wiele:
Wolę być tam ostatnim niźli tu na czele.
Pomóż mi tylko odejść. — Gdzież biedna Izana?
O, ustąpię ci chętnie!

KUTŁAJ.

Idę więc do Hana,
A Izanę ci przyszlę niezwłocznie.

(*Odchodzi*).

AFARAN *(sam).*

O Nieba!
Ileż w pośród tej dziczy mąk zcierpieć potrzeba!
Jako? lud co w daleką zaprzedał mnie stronę,
Porwał z łona ojczyzny — zamordował żonę!
Tę, o której myśl każda, i każde wspomnienie
Jakby cios nowy, nowe wlewa udręczenie; —
Wolnego niegdyś, w pęta Azyi osadził,
Włości ogniem i mieczem zburzył i zagładził;
Który mi przez lat tyle gorzkie łzy wyciskał;
Dziśby odemnie wsparcie zdradzieckie uzyskał?
Nie — tego nie dokażą. —

SCENA V.

AFARAN, IZANA, za nią dwóch eunuchów.

IZANA *(w głębi).*

Drzę z żalu i trwogi;
Słowa w ustach mi nikną, i chwieją się nogi.
Któż mnie od losu tego oswobodzić może?
Stało się!...

(biegnie ku niemu)

Weź twą zdobycz tyranie! o Boże!
Afaran!!

AFARAN.

Tak Izano!

IZANA.

Czy to omamienie!
Jakież ciebie w to miejsce sprowadza zdarzenie.
Tyżeś to? wszystko dla mnie dziwnem się wydaje;
Głosu twego zdziwione ucho nie poznaje.
Rozdzielona na zawsze, od razu tak bliska!
(ściska go)
Serce mi tylko mówi, że ciebie przyciska.
Ratuj mnie! zgraja wrogów zewsząd mnie otacza...
Więc odzyskuję ciebie!

AFARAN.

Tak — widzisz tułacza,
Co od obcych do obcych wlokąc się w żałobie,
Przyszedł z długu wdzięczności wywiązać się tobie.

IZANA.

Zawszeż o tej wdzięczności będziesz mi wspominać?
Trzebaż mi od wyrzutów rozmowę zaczynać?
Jeźli tylko wdzięczności wymuszona siła
W twem sercu opieszałem litość obudziła...

AFARAN.

Wszakże za dobrodziejstwa wdzięcznym być przystało;
W tobie mi Niebo ulgę w udręczeniach dało:
Jako braniec wojenny Arabom przedany,
Pięć lat znosiłem ciężkiej niewoli kajdany; —
Wiele od ojca twego wycierpiałem wzgardy:
Wyrzucał mi żem smutny, zawzięty i hardy.
O, nazbyt on mnie dręczył — wiarą prześladował,
Wyrazami poniżał i pracą mordował. —
Gdy dręczenia codzienne, dawnych swobód strata
Goryczą zaprawiały wlekące się lata,
Ty jedna, ty najczulsza w ojca twego domu
Nieszczęsnemu pociechę niosłaś pokryjomu.
Tyś pracą gnębionego odwiedzała skrycie,
I trucizną zaprawne słodziła mu życie.
Te twoje dobrodziejstwa, wierzaj mi Izano,
Na zawsze w sercu mojem pamiętne zostaną.

IZANA.

Zapomnij o nich wiecznie i usuń na stronę
Oziębłą powinnością czucia wymuszone.
O tem tylko pamiętaj co serce nakłania,
Co się pamięta chętnie, zawsze, bez starania
Co człowiek w sercu swojem czuje, nie w rozumie,
Co choćby rad zapomniał, zapomnieć nie umie;

Co nas w niepokój wprawia, wolność nam odbiera,
Co rozkoszną tęsknotą serce nam rozdziera; —
Wszędzie się czegoś szuka, nigdzie nie znajduje;
Wszystko myślą przebiega, ale jedno czuje!
Piekło zewsząd przeraża, a żyje się w Niebie.
Słowem czuj tylko dla mnie, to co ja dla ciebie!
Ojciec mając twą wierność i cnoty na względzie,
Ju mi przyjaźni twojej naganiać nie będzie.

AFARAN.

Tak, nie będzie — lecz pocóż nadaremnie kryję?
Twój ojciec...

IZANA.

Boże! — dokończ! — mój ojciec...

AFARAN.

Nie żyje.

IZANA.

Nie żyje — on nie żyje!

AFARAN.

Ciężki żal po tobie
Przygnębionego późnym wiekiem złożył w grobie.
Długo w sędziwym starcu konające siły,
Nawyknięte do boju ze śmiercią walczyły. —
Dręcząc się nieustannie córki swojej losem,
Zawołał przed skonaniem przerywanym głosem:
„Już na wieczny spoczynek pan świata mnie wzywa,
W tobie niech ma obrońcę córka nieszczęśliwa;
Powróć ję na grób ojca, ojczystej zagrodzie,
Sam wróć do Polski; wolność daję ci w nagrodzie“ —
Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale znikła siła,
A śmierć w stygnących ustach słowa uwięziła. —
Ruszyłem w pogoń; biegłem kędy szli Tatarzy,
Czuwając dnie i noce, aż chwila nadarzy

Możność wyrwania ciebie. W tem słyszę z rozkoszą
Jak przy trąbach żołnierzom po obozie głoszą,
Że ty jesteś nagrodą za Satrapy głowę:
To wróciło mi siły, dało męstwo nowe.

IZANA.

Nieszczęśliwa, co nie ma siostry ani braci,
Matkę dzieckiem straciła — teraz ojca traci,
Godną jest twej litości. — Już tedy na ziemi,
Już więc pomiędzy tylu ludami różnemi
Nie ma nikogo w kimby krew moja krążyła?
Kogobym kochać mogła, jemu miłą była?
Ty jeden Afaranie! w tym cierpień natłoku,
Nie usuń nieszczęśliwej od twojego boku.
Pocóż do rodzinnego mam powracać domu,
Gdzie mój powrót radości nie sprawi nikomu?
Gdzie nikt z wesołą twarzą przed strzechą nie stanie,
Aby dać wracającej czułe powitanie?

AFARAN.

Co? ty się tej najwyższej zarzekasz pociechy,
Aby wrócić z niewoli do ojczystej strzechy?...

IZANA.

Więc uchodźmy; bo cóż nam na przeszkodzie stawa?
Czyż już raz do powrotu nie zyskałeś prawa?
Któż nam oprzeć się może? Jeźliby zuchwali
Przejścia granic obozu kobiecie wzbraniali,
Masz oręż trwożny dla nich, on ich upokorzy,
I wzdłuż zastępów wolne przejście nam otworzy.

AFARAN.

Mamże dla krótkiej zwłoki narażać twe życie,
I sam siebie poniżać, i uchodzić skrycie?

IZANA.

O, długąby ta zwłoka i dla ciebie była,
Gdyby cię do powrotu inna wiodła siła;

Gdybyś sercem wiedziony, nie zimnym rozkazem,
Spełniając moje szczęście, spełniał twoje razem.
O, tybyś rad stygnące zawarł mi powieki,
Uwolnił się od przykrej wdzięczności na wieki!
Daj ten miecz; ja go w lepszej użyję potrzebie,
Tyś zawstydził tysiące, ja zawstydzę ciebie!
Pójdź za mną; ja z żelazem na czele pobiegnę,
Uwolnię cię, lub w twojej obronie polegnę!
Pocoś tu przyszedł? resztę zabrać mi swobody?
Czym za przychylność moję żądała nagrody?
Do kogo mam powracać, gdy z mych cierpień szydzisz.
Kiedym ojca straciła, ty mnie nienawidzisz?
Uwalniam cię na zawsze.

AFARAN.

Wszędzie w każdej dobie,
Gdy mną pogardzasz nawet, wdzięcznym będę tobie.
Jeżeli przykra moja odraża cię postać,
Nim przyjdzie czas powrotu, możesz sama zostać.
(chce odejść).

IZANA *(zatrzymuje go).*

Nie odejdziesz!

AFARAN.

Żądałaś...

IZANA.

Chwytasz wyraz miły,
Który bez wiedzy serca, usta wymówiły,
I jak gdybyś mnie nie znał, spokojnie odchodzisz!...
Czemże mi te boleści, te łzy wynagrodzisz?
(po chwili).
Afaranie, ty rany serca mego czujesz,
Ty się cierpienia mego, moich łez litujesz.
Skrytości duszy twojej przeglądam głęboko...
Ty litość malujące zwracasz ku mnie oko;

Wszak ty wiesz, nigdy licznej nie miałam rodziny,
Ze wszystkich jeszcze ojciec został mi jedyny,
Gdy i ten zniknął, umrę; śmierć mi będzie drogą...
Afaranie, mów: mamże jeszcze żyć dla kogo?

AFARAN.

Jakkolwiek na mnie z takim powstałaś zapałem,
Nie wszystkich utraciłaś, kiedy ja zostałem.

IZANA.

O, drogi Afaranie, to przyjaźne słowo
Serce ciężko ranione pociesza na nowo.
W tobie ja ojca, matkę, świat cały odzyskam,
I wszystko moje w tobie do serca przyciskam.

AFARAN.

Uspokój się Izano; — oto noc nadchodzi.
(ciemnieje).
Chwila spoczynku nagłe wrażenie złagodzi,
Wkrótce odetchnie serce ściśnięte żałobą.

IZANA.

Ach, z tobą pójdę wszędzie, wszędzie, byle z tobą.
(odchodzą w przeciwne strony).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

Akt trzeci.

(Noc która zaszła z końcem aktu zeszłego, trwa dotąd. Teatr wyobraża wnętrze namiotu Afarana; tenże oparty na drzewcu namiotu spi. — Xelina wchodzi po chwili z ostrożnością, i zakryta woalem).

XELINA (*jeszcze opodal*).

Tak jest, wzrok mnie nie zmylił; poznałam go w tłumie,
Dostrzegłam sercem: serce mylić się nie umie. —
Boże! od czegoż zacznę? ach, czemuż morderca
Wzbrania mi go przycisnąć, do czułego serca? —
„Gdyby cię dostrzeżono z kim obcym mówiącą,
„Ściągnęłabyś śmierć na niego, nad tobą wiszącą“,
Rzekł Zoar. Wielki Boże! zobaczę go skrycie...
Może dla innej drogie zachowam mu życie!...
Ale nie; on się mojej ulituje doli,
I niepoznaną żonę uniesie z niewoli. —

(*zbliża się*)

Boże! udziel mi mocy! po wojennym znoju,
Lubym snem posilony zasypia w pokoju. —
Jaka szlachetność duszy wyryta na twarzy!
Może umysł złudzony słodko we śnie marzy;
Może go Niebo szczęściem obdarza łaskawie,
Którego już od dawna nie uczuł na jawie; —

Nagradzając zdradziecko pokrzywdzone cnoty
Sennem marzeniem, dzienne osładza tęsknoty;
Może w tej chwili światłem otoczony czystem,
W własnej ziemi oddycha powietrzem ojczystem;
I długie lata w ciężkiej przetrwawszy żałobie,
Żonę, którą tak kochał, ogląda przy sobie!...
Na czole jego czysta jaśnieje pogoda,
Nieskazitelność serca i duszy swoboda.
Ta twarz, której wyrzutów nie powlekły cienie,
I we śnie nawet wolne odkrywa sumienie. —
O, czemuż mi nie wolno mężu ukochany,
Tyle lat bolejącej dziś zagoić rany?
Dotknąć się piersi twoich, ręki twojej ścisnąć,
I z radośnego oka rzewnej łzy wycisnąć?
„Gdyby cię dostrzeżono z kim obcym mówiącą,
„Sciągnęłabyś śmierć na niego, nad tobą wiszącą". —
Zasypiaj; może ziszczę twe marzenia wieszcze,
A ty mojem marzeniom zostaw chwilę jeszcze;
Gdy się uspionej twarzy, twarzą dotknąć boję,
Niechaj do ust przycisnę chociaż odzież twoję.

(klęka, całuje suknie jego — on się przebudza).

AFARAN.

Kto tu?

XELINA *(powstając nagle).*

O Boże!

AFARAN *(chce odkryć jej twarz).*

Pocóż zdradziecka zasłona;

XELINA.

Nie poznałbyś!...

AFARAN.

Nie poznał?

XELINA.

Wierz mi — to nie ona.

AFARAN.

Tak, nie Izana. —

XELINA.

Przebacz, to nagłe wejrzenie...
Mocne w umyśle moim sprawiło wrażenie...

AFARAN.

Kto jesteś? czego żądasz?

XELINA.

Jestem jak i ona
Branka i służebnica, cierpiąca,... zhańbiona!...
Ty jeden mnie z niewoli możesz uprowadzić...

AFARAN.

Kto jesteś?

(chce ję znowu odsłonić)

XELINA.

Zaklinam cię...

(*na stronie*)

miałby mnie kto zdradzić?

(*głośno*)

Nie — ty mnie nie znasz — wierzaj — ja nie znając ciebie,
Przyszłam żebrać twej łaski w ostatniej potrzebie.
Z którego jestem kraju, cóż ciebie obchodzi?
Zawsze dobry uczynek Niebo ci nagrodzi.
I jeżeli nademną zlitować się raczysz,
Komu szczęście zjednałeś, zjednawszy zobaczysz.
Ach, zaufaj mi Panie, żałować nie będziesz;...
Może wieczną spokojność w nagrodę posiędziesz;...
Może ja, jako anioł od Boga zesłany,
Lubą pociechą zgoję serca twego rany;
W dom twój pokój przyniosę — rozjaśnię wesoło
Długiemi cierpieniami zachmurzone czoło...
Bo czyż jedna kobieta ciągle nieszczęśliwa,
Która litości twojej i pomocy wzywa,

Którę tak małym raczysz uszczęśliwić darem,
Może stać się domowi waszemu ciężarem?
Ja mało potrzebuję; chcę strzedz waszej trzody;
Dajcie mi skromny pokarm i nieco swobody,
Ubogą dajcie odzież, liche pomieszkanie,
Ja chcę pracą rąk moich wysługiwać za nie.
A gdy kres wyznaczony przeżyję w pokorze,
I pogodniejsze dla mnie zajaśnieje zorze,
Dajcie mi na mieszkanie spokojne na wieki
Nieużytecznej ziemi zakątek daleki...

AFARAN.

Przestań; ta czułość twoja serce mi zakrwawia,
I wiele, wiele wspomnień w pamięci odnawia!
Słuchaj; gdybyś żądała, ażebym otwarcie,
Z orężem w ręku jawne poniósł tobie wsparcie,
Choćby cię w piekle skryto, wyrwałbym cię z piekła! —
O, ty nie wiesz coś do mnie w tej chwili wyrzekła!
Lecz kiedy mam jak zbrodzień znikać pokryjomu,
Przebacz mi, i nie żądaj spodlenia i sromu.

XELINA.

Stało się — gdybym życie twoje mniej ceniła,
Możebym innej prośby, innych słów użyła...

AFARAN.

Życie?

XELINA.

Kiedy mi twojej odmawiasz opieki,
Żegnam cię — bądź szczęśliwy — żegnam cię na wieki.
O, jak nas losy w różnej wnet postawią doli!
Ty do szczęścia powrócisz, a ja do niewoli!
Niech Bóg czuwa nad tobą! — idź! — pędź żywot błogi!
A mnie pozwól uściskać twe ręce i nogi.

(klęka).

AFARAN *(podnosząc ję)*.

Ta ziemia zkąd na wieki wszelka godność znikła,
Więcej do kolan ludzkich niźli stóp przywykła.

SCENA II.

CIŻ i KUTŁAJ *(zastaje ję klęczącą)*. Straż.

KUTŁAJ *(w głębi)*.

Nieba! jestem zdradzony! tem samem żelazem...

XELINA.

Kutłaj?

KUTŁAJ.

Ty tu?

AFARAN.

Za moim przybyła rozkazem.
Tyż nad słabą kobietą mściłbyś się nikczemnie?
Jeżeli zemsty pragniesz, to jej szukaj we mnie. —
Precz od niej!

KUTŁAJ *(dobywa oręż)*.

Kto?

AFARAN *(także)*.

Ty!

KUTŁAJ.

Włóczęgo!

AFARAN.

Nieba!

XELINA *(stając między niemi)*.

Ach stójcie!
Drogie innym życie, wzajemnie szanujcie.

KUTŁAJ *(porywa ję na bok)*.

Wiesz jaki był mój wyrok — śmierć cię nie ominie!

AFARAN.

Będziesz żyła — przysięgam!

KUTŁAJ.

Przysięgam że zginie! —
To nie nad Dnieprem boje; raz cię pokonałem,
I drugi raz pokonam — tu z mniejszym zapałem
Harde odkryjesz czoło, niż na własnej ziemi.

AFARAN.

Ty mnie?... ty mnie?... czy z tobą, czy z braćmi twojemi?...
Te wspomnienia... poznaję... ha, toś ty morderco,
Ty drogiej żony mojej drapieżny wydzierco!
Jakżeś mnie uszczęśliwił! jakżeś mnie pocieszył!
Tyś tem szczerem wyznaniem śmierć swoję przyspieszył...
Broń się! jeźli masz męstwo, — chwyć oręż do dłoni.
Jeźli nie śmiesz, uciekaj — a śmierć cię dogoni.
Broń się zbrodniarzu! — los ten nie może nas minąć,
I ażeby żył jeden, drugi musi zginąć.

XELINA.

Stało się — żona twoja nie żyje...

AFARAN.

Nie żyje!

KUTŁAJ (*na stronie*).

Nie dała mu się poznać.

AFARAN.

A zbrodniarz się kryje!
I cóż tobie jej cicha cnota zawiniła?
Ona życia mojego drugiem życiem była.
Ona się stała dla mnie tym boskim Aniołem,
W którym wiecznego szczęścia zakład z Nieba wziąłem.
Gdyby Bóg nad słabością czuwający skrycie,
Występkiem nieskażone zachował jej życie,

Gdyby ostatnie ziemi skryły ję mieszkańce,
Zmierzyłbym wszystkie morza, wszystkie ziemi krańce;
Hoży, niezmordowany, waleczny, zuchwały,
Bez snu i bez pokarmu przebiegłbym świat cały! —
O, ty najnieszczęśliwsza, o ty droga żono!
Której duszę przyjęło Niebo w swoje łono,
Przebacz, że cię tygrysów paszczy nie wydarłem,
I dotąd hańby twojej ich krwią nie zatarłem.
Przysięgam tobie święcie przed ludźmi, przed Bogiem,
Na ciebie, na to wszystko co ci było drogiem,
Że potąd w wściekłej zemście z miejsc tych nie ustąpię,
Pokąd w krwi tego zdrajcy żelaza nie skąpię!
I gdyby go broniła piekieł siła cała,
Wystraszę czarną duszę z ohydnego ciała.
Gdy mi Bóg w udręczeniach łzy jeszcze zachował,
Płacząc będę z nim walczył i płacząc mordował.

(Xelina przez ciąg tej tyrady, stopniono coraz silniejsze okazuje wrażenie, w końcu mdleje. Kutłaj staje tak, aby ję ukrył przed Afaranem i daje znak straży, aby ję wyniesiono).

AFARAN *(ciągle mówiąc).*

A jeźli mnie zawiodą trzęsące się dłonie,
Przebacz mi — wszak ja w twojej polegnę obronie. —

(do Xeliny)

Tobą się świadczę... wyszła. —

(Tu wchodzi Zoar).

KUTŁAJ.

Świadków nie potrzeba!
Te co nas sądzić będą, świadkami są nieba.
Jam tobie wydarł żonę Azyi zwyczajem,
Umarła; ty mi urząd wydarłeś nawzajem!
Przyznasz, choć na pokornych Niebo jest łaskawsze,
Że i dana przysięga nie spełni się zawsze.

(odchodzi).

SCENA III.

AFARAN. ZOAR.

ZOAR.

Szyrwan skarbów ukrytych wzbrania się otworzyć.
Wczoraj zwalczony, dzisiaj broni nie chce złożyć;
Uzbraja młodzież, resztę gromadzi żołnierza,
Ludem osadza wały i bramy najeża.
Pozwodził mosty, rowem poprzecinał drogi,
I zostawione w mieście morduje załogi.
Wielki Han, co się ludzkiej mocy nie obawia,
I chętnie rzeczy mniejsze podrzędnym zostawia,
Kazał ci donieść o tem, byś ukarał zbrodnie,
I zastąpił go sobą, ile zdołasz godnie.

AFARAN.

Do rzeczy niepotrzebne pomijaj wyraży,
I niebezpiecznej tobie nie czyń mi obrazy.
Strzeż się, bym władzy mojej przedwcześnie nie użył,
I abyś nie ty pierwszy na karę zasłużył.
Wiem ja że ci bolesną Kutłaja utrata! —
Wy coście długie na to przetrawili lata
By przez ciągłe pochlebstwa i służebną postać
Życia zbyt niepewnego pewniejszemi zostać,
Nie lubicie przed nowym kolana uginać,
I zasług pochlebstwami na nowo zaczynać.

ZOAR.

Już hufce stoją zbrojne.

(*Afaran bierze dzidę z buńczukiem hetmańskim i wychodzi, — za nim Zoar*).

SCENA IV.

(Teatr przedstawia innę część obozu; jak w scenie pierwszej drugiego Aktu).

KUTŁAJ. ZOAR.

KUTŁAJ.

Ja co prawie na szczycie potęgi stanąłem,
Jednemu przybyszowi mam bić podle czołem?
Wieczną okryć zniewagą zdobyte wawrzyny?
Codziennie się obawiać utraty Xeliny? —
Dziś lękając się śmierci, przyszła utajona,
Lecz miłość i ten postrach niebawnie pokona.
Między śmiercią i hańbą nie umiem wybierać:
Chcę zostać tem czem byłem, lub z chwałą umierać.

ZOAR.

Lud nasz, którym żelazna władać musi ręka,
Dopóty słucha starszych, pokąd się ich lęka;
Ale skoro doczeka sposobniejszej pory,
Jak był łatwym w pokorze, tak do mordów skory.
Nie cierpiąc pana, sądzi że mu niebo sprzyja,
Że przyszły będzie lepszym, gdy tego zabija.
Ty Panie, możesz uledz losowi równemu.

KUTŁAJ.

Nie trwoż się, to żelazo zapobiegnie złemu.

ZOAR.

O jakże tego pragnę! ty wiesz należycie,
Że u nas w ręku starszych jest podwładnych życie.
My w każdej chwili czekamy wyroku,
I wcześnie go w niechętnem przewidujem oku.
A gdy się komu łaskę pozyskać udało,
W Panu swoim sam siebie broni siłą całą.
Tych skrytości Azyi ja umiałem użyć.
Ratuj się; ja we wszystkiem chcę ci wiernie służyć.

KUTŁAJ.

Przywołaj mi Xelinę! —

(Zoar odchodzi).

KUTŁAJ *(sam).*

Wre krew niespokojna;
Wzrastająca wśród krzyków przyzywa mnie wojna. —
Jeźli ma ludzką duszę i ciało śmiertelne,
Zginie, choćby go duchy wspierały piekielne.

SCENA V.

KUTŁAJ. ZOAR. XELINA.

XELINA *(osłabiona).*

Choćem w ciągłych boleściach siły postradała,
Posłuszna woli twojej — jestem.

KUTŁAJ.

Milcz zuchwała!
Tyś w niepamięć puściła straszną groźbę moję,
Że was za tajne zejście czeka śmierć oboje,
Czy ty to zapomniałaś?

XELINA.

Wstrzymaj gniew szalony,
I racz łaskawie mojej wysłuchać obrony. —
Sama sobie oddana, jęcząca w ukryciu,
Nigdym chwili szczęśliwszej nie doznała w życiu!
Pięć lat znosząc bez przerwy sromotne kajdany,
W duszy tylko nosiłam obraz ukochany,
Obraz męża, o którym wspomnieć mi nie dałeś,
I z oczu śledząc myśli, myślić zabraniałeś;
Skryta w namiocie, słyszę licznej zgrai wrzawę,
Dostrzegam łysk oręży, tłumy i kurzawę, —
A w nielicznym orszaku na czele tych szyków
Szedł jakby cudzoziemiec wśród tryumfu krzyków;

Był to mój mąż Kutłaju! — Pojmujesz tę chwilę?
Ileż uczułam szczęścia i rozpaczy ile!
Gdy pewność śmierci jego zastąpiła radość,
Czyż mogłam sercu memu nie uczynić zadość?
Głosu jego nie słyszyć, którego dźwięk miły
Odwykłe uszy moje oddawna zgubiły?
Nie dotknąć ciała jego? rąk łzami nie skropić?
I oka mego w jego oku nie zatopić? —
Ale on nie wie o mnie?

KUTŁAJ.

I nie będzie wiedział.
Wkrótce nazbyt daleki rozłączy was przedział.

XELINA.

Ach!

KUTŁAJ.

Co ci Zoar każe, wypełnij w pokorze.

XELINA.

Nieba! litości!

KUTŁAJ.

Przestań, litość nie pomoże.
Mam jej mało, mówiłaś; nie wykrocz zuchwale,
Abyś nie powiedziała, że jej nie mam wcale.
(odchodzi).

SCENA VI.

XELINA. ZOAR.

XELINA.

Ratuj!

ZOAR.

Cóż mogę?

XELINA.

Spieszmy!

ZOAR.

Już pod bronią stoją.

XELINA.

Tedy śmierć męża mego uprzedź śmiercią moją. —
Na kolanach cię błagam.

ZOAR.

Lecz błagasz daremnie,
I pomocy dla męża próżno szukasz we mnie.
Sam sobie dać ję może — od nas niech nie czeka.

XELINA.

Mów! Jakże twarde serce zimne słowa zwleka!

ZOAR.

Acz wieść, którę usłyszysz, zbyt się rozprzestrzenia,
Przysięgnij, że mojego nie wspomnisz imienia.

XELINA.

Przysięgam!

ZOAR.

Ja co wszystkim rad z pomocą staję,
I wrogom nawet rękę w nieszczęściu podaję,
Powiem ci szczerze: mąż twój (lecz nie chciej go winić)
Gdy go Tamerlan wolnym wzbraniał się uczynić,
Powziął myśl zabić Hana; ten zamiar okrutny
Doszedł do uszu jego; Han dał wyrok smutny...
I Kutłajowi zlecił jego wypełnienie.
Choć winienem był milczeć, zbyt łzy twoje cenię,
I radbym własnem życiem...

XELINA.

Stój — ja w pole biegnę,
Rzucę się między obu i pierwsza polegnę.

ZOAR.

Wstrzymaj się — na czyn taki zezwolić nie mogę;
Innę do ocalenia nastręczę ci drogę...
Napisz: — — „niech nie śmie Hana zabijać tej nocy,
Lecz w ucieczce dla siebie niech szuka pomocy“ —
Napisz i czekaj na mnie skryta w twym namiocie;
Straż odda mu to pismo po jego powrocie,
A tak męża ocalisz.

XELINA.

Zapóźna obrona!

ZOAR.

Wierz mi, nie będzie późną —

XELINA.

On już może kona!

ZOAR.

Walczy z nieprzyjaciołmi.

XELINA.

Już nadziei nie ma!

ZOAR.

On pismo twoje zaraz po bitwie otrzyma.
Bądź spokojną — spiesz.

XELINA.

Boże!

(*wybiega*).

ZOAR (*sam*).

To mu władzę skróci,
I jeźli tam nie zginie, znajdzie śmierć gdy wróci.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

Akt czwarty.

(Teatr przedstawia tę samę przedniejszą część obozu z namiotem Tamerlana, co w scenie trzeciej drugiego aktu. — Tamerlan siedzi na wyniesieniu. — Liczna starszyzna stoi. — Zoar zdający sprawę z bitwy, na przodzie).

SCENA I.

TAMERLAN, ZOAR, ORSZAK.

ZOAR.

Hanie! przy nas zwycięstwo. — Stały szyki zbrojne;
We krwi wzburzonej wrzało męstwo niespokojne;
Każdy drżąc, Arafana wyglądał z zapałem,
W tem widać go z daleka — wówczas (sam widziałem
Bo i ja byłem z niemi), wówczas w mgnieniu oka
Rozległe pola cichość zaległa głęboka.
Każdy chce pierwszy schwycić wodza rozkaz drogi,
Zgięty, piersią wyprzedza posłuszniejsze nogi,
A czując bicie serca, i rosnące siły,
Czoło zmarszczył, dłoń ścisnął, i naprężył żyły.
W tem Arafan jak piorun, lub jak mara blada
Wiatr wyprzedza i czoła rycerzów dopada;
Okiem iskry ziejącem końce hufców zmierza,

Wznosi dłoń, i w żelazną pierś silnie uderza.
Każdy po tem wejrzeniu chęć jego poznaje,
A on milcząc, przykładem wszystkim rozkaz daje.
W oblężonych odwaga równocześnie wzrasta:
Wysypują się z krzykiem przed okopy miasta.
Nasi wklęsając środek, zarzucając krańcem,
W półksiężycu tatarskim witają ich tańcem. —
Uderza wróg na wroga, i z jękiem grobowym
Mięszają się nawzajem w zamęcie wirowym.
Rżą skrwawione rumaki, jęczą ranne męże,
Szczęka chrzęst zbroi dźwięczne kruszącej oręże.
Tutaj rozmiękła ziemia koniom nogi broczy,
Tam w tumanach kurz gęsty po ziemi się toczy.
Wtem, kiedy w jeden ogrom rycerze stłoczone,
Jak woda gną się naprzód, znów w odwrotną stronę,
Pers na siłach zwalczony, a w męstwie zacięty
Resztą sił odpierając, cofa odepchnięty;
Zrazu z uporem, — łatwiej — już się rozprzestrzenia —
Coraz prędzej; — wnet odpór na ucieczkę zmienia.
Długo pamiętać będzie Azya skołatana...

TAMERLAN *(powstając przerywa)*.

Piekielny ród Tatarów i potęgę Hana!

ZOAR.

Lecz tu nie koniec. Tylu zwycięstwy wsławiony
Kutłaj, służenia Tobie żądzą zapalony
Pragnął, by się bezczynnym w bitwie nie ukrywać,
Nie dając sam rozkazów, cudze wykonywać.
Nie wiem, czy za stracony urząd żałość dzika —
Czy Afaran nie lubił sławy poprzednika;
Dość że śledząc się wzajem i zżymając srodze,
W piekielnej burzy oba dostrzegły się wodze.
Zbliżają się ku sobie — oko wryte w oku,
I jednym zwrotem próżnię otwierają w tłoku.
Oręż cięty orężem pod ciosem się zgina,
I odbity, świszczące powietrze przecina.
Stal gęsty sypie ogień — a iskry z orężów

Gasną przy ogniu oczów rozpalonych mężów.
Wnet trzykroć większa wściekłość w obliczach się żarzy;
Ciało styka się z ciałem, twarz zbliża do twarzy;
Każdy żylaste barki zarzuca na wroga; —
Jakby utkwiona w ziemi, drzy niezgięta noga.
Próżno ich rozbraniamy, piersi się przygniotły,
Oczy oczom groziły — i ręce się splotły.
Niepokonana siła wzajem ich zapala;
Napróżno każdy wroga na ziemię obala;
Oba zemstą gorejąc i w zemście zażarci,
Drząc w miejscu, w miejscu stoją, w jedno ciało zwarci.
Już się chwieją — runęli — krew im z twarzy pryska,
A przygniecione ciało ślad w ziemi wyciska.
Afaran był zwycięzcą — wnet oręż porywa,
I krwią nabrzmiałe piersi do ziemi przyszywa.
Krew bryzga, — Kutłaj znosząc gniecące go brzemię
Rękami szarpie ranę i rwie wkoło ziemię.
Skonał; — wnet wojsko w dawnych szeregach stanęło,
A Afaran przerwane pobiegł skończyć dzieło. —

TAMERLAN.

Lubię ten obraz wojny — radość w sercu czuję...
Kutłaj zginął?

ZOAR.

Zwycięstwo wiele nas kosztuje.
Choć zabójca Kutłaja wielkiej godny kary,
Zwycięzca jeszcze większej godny jest ofiary.

TAMERLAN.

Tak, z rozkoszą przebaczę!

ZOAR.

Ale z drugiej strony
Zbrodnia pod twoim okiem... twój wódz niepomszczony...
Dla sławy twojej, którą tak wysoko cenię,
Może by lepiej było, gdyby oddalenie...

TAMERLAN.

Jeźli mnie postawicie w tej smutnej potrzebie,
Zacznę od mniej potrzebnych, a może od siebie.

SCENA II.

CIŻ i AFARAN *(na czele wojska z dobytym orężem.)*
(Wnoszą broń, klucze, chorągwie, dalej idą brańcy i. t. d.)

TAMERLAN.

Gdyś obelgę wczorajszą dziś świeżą krwią zmazał,
Przyznać muszę, że jabym więcej nie dokazał.

AFARAN.

Pomiń to wielki Hanie; — bo czyliż rzecz nowa,
Że z pomiędzy walczących wygrała połowa?
Ale przebacz mi raczej, że jednem żelazem
Wojowałem i Persów i Kutłaja razem.
Zawiść niepowściągnięta w tłumy go wplątała,
A żądza mojej śmierci jemu śmierć zadała.

TAMERLAN.

Cóż ztąd? zapomniej o tem, sam sobie zaszkodził,
Że mniej mężny zuchwale na mężniejszych godził.
Jeszcze w nim wojsko moje nie straciło wiele,
Gdy obok Tamerlana, Afaran na czele.
Czyż przeto chcesz zgon jego tłumaczyć przed Hanem,
Że on zwał się Kutłajem, a ty Afaranem?
I cóż mnie to obchodzi, jak się kto nazywa?
Dla mnie ten tylko drogi, kto bitwy wygrywa.
U mnie człowiek narzędziem, — daj nowe narzędzie,
Przeniosę je nad ciebie, jeźli lepszem będzie.

AFARAN *(składając oznaki).*

Ach panie, ja nie zdołam być poręką twoją,
Piersi me nie umieją oddychać pod zbroją.

Tak; uwolnij mnie panie, niech te godła zrzucę,
I utraconą córkę na grób ojca wrócę.

TEMERLAN.

Obiecałem, nie cofam; — składam ci podziękę,
I pan świata przed wojskiem podaje ci rękę!
(podając ję)
Choć zapewne nazawsze odchodzisz odemnie,
Zawsze cenić cię będę.

AFARAN.

O, i ja wzajemnie!

SCENA III.

CIŻ i NIEWOLNIK.

(Niewolnik oddaję kartkę Afaranowi a ten Tamerlanowi).

TAMERLAN *(czyta).*

„Afaranie, kiedy Han odjazd twój odwleka,
„Szukaj dla siebie prędkiej w ucieczce pomocy.
„Han już wie, że ty chciałeś zabić go tej nocy;
„Cofnij zamiar — on w zemście śmierci twojej czeka.“

AFARAN.

Gdzież jestem — cóż to znaczy?

TAMERLAN.

Tej nocy?

ZOAR.

Co słyszę?
O zbrodnio!

AFARAN.

Tem żelazem potwarcy odpiszę!

TAMERLAN *(rzuca pismo.)*

To potwarz!

AFARAN.

Boby prawdą musiało być razem,
Że Kutłaj na mnie godził za twoim rozkazem. —
Ja zdradziecko napadać!...

ZOAR *(powtarzając Hana.)*

To potwarz!

AFARAN.

Drżę cały!...
Zkąd to masz?

NIEWOLNIK.

Od Xeliny.

AFARAN.

Zdrajco!

TAMERLAN *(do Afarana).*

Milcz zuchwały!

(Zoar daje znak żeby milczano)

(do Zoara).

Przyprowadź tu Xelinę.

(Zoar wychodzi, dając znać wojsku, by się oddaliło).

SCENA IV.

TAMERLAN. AFARAN.

AFARAN.

Ufaj słowu memu
I pozwól mi na chwilę zostać z nią samemu.
To czarną kryję zdradę. — Cóżem jej zawinił!

TAMERLAN.

Pamiętaj, żem nikomu łask tyle nie czynił.
Innemubym nie umiał tak długo odwlekać,

I zbytecznie cierpliwy na dowody czekać.
Jeźli nie zdołasz zbrodni wytropić dokładnie,
Na ciebie cały ciężar zemsty mojej spadnie.
Nie wchodząc czy to prawda, czy złości potwarze,
W nagrodę za zwycięstwa wypędzić cię każę.
(odchodzi)

AFARAN *(sam).*

Tym ostatnim wyrazem wściekłość w duszę wlałeś.
I ja już tracę ludzkość, której ty nie miałeś.
Nie znam odtąd nikogo, sam dla siebie żyję,
Nie poruszy mnie więcej nieszczęście niczyje;
A gdy bez krwi rozlewu żyć u was nie mogą,
Ja praw moich tąż samą bronić będę drogą.

SCENA V.

AFARAN. XELINA *(jeszcze zakryta).*

AFARAN.

Znasz to pismo?

XELINA.

Ja?

AFARAN.

Mów!

XELINA.

Ja?... zmień ten głos.

AFARAN.

Mów.

XELINA.

Boże!

Czyż przyjacielska litość oburzać cię może?
Zamiar już twój odkryty, wszędzie trwogę wzniecił.

AFARAN.

Co?

XELINA.

Tyś chciał zabić Hana, on ciebie polecił. —
Kiedy wieść ta okropna do mnie zabłądziła,
Dla ocalenia ciebie, jam pisma użyła.

AFARAN.

Powiedz, tę wieść piekielną kto tobie powtórzył?

XELINA.

Ach, któż ci kiedy wierniej, kto szczerzej usłużył?

AFARAN.

Odpowiadaj, lub zginiesz.

XELINA.

Śmierci się nie boję.

AFARAN.

Mów!

XELINA.

Przysięgłam.

AFARAN.

Lub zginiesz. —

XELINA.

Oto piersi moje.

AFARAN.

Han mnie czeka — jeżeli śmiesz taić niegodnie,
Własnem życiem za cudze odpowiesz mu zbrodnie.
Mów!

XELINA.

Nie!

AFARAN *(dobywa oręż.)*

Giń!

XELINA *(klęka i zatrzymuje.)*

Stój! miej litość nad mężem w żałobie!...
Powiedz — gdyby kto żonę zamordował tobie!...

(Afaran milcząc chowa oręż — ona wstaje).

Na łączące mnie z mężem przysięgam ci śluby,
Żem ocalenia twego pragnęła nie zguby.
O, gdybyś mógł usłyszeć głos mego sumienia!...
Gdyby ci znane były duszy udręczenia!
Gdybyś wiedział... przebacz mi! i ja miałam męża...
Przebacz łzom moim — boleść trwogę przezwycięża...
Możeś i ty miał żonę?

AFARAN *(płacząc).*

Już jej nie zobaczę!

XELINA.

O, i ja miałam męża! może i on płacze!...
Może on do innego zaprzedany świata
Z rzewnością zwraca myśli w upłynione lata!
Widzę go — on się ze mną więcej nie rozstanie,...
Podobny do aniołów, i do ciebie panie! —

AFARAN *(chce odkryć ję).*

O Boże, ten głos!...

XELINA.

Czekaj!

AFARAN.

Przysięgam, odkryję!

XELINA.

Ach, — Kutłaj!

AFARAN.

Już go niema.

XELINA.

Co? Kutłaj?...

AFARAN.

Nie żyje.

XELINA *(rzucając się na niego i odsłaniając twarz).*

Wacławie!!

AFARAN.

Co? Wacławie? Boże! — tak — to ona!
Heleno!! — gdzież ja jestem?...

XELINA.

Mój mąż...

AFARAN.

Moja żona...

XELINA.

O Wacławie!

AFARAN.

Heleno!... Cóż się ze mną dzieje?
Ledwie uwierzyć mogę; i drzę i truchleję. —
Tyś tak długo przedemną ukryć się zdołała!

XELINA.

Kutłaj śmiercią zagroził, gdybym się wydała.

AFARAN.

Powiedz, powiedz Heleno! zkąd ta wieść szatana?
Kto ci mówił, żem ja chciał zamordować Hana?

XELINA.

Zoar.

AFARAN.

O, ta wieść w jego wylęgła się głowie!
On ję stworzył, rozrzucił; on za nię odpowie!

XELINA.

Usuń się — ktoś nadchodzi. —

(zasłania twarz chwilowo).

SCENA VI.

CIŻ i IZANA.

IZANA.

Widzę was oboje?
Afaranie — ty prośby wysłuchałeś moje?
Weźmiesz ję?

AFARAN.

Czy ję wezmę!

IZANA (*ściska ję*).

O, jakżem szczęśliwa!

AFARAN.

Żono!

XELINA.

Mężu mój!

IZANA (*puszczając ję*).

Jakiż głos się tu odzywa?
Żono?... mężu?...

AFARAN.

Heleno!

XELINA.

Wacławie!

IZANA.

O Nieba!

AFARAN.

Już do szczęścia naszego więcej nie potrzeba,
Ta o której zabiciu pomięszane wieści
Tyle sercu mojemu zadały boleści,
Której utrata całe szczęście mi wydarła,

I litość zagłuszyła — i cnoty zatarła,
I pomięszała w sercu tlącem zemstą krwawą
Wściekłość z żalem, łzy z żądzą, odwagę z obawą, —
O której tobie z takim mawiałem zapałem,
Co było duszą moją, mojem szczęściem całem,
Której ty sama, słodząc smutne moje życie,
Litowałaś się nieraz, zapłakałaś skrycie,
Oto stoi przed tobą.

IZANA.

Kłamiesz! to nie ona!

XELINA *(ściskając jego rękę).*

Izano! to nie mąż mój?

AFARAN.

To nie moja żona?

IZANA.

Nie ujrzy świata tego, kto raz legnie w grobie.

XELINA *(do Afarana).*

Tyś mnie z grobu wydobył!

AFARAN.

Drogieście mi obie.

IZANA.

O, nie! — jej pierwsze słowo, jedno jej spojrzenie,
Wznieciły w sercu twojem miłości płomienie.
Szczęśliwa! — ona w jednej chwili pozyskała,
Czegom je przez lat tyle zyskać nie umiała!

AFARAN.

Gdyś mi lat tyle ciężkie słodziła katusze,
Tęż z ust twoich przy końcu wzgardę słyszeć muszę?

Boże! czym kiedy pragnąc milszym tobie zostać,
Przybierałem kochanka wymuszoną postać?
Kiedyż zdradne wyrazy, kłamliwe wejrzenia
Ukrywały przed tobą duszy udręczenia?
Czyż się taiłem kiedy? czyż kiedy umiałem
Zimne uczucia sztucznym ożywić zapałem?
Gdy obok miłych wspomnień ponurość grobowa
Zadziwiające ciebie nastręczała słowa;
Jeżeli ciągłym żalem jątrzące się rany,
Jeźli dusza strudzona, umysł obłąkany,
Łzy boleści z szaloną mięszały rozpaczą,
Czyż taiłem przed tobą co te troski znaczą?
Próżno w twojej litości szukałem pomocy;
Cierpienia z dniem przeżyte, sen powtarzał w nocy.
Uchem śledząc jej głosu, jej postaci wzrokiem,
Widząc ję duszą, w tobie widziałem ję okiem.
Ję przyciskałem, twoje przyciskając łono!
Izano, powiedz, powiedz, czy jest moją żoną?

IZANA.

Dobrze — wierzę twym słowom, kiedy każesz wierzyć,
Ale utraty twojej nie potrafię przeżyć.
Któż mi przyniesie pomoc? jestże jaka siła
Coby zatarła przeszłość, wspomnienia zniszczyła?
Gdzież się podzieję? sama — bezsilna sierota
Przy kimże spędzę resztę ciężkiego żywota?
Jestże cud, jestże władza na ziemi czy w Niebie,
Któraby mnie zapomnieć nauczyła ciebie?

AFARAN.

Uspokój się Izano, — czas wszystko odmieni,
Obudzi przyjaźń w miejscu niewczesnych płomieni.
Jeźli wolisz dom ojca, możesz wrócić ze mną;
Jeżeli Polska nasza będzie ci przyjemną,
Pójdź z nami; będziem wspierać twoje lata młode;
Znajdziesz krewnych, przyjaciół, mienie i swobodę,

Wszystko; bo jam dawnego uczucia nie zmienił,
W niej będę kochał żonę, w tobie przyjaźń cenił;
A tak szczęśliwy wami, nadziei nie stracę,
Że ci życzliwość twoję, wdzięcznością odpłacę.

IZANA.

O, nie — ja tu zostanę; — nic mnie nie nakłoni;
Pożegnam was oboje, lecz z żelazem w dłoni. —
I ty szczęścia nie znajdziesz — Bóg za twoje winy
Nigdy ci twojej dawnej nie wróci krainy.
Nie zastaniesz nikogo — ci w troskach umarli,
Ci żyjąc, imię twoje w pamięci zatarli.
Nie znajdziesz domu twego — próżno w całej ziemi
Śledziłbyś miejsca jego pod stopami twemi.
Gdzie spojrzysz, w którękolwiek obrócisz się stronę,
Wszędzie dręczyć cię będzie sumienie ranione.
(do Xeliny)
Ach, potożem dla ciebie litości żebrała,
Bym utraciwszy szczęście, na wasze patrzała!
Boże, co srodze karzesz niewiarę i zbrodnie,
Za niepotrzebną litość skarałeś mnie godnie.

XELINA.

Kiedyż łzy moje oschną sprawiedliwe Nieba,
Kiedy na własne szczęście jeszcze płakać trzeba!

SCENA VII.

CIŻ i ZOAR ze strażą.

ZOAR.

Xelina pójdzie ze mną!

AFARAN.

Dokąd?

ZOAR.

Do więzienia.

AFARAN.

Widzisz ten oręż?

ZOAR.

Cudze wypełniam zlecenia;
Zbyt długa zwłoka czyni niespokojnym Hana.
Dziwiż ciebie gwałtowna woli jego zmiana?
Zwykle wyroki nasze jedna chwila zmienia,
Co dziś godne nagrody, jutro potępienia.
Ciebie zaś Afaranie Han wielki ocalił,
Bylebyś się dziś jeszcze z obozu oddalił.

XELINA.

Nieba!

IZANA *(pocieszona)*.

Ha!

AFARAN *(do Zoara)*.

Tyż to mówiąc śmierci się nie boisz?
Jeźli ci życie drogie, wracaj! — jeszcze stoisz?
Lub raczej powiedz: jakaż czarodziejska władza
Ciebie na ślad pomysłów cudzych naprowadza?
Powiedz, jakimże cudem — raczej, jakim czołem
Tyś wyśledził mój zamiar, wprzód nim go powziąłem?

ZOAR.

Rzecz dziwna, gdziem się zwrócił, wszędzie z każdej strony
Uszu moich dochodził ten zarzut szalony!
Gdym zbyt rozgłoszonego stłumić już nie zdołał,
Chciałem skutki uprzedzić...

AFARAN.

Tyś go sam wywołał!

Nią się świadczę...

XELINA *(do Afarana).*

Pomiń to; — szanuj życie twoje,
Mnie zostaw — uchodź spiesznie; — uchodźcie oboje. —
Ja nigdy lepszej w życiu nie czekając doli,
Nawykłam już do cierpień, do łez, do niewoli. —
Chwila nadziei dawną rozjątrzyła ranę,
Lecz gdy ję znów utracę, spokojną zostanę.
Myślmy ciągle o sobie, a mimo przestrzeni
Będziem razem, bo myślą ciągle połączeni.
Podaj mi rękę twoję — uściśnij mnie szczerze,
Raz ostatni... raz jeszcze. —

ZOAR.

Bierzcie ję żołnierze.

AFARAN.

Zginie, kogo zuchwała zbliży do mnie noga!
Żono!

XELINA.

Mężu! Wacławie!

AFARAN.

O Heleno droga!

XELINA *(do Zoara).*

Litości! chwila jeszcze — wszak to już na wieki!
Na wieki!

ZOAR *(do Xeliny półgłosem).*

I jażbym ciebie z mojej wypuścił opieki?

XELINA.

Co? ty możesz?

IZANA.

Nie może!

ZOAR.

W nocy; pokryjomu;...
Wszakże ucieczka z mężem nie przyniesie sromu.

XELINA.

Co!

AFARAN.

Mów!

ZOAR.

Uchodźcie!

IZANA.

Straż nam wyjścia wzbraniać będzie.

ZOAR.

Już poleciłem — straże przepuszczą was wszędzie.
(do straży)
Gdy wyjść zechce, możecie namiot jej odsłonić.

IZANA.

A mię wejścia nie wzbraniaj.

ZOAR *(do żołnierzy)*.

I wejścia nie bronić.

IZANA.

Słyszycie?
(na stronie)
Los nasz w krótkiej rostrzygniemy dobie,
Jedna tylko żyć będzie, lub zginiemy obie.

AFARAN.

W nocy przybędę po was.

(Zoar daje znak straży, aby wzięto Xelinę — Afaran i Izana odchodzą w różne strony).

SCENA VIII.

ZOAR *(sam)*.

Ja Hana sprowadzę,
Sprawdzi się chęć zabójstwa. To ci skróci władzę.
Śmierć wszystkich, wszystko przeszłe w niepamięć zagrzebie
Tyś zastąpił Kutłaja — ja zastąpię ciebie!...

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

Akt piąty.

Całe miejsce widzialne okryte lasem; — z jednej strony widać początek obozu, i czarny namiot więzieniem będący; — przed namiotem chodzą straże. — Noc — widać księżyc. — Zoar wchodzi z żołnierzami, których ukrywa za drzewa.

SCENA I.

ZOAR.

Rozsypcie się w gęstwinie z milczeniem głębokiem,
Każde ich poruszenie czujnem śledźcie okiem;
Wkrótce wielkiego Hana w to miejsce sprowadzę,
A losy wasze, waszej poruczam odwadze.

(idzie).

SCENA II.

AFARAN *(później nieco).*

Tam ich nie widzę — może w innę poszły stronę. —
Heleno!! czekam!! — milczy? może są zdradzone!
Miałyżby lekce chwilę umówioną cenić?
Miałyżby się zatrwożyć, przedsięwzięcie zmienić?
Służy nam noc pogodna, — nie! pojąć nie mogę;
To opóźnienie wznieca domysły i trwogę. —

(do straży.)

Były tu dwie kobiety? czyście nie widzieli?
Milczycie? za pieniądze mówić zapomnieli! —
Niezasłużoną pewnie obarczam je winą;
Tak, kto inny być musi tej zwłoki przyczyną.
Pobiegnę, porozrywam te domy wiszące,
Piersią wyprę zapory, i straże roztrącę. —
Wszędzie martwo — noc szare rozpostarła cienie;
Głucha cichość i spiące zaległo milczenie...
Jakiś szmer... to wiatr słaby w łagodnym powiewie,
Rozkołysane liście potrąca na drzewie.
Spią wszędzie... lecz co słyszę? czy to liść szeleści? — —
Głos ludzki... wielki Boże... tak, to głos niewieści!
Słychać znów — jak grobowy jęk słychać zdaleka...
Jakby sapanie... czemuż tak długo odwleka?...
Zimno mi... już je słyszę... czy mnie ucho zwodzi?
Tętni stęp szybkiej stopy. — Tak jest, ktoś nadchodzi.

SCENA III.

AFARAN. IZANA.

IZANA *(wpada blada ze sztyletem w dół spuszczonym).*

Pójdź — pójdź już — uciekajmy — ty jeszcze odwlekasz?
Przez litość, uciekajmy — i na kogo czekasz?

AFARAN *(bierze ję za rękę).*

Tyś pomięszana?

IZANA *(wzięta za rękę wypuszcza żelazo).*

Boże! zkąd masz to narzędzie?
Gdzieś znalazł? to nie moje.

AFARAN.

Piekła!

IZANA.

Cicho wszędzie...

AFARAN.

Izano!

IZANA.

Kto mnie woła? nie trwoż się, to we śnie...
Cóż znaczą te odgłosy jęczące boleśnie?

AFARAN.

Ach, Izano, domysłem niechciej mnie zatrważać.

IZANA *(ogląda się)*.

To ty? czyż mnie tak strasznie godzi się przerażać?
Cicho — mów — kogo szukasz? — czego się oglądasz?
Poco przyszedłeś do mnie? powiedz czego żądasz?...
Zsiniałe członki ciepłe — wpadł w piersi głęboko...
Patrz, jak szybko przymyka i otwiera oko!...
Drgają palce i usta — znikł głos przerywany,
A spieczonej krwi kłęby wyrzucają rany!...

AFARAN.

Gdzież jestem? Nieba!

SCENA IV.

CIŻ I XELINA *(ranna)*.

IZANA.

Cóż to za postać straszliwa?

Ratujcie!

AFARAN.

Żono!

XELINA.

Mężu!

AFARAN.

Żono nieszczęśliwa!

IZANA.

Piekielne widmo, opuść te skostniałe dłonie...
Czego szukasz? po zemstę przychodzisz po zgonie?
Zlodowaciałą nogą we krwi mojej brodzić?
I krwią moją wyschnięte wnętrzności ochłodzić.

(wybiega).

XELINA.

Przebaczam ci Izano!

SCENA V.

AFARAN. XELINA.

AFARAN.

Piekielne zbłąkanie!

XELINA.

Wacławie, konającej przyjmij pożegnanie.

AFARAN.

Najlepsza żono, zdrada wydziera ci życie!
Nielitościwe Nieba! wyż na to patrzycie?

XELINA.

Uspokój się Wacławie — już siły słabieją,
Usypia krew stygnąca, i członki drętwieją...,
Wstrzymaj twój odjazd, — życie przetrwawszy w żałobie,
Niech tę ostatnią chwilę przepędzę przy tobie.
Ty obcym prawie dla mnie będąc przez czas długi,
Żonie twojej nie odmów ostatniej posługi.
Własną ręką do ziemi wejście mi otworzysz,
I na wieczny spoczynek zwłoki moje złożysz.
Tam się zdradnej litości nie uwiodę głosem,
Śmierć będzie życiem mojem, jednostajność losem,
Szczupły grób całym światem, ziemia przyjacielem,
A wieczne zapomnienie... krzywd moich mścicielem...

AFARAN (*oglądając ranę*).

Uspokój się, uspokój Heleno kochana,
Nie ma niebezpieczeństwa — to nie groźna rana.
Żadnym dotąd występkiem ręka nieskażona,
Sił niepewna, bojaźnią drżąca i omdlona,
W odurzeniu cios słaby twym piersiom zadała. —
Już dawna moc powraca — krew się zatrzymała;
To więcej przerażenie, — tak, porzuć tę trwogę,
Przybierz męstwa, — ja chwili zostać tu nie mogę.
(*chcą iść*).

SCENA VI.

CIŻ I ZOAR (*wpada z ukrytemi żołnierzami*).

ZOAR.

Trzymajcie!

AFARAN.

Precz odemnie! ze mnąż walczyć śmiecie?
Niebo mi ję powraca, a wy nie wydrzecie.
Czuję nadludzką siłę, którą moje ramie
I ciebie sprzątnie z drogi i te szyki złamie.
Wszystkich z wiatrem rozprószę — wszędzie burzę wzniecę,
I po trupach usłanych zwycięzcą przelecę. —
Kto mi drogę zastąpi? to śmierci narzędzie
Jak duch w świętej pielgrzymce przodować mi będzie.
Odważny dobrą sprawą i męstwem zuchwały,
Patrz, w każdej części ciała walczyć będę cały!
(*chcą iść*).

XELINA.

Wacławie!

ZOAR (*chwyta Afarana*).

Nie odejdziesz!

AFARAN (*przebija Zoara*).

Giń zbrodniarzu krwawy!
Niegodzieneś litości, gdy złej bronisz sprawy!

SCENA VII.

CIŻ I TAMERLAN.

TAMERLAN.

Stój!

AFARAN.

Tamerlan?

TAMERLAN.

Więc prawda, że przy jej pomocy
Chciałeś mnie zamordować zdradziecko tej nocy?
I w zbrodniczem zuchwalstwie zabijasz Zoara!

AFARAN.

Nie Panie! — lecz dla niego to za mała kara.

TAMERLAN.

Co tu robisz? — w tej porze?

AFARAN.

Ona moją żoną.
Z nią chciałem ujść tajemnie na rodziny łono;
Lecz świadczę się sumieniem, Bogiem, Niebem całem.
Że nigdy ciebie gubić zamiaru nie miałem.
Patrz na mnie i tu czytaj — głosu nie odmienię,
A śmiałe oko, czyste odkrywa sumienie!
(do Zoara).

Ale ty synu piekła, ty wszystkich zdradziłeś;
Ty pragnąc śmierci mojej tę wieść rozpuściłeś.
Mów! przyszła straszna chwila — ciało twoje kona,
Dusza twoja przechodzi do wieczności łona; —
Mów, czy na widok Boga zgrozą nie truchleje?
Mów! w miłosierdziu jego masz jakę nadzieję?
Przebłagaj go wyznaniem! — Chce mówić! — znak daje...
Przysięgam on nas zdradził!... —

ZOAR *(konając).*

Tak jest... ja... wyznaję...

AFARAN.

O Boże!

XELINA.

Dzięki Niebu!

AFARAN.

Kutłajowi służył,
I dla własnych widoków czarnej zdrady użył.

SCENA VIII.

CIŻ i jeden ze straży.

ŻOŁNIERZ.

Jakaś kobieta z miejsc tych szybkim dążąc krokiem,
Z wzniesionemi rękami, z zaostrzonym wzrokiem,
Z rozpuszczonemi włosy, jęcząca, wybladła,
Minęła straże nasze, i do rzeki wpadła.
Poniesiono jej pomoc, ale nadaremną:
Wartki pęd wody porwał i skrył ję przedemną.
(odchodzi).

AFARAN.

Co — Izana nie żyje?

TAMERLAN.

To całe zdarzenie,
Jakgdyby nie istniało, puśćmy w zapomnienie!

XELINA.

Ach Panie, ty zadaną zgoiłeś mi ranę;
O Nieba! cóż sprowadza tę gwałtowną zmianę?
Już więc nie potrzebuję mej duszy ukrywać,
I już mi wolno mężem jawnie go nazywać...
Mężu mój!

AFARAN.

Droga żono! Dzięki Niebu składam;
W niej wszystko utraciłem, w niej wszystko posiadam.

TAMERLAN.

Żyjcie odtąd szczęśliwi miłością wzajemną!
Ja zawsze będę z wami, a wy bądźcie ze mną.

AFARAN.

O Panie — kiedyś raczył męki nasze skrócić,
Do kochanej ojczyzny nie wzbraniaj powrócić.

TAMERLAN.

I tyż śmiesz żądać tego? dwoch wodzów zabiłeś:
Milczałem, bo ich stratę sobą nagrodziłeś,
Nie mógłżeś przeczuć, względy zaślepiony memi,
Że gdybyś chciał odchodzić, poszedłbyś za niemi?

AFARAN.

Cóż ja Panu trzech światów pomódz jestem zdolny?
Czyż bezemnie zwyciężą ciebie?

TAMERLAN.

Jesteś wolny. —
Lecz idź zaraz, dopokąd robię tę ofiarę;
Kto wie czy jutro łaski nie zmienię na karę.

AFARAN *(porywając żonę swoję)*.

O! nie dożyłbym jutra! Jest moc niepojęta,
Jakiś duch tajemniczy, jakaś władza święta,
Co bratniem pokrewieństwem rodaków kojarzy,
Która przez wspólność losu, wspólnem czuciem darzy;
Która dusze i serca połącza ze swemi,
Stopy nawet przykleja do rodzinnej ziemi! —
W obcym kraju, rodaka kto napotka zbliska,
W nim jednym wszystkich swoich do serca przyciska. —

Człowiek krew swą przelewa dla kraju posługi,
Ginie, i radby ożył, by zginąć raz drugi! —
Komu Bóg tę ostatnią zostawił pociechę,
Na skrzydłach wiatru leci pod rodzinną strzechę,
By znaleść jeszcze ziemię, ziemię sercu drogą,
Ziemię, na której śmiało stąpić może nogą,
I wyrzec, — gdzie pomniki ojców jego stoją: —
Ten kraj moją ojczyzną, ta ziemia jest moją!

(wybiega z żoną).

KONIEC.

Uwaga. Tamerlan, podług historyi życia jego, utyka na lewą nogę, i ma lewą rękę odciętą niżej łokcia, w skutek ran świeżo odniesionych na granicach Seistanu. Szczegół ten tłumaczy, dlaczego Han swoich wojsk sam nie prowadzi do boju pod Szyrwanem.

VI.

ARCEZ

TRAJEDYA W CZTERECH AKTACH.

OSOBY:

BARDAN, naczelnik plemienia Ultonii.
ARCEZ.
EGEMA, córka Bardana.
TURGUTAN, stary wódz.
HEREMON, syn jego.
RAZENA, towarzyszka Egemy.

Scena w Irlandyi w dziewiątem stuleciu.

(Rzecz wzięta z podań miejscowych).

Sztuka ta przedstawioną była kilkakrotnie w Narodowym Teatrze Warszawskim przed rokiem 1831.

Akt pierwszy.

SCENA I.

BARDAN. TURGUTAN.

BARDAN.

Szanowny wojowniku — drogi przyjacielu,
W ważnym cię dziś dla kraju przywołałem celu.
Na tej nieludnej wyspie, mimo królestw mnóstwo
Mimo zamki warowne i ludu ubóstwo,
Złych sąsiadów umysły chciwe, niespokojne,
Niekończącą się nigdy zarzewiają wojnę.
Od trzech lat nieprzerwanie srogie Piktów plemię
Burzy nasze siedziby i pustoszy ziemię.
Ciągle się przerzedzają liczne niegdyś szyki; —
Próżno z dniem każdym mężne giną wojowniki;
Codzień widzimy nowe i gwałty i męki,
Conoc słyszymy krzyki, rozpacze i jęki;
Widzimy ciągle ognie i łuny na niebie.
Cóż mogę słaby starzec w tak trudnej potrzebie,
Niegdyś stróż swobód waszych i granic obrońca,
Stargany w tylu bojach i już bliski końca?
Gdy niebo niemowlęciem zabrało mi syna,
Niech nowe pokolenie królować zaczyna,

Niech tę przynajmniej znajdę pociechę przy zgonie,
Że los kraju naszego w młode złożę dłonie.
Ty, który przyjacielem moim przez lat tyle
Byłeś przy wiośnie życia, jesteś przy mogile,
Przynieś mi radę, podaj przyjacielskie wsparcie,
Wszak tu o przyszłość chodzi; — mów ze mną otwarcie. —
Z tych, co tej szczupłej ziemi zatrudnieni sprawą
Umieli dług synowski wypłacić jej z sławą,
A których późne wnuki wdzięcznością nagrodzą,
Jedni zeszli ze świata, drudzy z nami schodzą.
Gdy nas od spraw narodu usuwa wiek stary,
Niech młodsi od nas dalsze dźwigają ciężary.
Lecz niestety z szczupłego wybrać przyjdzie grona:
Mamy tylko Arceza albo Heremona.
Mnie na stronę pierwszego przeczucie nakłania;
Lecz nie ufając sobie, czekam twego zdania.

TURGUTAN.

Jam krajowi naszemu głównie w bojach służył;
A luboś także często rady mojej użył,
Oszczędny w zdaniu, nigdy nie śmiałem ci radzić,
Gdzie mogłem rodu mego korzyści sprowadzić.
Jeźli temu nie przeczysz, nie wymagaj panie,
By o przymiotach syna ojciec dawał zdanie.

BARDAN.

Mów ze mną jak bywało, szczerze i otwarcie;
Zdanie twoje dziś wielkie przyniesie mi wsparcie.
Ty wiesz, ja się do wielkich mocarzów nie liczę.
Którzy gdy zewsząd słyszą pochlebstwa zwodnicze,
Bóg im tak mało prawych przyjaciół udzielił,
Że im się żaden prawdy mówić nie ośmielił.
Mów szczerze, — tego żądam — a wnet rozrządziemy
Zwierzchnictwem, a z niem ręką Egemy...

TURGUTAN *(strwożony)*.

Egemy?...
Kiedy więc nakazujesz, abym mówił szczerze...

BARDAN.

Mów; równie w twoję szczerość, jak w twę przyjaźń wierzę.

TURGUTAN.

Lecz... lękam się, by mojej nie splamiono sławy,
Żem sam do syna mego śmiał należeć sprawy.

BARDAN.

Przechowam tajemnicę.

TURGUTAN.

Wielbię obu cnoty,
Oba mają czcigodne acz różne przymioty;
Lecz kiedy te na szali porównania ważę,
Słuszność za synem moim przemawiać mi każe;
Bo Arcez jeśli potrwa w swej dobroci dłużej,
Prędzej na imię ojca niż króla zasłuży.
Twój towarzysz, gdy z laty walczyć zapomina,
Wojować i wygrywać nauczył już syna.

BARDAN.

Czemuż nie mogę równej pociechy używać? —
O, ja nie mogłem mego nauczyć wygrywać!
Dwadzieścia lat minęło, jednak i dziś przecie
Niezłagodzony smutek serce moje gniecie!
I tym mi boleśniejszą stratę przypomina,
Że kraj utracił króla ze śmiercią Alcyna.
Niebo srogą na ojca zsyłając ofiarę,
Stratę syna w ogólną przemieniło karę.
Dziś w niebezpiecznym rządcy przyszłego wyborze,
Któż z nas ciężkiej pomyłki nie lękać się może? —
Gdy się różnimy w zdaniu: — ja Arceza pragnę
I czuję, że nie łatwo zdanie moje nagnę,
Niech więc czajek przewódcy i rodzin ojcowie,
Naczelnicy górali i zamków panowie
Zgromadzą się na radę; — w tak ważnym układzie
Więcej niż sobie samym, zaufajmy radzie.

(*odchodzi.*)

SCENA II.

TURGUTAN. ARCEZ. HEREMON.

HEREMON (*do Turgutana*).

Czy rozniesione wieści godnemi są wiary,
Że król ważne dla kraju układa zamiary?

ARCEZ (*do tegoż*).

Że ciebie stryju po to przywołał do siebie,
By rady twojej w ważnej zasięgnąć potrzebie?

TURGUTAN.

Tak jest — by śmiercią swoją zaburzeń nie sprawić,
On chce za życia jeszcze następcę zostawić. —
Lecz gdy się z wolą jego moja nie spotkała,
Chce, ażeby jednego z was rada wybrała.
Temu, na czyję głosy przeważą się stronę,
Odda chorągiew przodków i córkę za żonę.

HEREMON.

Rządy kraju!

ARCEZ.

I córkę!!

TURGUTAN.

Lecz mocno boleję,
Że nie dla obu równą odsłonię nadzieję:
Wybór na pół zrobiony; — Twój ojciec przy zgonie
Dalszy twój los, Arcezie, w moje złożył dłonie;
I przyznacie mi sami, że z równym zapałem
I siostrzeńca mojego i syna kochałem.
Lecz dziś, by mię o stronność nie posądził trzeci,
Jestem synem ojczyzny, i nie mam już dzieci. —
A jeśli los życzenia mojego dokona,
Na czele naszem wkrótce ujrzym Heremona.

ARCEZ.

Egemo!

TURGUTAN.

Ty jej musisz wyrzec się niezwłocznie,
Wprzód nim się zejdą radni, nim się zbór rozpocznie.

ARCEZ.

Stryju, i jażbym zdołał takie oświadczenie?...

TURGUTAN.

Tego żądam, i woli mojej nie odmienię.
Dziś, gdy ciągle nękany burzliwemi wojny,
Biedny lud jednej chwili nie wytchnie spokojny;
Kiedy te mórz mieszkańce, napół nagie hordy
Łupieżą chaty biednych, rozsiewają mordy,
Łowią trzody po górach, niszczą dolin plony,
Topią dzieci i starców, porywają żony;
Kiedy cała Ultonia w popiołach zburzona, —
Tyżbyś jej sam nie życzył wodzem Heremona?
Nie zwalczyłbyś miłości? patrz, sam się rumienisz,
Że tak mało szlachetną duszę twoję cenisz...
Dowiedź, że umiesz wesprzeć ojczyznę w potrzebie,
Wyrzec się wszelkich związków, i zwyciężyć siebie. —
Dowiedź, jak ja dowiodę, ciebie godnym czynem,
Że wprzód niźli kochankiem, jesteś kraju synem. —
A ja, skroń twą zwycięskim ozdobiając wieńcem,
Z pychą wśród koła moim nazwę cię siostrzeńcem! —
O nieba! — jakże słodko ofiarą tak małą
Pozyskać wdzięczność swoich i okryć się chwałą! —
Z jakąż znoszą radością znoje i katusze,
Kochające ojczyznę, niezachwiane dusze!
Życie dla niej poświęcić jest zaszczyt zbyt mały.
Dziś te cnoty powszednie zadziwiać przestały;
Lecz szukać szczęścia, swego w jej szczęściu, zaszczycie,
I to jej wreszcie oddać, co droższe nad życie —
Oto jest świetny obraz wznioślejszej posługi,

Jakę jej oddał Warik, a ty oddasz drugi.
Powiedz, maszże dość męstwa?... niechaj w jednem słowie...

ARCEZ.

Uwolnij od słów, Arcez czynem ci odpowie.

TURGUTAN.

Zwołam więc radę, — wierz, ten jeden czyn wypłaci,
Co za całe twe życie winieneś dla braci.

(odchodzi).

SCENA III.

ARCEZ i HEREMON.

ARCEZ.

Idę —

HEREMON.

Dokąd?

ARCEZ.

Wypełnić ojca twego wolę.

HEREMON.

Tyżbyś sam dla Egemy gotował niedolę?
Gdy równe mamy prawa, niech nas obu sądzą;
Gdy z dwoch będą wybierać, tym trudniej pobłądzą.
I jakiżby to na mnie zaszczyt sprowadziło,
Żem ja był najgodniejszym, gdy innych nie było?

ARCEZ.

Niewiele życiu twemu przydać możesz sławy,
Stając pewny tryumfu z bratem do rozprawy.
Gdyby wybór nie łączył Egemy zamęźcia,
O! nigdybym ci tego nie zazdrościł szczęścia!

HEREMON.

Tyżbyś tak szczupłe szczęściu granice zakreślał,
I gdzie o władzę idzie — o żoniebyś myślał?...

Więc bracie, nie czyń kroku, który w jednej chwili
Cały ogrom nieszczęścia na ciebie przechyli.

ARCEZ.

Czuję sam, że nie mogę.

HEREMON.

I czyż taką trwogą
Wyrazy ojca mego przerażać cię mogą? —
Jakkolwiek sławnych cnotą szereg przodków długi,
I osobiste ojca mojego zasługi,
Zdanie jego prawości cechują znamieniem,
Wola jednego nie jest powszechnem życzeniem.
Bracie, — jeżeli z tobą mam mówić otwarcie, —
W przywiązaniu Egemy wielkie znajdziesz wsparcie,
Bo kiedyś już pozyskał jej miłość wzajemną,
Do związku tego większe masz prawa przedemną.

ARCEZ.

Tak, — lecz ta skłonność serca starców nie poruszy,
Twoja siła ramienia, i hart twojej duszy....

HEREMON.

Tę różność ducha, którę ludzie widzą w czynach,
Ojcowie nasi ze krwią zaszczepili w synach. —
Twój więcej był przezorny, a mój więcej mężny;
Twój więcej przenikliwy, mój więcej potężny.
Czego twój za łagodnym nie dopiął rozkazem,
Mój uderzył, i milcząc wykonał żelazem.
Mój bronił kraju mieczem, twój go radą wspierał;
Mój odwagą pokrzepiał, gdy twój łzy ocierał.
Kiedy się do gór naszych obcy lud dobywał,
Twój radził go pokonać, a mój pokonywał.
Trudno zatem przewidzieć, czy mnie czy też ciebie
Przeniosą zgromadzeni w tak ważnej potrzebie.
Niech jednak los, co w takiej doświadcza nas próbie,
I połączonych dotąd, stawia przeciw sobie,
Nie rozłączy nas nigdy. —

ARCEZ (*za rękę go biorąc*).

I w największej zmianie
Niech dawna przyjaźń nasza niezmienną zostanie.
A chociaż w tym brzemiennym przeciwieństw natłoku
Żadenby z nas nie wstrzymał łzy bolesnej w oku...

HEREMON (*przerywając*).

Jażbym płakał, i los mój tak wysoko cenił?...
Przebacz, jeśli ten zarzut twarz moję zrumienił.

ARCEZ.

Bracie, w tem jednem, widzę, mocno się różniemy:
Ty więcej pragniesz władzy, ja więcej Egemy.
Ha! jednakże mi niebo tyle męstwa dało,
Że z walki uczuć sprzecznych i ja wyjdę z chwałą;
I ja zdołam dla braci i twojego szczęścia,
Posłuszny woli stryja wyrzec się zamęźcia.
(*odchodzi*).

SCENA IV.

(*Inny pokój*).

RAZENA. EGEMA.

EGEMA.

Patrzaj, Arcez nie wraca — może złemi wieści
Nie chce nowej w mem sercu rozniecić boleści.
Może on już rozpoznał, że Rada zwołana,
Która, mówią, — przyszłego ma wybierać Pana,
Niegodnie nad Arceza wznosząc Heremona,
Narzuconem zamęźciem mych nieszczęść dokona.
Ale czemuż nie wraca i powiększa rzewność?
Strasznym ciosem jest rozdział, straszniejszym niepewność!

RAZENA.

Wkrótce wróci; niepewną będąc twojej doli,
Czas opieszały nazbyt spływa ci powoli.
Jednak, pocóż rozmyślnie przed stroskanem okiem
Słońce nadziei smutku przegradzasz obłokiem?
Bo któż przewidzi? — może nagle, niespodzianie
Dzień dzisiejszy dniem szczęścia twojego zostanie?
Czyż może oko twoje łzę boleści sączyć,
Gdy się możesz z Arcezem na zawsze połączyć?

EGEMA.

Tak jest, wiecznie połączyć lub wiecznie rozdzielić!
O! los taki nie może serca rozweselić.
Rada, co tylko dobro kraju ma na względzie,
Pewno cierpienia mego szanować nie będzie.

RAZENA.

Twój ojciec, chociaż widzi równe cnoty w obu,
Nie zechce młodych lat twych przychylać do grobu;
Prócz tego, jakaś tajna siła przywiązania
Serce jego na stronę Arceza nakłania;
Lubi z nim mówić, z każdą zdaje się rozmową
Wzmagać dawną życzliwość życzliwością nową.

EGEMA.

Wszyscy go wielbią, — Arcez nieprzyjaciół nie ma; —
Ależ ileż go kocha nieszczęsna Egema!
Lecz powiedz — on nie wraca?

RAZENA.

Owszem, już nadchodzi...

EGEMA

Cóż we mnie tę obawę i to drzenie rodzi!...

SCENA V.

TEŻ i ARCEZ.

EGEMA *(strwożona).*

Czy straciłeś nadzieję?

ARCEZ.

Ach, porzuć tę trwogę...
Jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie mogę.

EGEMA.

Słyszałżeś zdania, myśli, chęci i układy
Naczelników pokoleń zebranych do rady?

ARCEZ.

Słyszałem...

EGEMA.

Mów —

ARCEZ.

Egemo, o jakże boleję,
Że tylko zachwiać mogę tę błogą nadzieję!

EGEMA.

Nieba!

ARCEZ.

Lud co zaledwie uniknął zagłady,
Chce przyszłe bytu swego umocnić posady.
Przebywszy tyle cierpień, straciwszy tak wiele,
Pragnie on bohatera postawić na czele,
Któryby straszny obcym i wszędzie zwycięski,
Pomścił doznane krzywdy i odwracał klęski;
Wzajemną trwogę w łonie sąsiadów rozsiewał, —
I powstrzymywał jednych, a drugich zdumiewał,

By przed nim drzała morska dzicz nieposkromiona...
Rozumiesz mię Egemo, — on chce Heremona.

EGEMA.

A więc nie chce takiego, którym zarazem,
Swoich sercem zwyciężał, a obcych żelazem?
Rozsądkiem i dobrocią zdumiewał sąsiady,
Przezornością uniknął burzy i zagłady.

ARCEZ.

Nie rozpaczajmy jeszcze w tej wątpliwej doli,
Jeszcze radni ostatniej nie wyrzekli woli.
Może niebo nam sprzyja, — może los nadarzy,
Że jeszcze upragniony związek nas skojarzy;
I może cudem jakim światło zajaśnieje,
Które nam przytłumioną ożywi nadzieję;
Wówczas Egemo, cierpień przetrwawszy czas krótki,
Z rzewnością będziem dawne wspominali smutki...

EGEMA.

Tak jest! król i Turgutan wesprą stronę twoję...

ARCEZ.

O! nie Egemo — jego najwięcej się boję...

EGEMA.

Stryja?

ARCEZ.

On dogadzając narodu potrzebie
Chce żebym... przebacz,...

EGEMA.

Dokończ!

ARCEZ.

Bym się wyrzekł ciebie!

EGEMA.

Potożeś tajny ogień rzucił w moje łono,
Byś na wieki opuścił ofiarę zdradzoną?

ARCEZ.

Egemo! — wstrzymaj rozpacz — kocham cię nad życie,
I nie przyjmuję rady, którę wielbię skrycie.
Jednak, — jeśli nas losy rozdzielą na zawsze?...
Niebo ciągle bywało dla niego łaskawsze!
Powiedz, — pokąd nadziei reszty nie zabrano, —
Egemo, mogęż jeszcze nazwać cię kochaną?

EGEMA.

A ja kochanym mogęż nazwać cię wzajemnie?

ARCEZ.

Ach, obyś i szczęśliwą mogła być bezemnie!

SCENA VI.

CIŻ i BARDAN.

EGEMA (*klęka*).

Ojcze, sprawiedliwości!...

BARDAN (*podnosząc ję*).

Mamże cię podnosić? —
Trzebaż o sprawiedliwość na kolanach prosić?

EGEMA.

Jeżeli tak jest czujną sprawiedliwość święta,
Czemuż dbając o wszystkich, o mnie nie pamięta?
Skrytości serca mego przed tobą nie taję, —
I pod opiekę ojca los córki oddaję.

BARDAN.

Cóż za domysł tak nagle twe nadzieje zmienia?

EGEMA.

Ach ojcze, to nie domysł, to nie urojenia!
Sam Arcez wypełniając Turgutana wolę,
Przed chwilą mi zwiastował tę okropną dolę.

BARDAN.

Turgutana?

EGEMA.

Ty ojcze nie dopuść zamęścia
Które krajowi twemu nie zapewni szczęścia; —
Uwolń mnie od zaszczytów; niechaj twoja rada
Prawa własności we mnie nikomu nie nada;
Niechaj królów mianuje, tam leży jej sława;
Lecz niech do ręki mojej nie rozciąga prawa.

BARDAN.

Nie lękaj się Egemo, — równa obu chwała —
Obydwom równe prawa do wyboru dała.
A jeśli mnie nie łudzą domysły i ślady,
Wkrótce Arcez zwycięsko wyjdzie z tej narady.

EGEMA.

Ach ojcze, nogi twoje niech łzami obleję, —
Ty niknącą na zawsze wracasz mi nadzieję.

SCENA VII.

CIŻ i HEREMON *(na czele kilku radnych).*

HEREMON.

Królu, już się w świątyni Rada zgromadziła,
I nas z tem doniesieniem do ciebie przysyła.
(*Egema odchodzi*).

ARCEZ.

O nieba! — jakże prędko nadeszła godzina,
W której się życie nasze, albo śmierć zaczyna!

HEREMON.

Co, tyżbyś rad tę szczęścia godzinę odwlekał,
Na którę jam tak długo z upragnieniem czekał? —
Mąż mężnie dotrwać winien, czy korzyść czy strata,
Pójdź i nie rzucaj wstydu na oblicze brata.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

Akt drugi.

SCENA I.

EGEMA (*sama*).

O jakże czas niepewne godziny przewleka!
Czyż nigdzie litośnego nie spotkam człowieka,
Któryby troski moje podzielając ze mną,
Ciężką boleść łagodził boleścią wzajemną? —
Wszędzie spiące milczenie — te posępne mury
Zwiększają we mnie trwogę i smutek ponury.
Wszyscy poszli radośnie oczekiwać końca, —
Kędy ich „dziećmi“ nowy przywita obrońca;
Wszyscy radzi słuchają stanowczego głosu,...
O jakże los ich różny od mojego losu!
Bo czy jeden czy drugi stanie na ich czele,
Za każdym przyjdzie chwała, swoboda, wesele;
Każdy z nich jest im drogim; — lecz ja nieszczęśliwa! —
Ha, kto wie... głos nadziei znowu się odzywa —
O, powracaj Razeno — usuń tę niepewność; —
Pójdź dzielić moję radość, lub bolesną rzewność.

(*słychać gwar*).

Co słyszę -- jakiś gwar się w tych murach rozlega...
Lud radośny tłumami w góry się rozbiega...

Ach lękam się, odejdę, mdleją siły moje...
Razena? — o los własny zapytać się boję! —

SCENA II.

EGEMA. RAZENA.

EGEMA.

Nie mów nic; — nim pochodnie ślubne zajaśnieją,
Pozwól mi jeszcze chwilę cieszyć się nadzieją.

RAZENA.

Dziś ona cię nie zdradzi — wybiła godzina,
Która jego i twoje szczęście rozpoczyna.

EGEMA.

Co?

RAZENA.

Arcez twoim mężem, — zgromadzona Rada
Królem go powitała, i zbroje mu wkłada.

EGEMA.

Uściskaj mnie Razeno!... lecz płonnemi wieści
Skołatanego serca nie zwiększaj boleści.

RAZENA.

Skutku wielkiej narady czekając zdaleka,
Ku tłumom biegnącego dostrzegam człowieka,
Co powtarzając imię Arceza wesoło,
Przesłał tę wieść ludowi rozlanemu w koło.

EGEMA.

Więc naród nie pobłądził w tak ważnym wyborze?
O! nic mojej radości wyrównać nie może!...
Powtórz, miałżeby Arcez mężem moim zostać?
Wszystko dla mnie odmienną przywdziało dziś postać.

Ludzi, którym przed chwilą złorzeczyła trwoga,
Wdzięczność łzami ocenia i zbliża do Boga;
Ojciec którego władza trwożyła mnie skrycie,
Więcej mi jest niż ojcem i droższym nad życie;
Cierpienia, których dotąd lękam się obrazu,
Jakby nieistniejące zniknęły odrazu,
I jakby światłem dziennem rozprószone cienie,
Słodkie mi zostawiając po sobie wspomnienie.
Te mury się zmieniły, twój głos się odmienił,
Bóg chłodzącym oddechem twarz moję ocienił;
Pokój nademną jasnym roztoczył obłokiem,
I spojrzał na mnie z nieba łagodności wzrokiem. —
Patrzaj Razeno droga, Arcezie kochany,
Ile dokonać może jedna chwila zmiany! —
Droższą mi teraz jesteś niżeś kiedy była,
Boś pierwsza wzrok ponury szczęściem rozjaśniła.
Ach tak szczęśliwą jestem, żeś droższą w tej chwili
Ty, coś mi to przyniosła, nad tych co sprawili! —
(klęka).
Ty nieśmiertelny Władco niebieskiej krainy,
Co rządząc wolą ludzi prowadzisz ich czyny;
Który przez to szczęśliwe i święte zamęście,
Nieskończone Egemie zgotowałeś szczęście,
A która dziękczynienia chce ci złożyć za nie,
Przyjmij to z głębi duszy płynące wyznanie, —
Łzę szczęścia, którę oko rozrzewnione sączy, —
Duszę, która się z duszą Arceza połączy.
Ten oddech przerywany i to serca bicie
Wdzięczność moją ku tobie przesyłają skrycie.
Niech odgłos chwały twojej potomek daleki
Z pychą własną w odległe przekazuje wieki;
Niech światło wiecznej prawdy w całej ziemi błyśnie,
I niech się reszta świata do nóg twoich ciśnie!

SCENA III.

TEŻ i ARCEZ.

ARCEZ (*porywając za rękę klęczącą*).

Egemo! już za późno — modły nie pomogą...
Złą do szczęścia naszego dążyliśmy drogą! —

EGEMA.

Boże!

ARCEZ.

Losu naszego już nie przezwyciężem, —
Już się stało — Heremon królem...

EGEMA.

Moim mężem!

ARCEZ.

Tak jest — on mężem twoim i gór naszych panem;
Dla mnie bratem i królem...

EGEMA.

A dla mnie tyranem!

ARCEZ.

Długo się wśród zdań różnych ważył obrad skutek; —
Zwycięstwo poszło za nim, dla mnie został smutek.

EGEMA.

A więc wszystko stracone! i cóż mi zostało
Utraciwszy nadzieję! Chyba umrzeć stałą!
Gdy mnie ludzie ścigają, prześladują Nieba,
Aby mnie zamordować, czegóż więcej trzeba?
Ach, oby kraj ten kiedyś, choć późno zrozumiał,
Że szczęścia w pośród nieszczęść wybierać nie umiał;
Oby Bóg na tę ziemię przekleństwa wyrzucił,
I od niej oko swoje na wieki odwrócił! —

ARCEZ.

Egemo, gdzież ja jestem? cóżeś ty wyrzekła? —
I dokądże cię rozpacz unosi zaciekła?
Uśmierz ten gniew szalony, i w dzikim zapale
Nie śmiej niebios oburzać i uwłaczać chwale!
Im tylko działań ludzkich znane są powody,
Bo je niemniej jak króle, obchodzą narody.
Próżno wzdychasz Egemo, łzy lejesz daremnie,
Raczej wejrzenia twoje odwracaj odemnie.
Gdy przestajesz być moją, przestań kochać razem,
A niebios złorzeczącym nie drażnij wyrazem;
Nie mów do mnie — unikaj... przyjmij losu zmianę...

EGEMA.

Czyż nie mówiąc do ciebie kochać cię przestanę?
Czyż nie więcej przemówi bolesne westchnienie, —
Lub mniej będzie niż słowo wymowne milczenie?
Czyż sądzisz, że kto inny tę rękę posiędzie,
Kiedy serce do śmierci bić dla ciebie będzie?
O, zbyt jesteś w mej duszy wyryty głęboko!
Dusza cię będzie widzieć, choć nie ujrzy oko.
Nie skryję się przed tobą, i ty się nie skryjesz,
Mieszkasz w moim umyśle, w mojem sercu żyjesz.

ARCEZ.

Miłość, którę twe oko, twój głos wyobraża,
Zwiększa moje boleści i trwogę pomnaża.
Stało się; już twej ręki nie ujmę w me dłonie,
Ani na przyjacielskiem przycisnę ję łonie.
Nie osłodzisz mych cierpień anielskim uśmiechem,
Ani twarzy wiosennym ożywisz oddechem, —
Ani dobędziesz z piersi czarownego głosu,
By marzeniem przyszłego pocieszyć mnie losu.

EGEMA.

Razeno — cóż ty na to? — mogłażeś tak zdradnie
Zmyślonem szczęściem rozpacz rozjątrzać układnie?

RAZENA.

Przebacz — odgłos powszechny...

ARCEZ.

Tak, lud zgromadzony
Już był puścił niepewną wieść na różne strony,
Skoro z ust ojca twego me imię z zapałem
Wyrzeczone usłyszał. — W zgromadzeniu całem
Odgłos ten za stanowcze wzięto ogłoszenie; —
O, jakże i po stracie ten głos jego cenię!

EGEMA.

Ojcze, ty chcesz, by Arcez został moim mężem!
A więc razem umrzemy, lub razem zwyciężem.
Na wszystko się odważy mój umysł szalony,
W którekolwiek nas oko zaprowadzi strony.
Pójdziem do obcych ludów, w odległe narody,
Pocieszać się wzajemnie i szukać swobody.
Bo kiedy Rada wasza ludzkości się zrzeka,
Choć jednego pod słońcem znajdziemy człowieka.
A jeśli wszyscy cofną ręce dobroczynne,
I nikt wsparcia nie poda, pójdziem w strony inne;
Jako ludu srogiego niewinne ofiary
Pójdziem w dzikie pustynie, bezludne pieczary;
Tam szukając swobody i cnoty przykładu,
Gdzie nigdy stopa ludzka nie wygniotła śladu, —
Gdzie kwitnie sprawiedliwość bez ludzkiej opieki, —
Gdzie w milczeniu i zgodzie przemijają wieki.
Tam wspominając dawne uciechy i męki,
Głuchym puszczom bolesne powierzymy jęki. —
Zwierz nawet rozjuszony mniej od ludzi srogi,
Nieszczęśliwym wygnańcom nie zastąpi drogi.
A gdy nam śmierć przynosząc nagrodę prawdziwą,
Zakończy tę pielgrzymkę w nieszczęściu szczęśliwą,
Wówczas wiecznie przyjaźne połączywszy dłonie,
Węzłem silniejszym jeszcze złączymy się w zgonie. —
Gdy dusze skojarzone ujdą spocząć w niebie,

Oczy moje zastygną patrzące na ciebie!
Wkrótce czas zwłoki nasze w popioły obróci,
Wiatr puszczy je rozniesie, w powietrze wyrzuci;
Chciałabym od tej ziemi oderwać się całą,
By na niej nawet szczątków moich nie zostało!

ARCEZ.

Tyżbyś wynagradzając moje przywiązanie,
Do nieznajomych ludów przeniosła mieszkanie?
I wsparcia u obcego szukała narodu —
I władzy się wyrzekła, i wyrzekła rodu?...
To serce które ciągła zmienność losu nęka,
I chciałoby uwierzyć, i wierzyć się lęka. —

EGEMA.

Słuchaj — wyrazom moim większą wagę nadam;
Oto przy świetle słońca przysięgę ci składam:
Wyrzekam się zaszczytu i rodu i tronu,
Twoją jestem — i twoją zostanę do zgonu.
Żadna władza, — przysięgam przed Boga obliczem —
Egemy od Arceza nie rozłączy niczem.
A jeźli cię opuszczę lub zdradzę bezkarnie,
Niech na mnie zasłużone Bóg zeszle męczarnie; —
Niech ciągle ta przysięga staje mi przed oczy,
I niech wyrzut sumienia serce moje toczy.
A ty, jeźli mnie kiedy opuścisz niegodnie,
Niechaj cię za mnie skażą twoje własne zbrodnie!

ARCEZ.

O radości! do szczęścia więcej mi nie trzeba! —
Ja na świadki te same przywołuję Nieba:
Przysięgam ci przed Bogiem i na to sumienie
Że słowa mego nigdy — nigdy nie odmienię; —

(dobitnie)

Gdy cię zdradzę, niech ziemia zapadnie się ze mną!

SCENA IV.

CIŻ I TURGUTAN *(który wchodzi, kiedy jeszcze Egema ostatnie wymawia słowa).*

TURGUTAN *(w głębi).*

Nieba — cóż ja słyszałem — przysięgę wzajemną!
(zbliża się)
Po ciebie mnie Egemo twój ojciec przysyła,
By spełnić, co przed chwilą Rada uchwaliła.

EGEMA.

Nie starcze! w ręku waszych jest Egemy życie,
Niem możecie rozrządzać, sercem nie rządzicie. —
Bądź spokojnym Arcezie — znoś burze wytrwale,
Ja lub twoją powrócę, lub nie wrócę wcale.
(odchodzi).

SCENA V.

TURGUTAN ARCEZ.

TURGUTAN.

Przebóg! — cóż uczyniłeś? — sam sobie nie wierzę,
Zmięszanego cię widzę — lecz wyjaw mi szczerze; —
Powiedz, co jej przysiągłeś?

ARCEZ.

Ha! stało się Panie; —
Nieba biorę na świadki, że przysiągłem na nie. —

TURGUTAN.

Boże — i tyż nie cofniesz? —

ARCEZ.

Śmierci się nie boję —
Bo więcej niźli życie ważę słowo moje. —
Jakąkolwiek mi przyjdzie dobijać się drogą,
Umysł zcierpi, a piersi zawady przemogą.
Prześladujcie mnie zawsze i ścigajcie wszędzie
Ja ję nad życie kocham — ona moją będzie.

TURGUTAN.

Słuchaj; — ja jednem słowem ten zapał rozbroję...
Wiesz kogo chcesz zaślubić? własną siostrę twoję!

ARCEZ.

Turgutanie! co? siostrę? jakiż głos straszliwy — ...

TURGUTAN.

Głos niegdyś stryja twego; — słuchaj nieszczęśliwy...

ARCEZ.

Czekaj; Egema — siostra! — zkąd ta dzika wzmianka? —
Nie stryju — to nie siostra! — to moja kochanka!
Ona jest tą dziewicą — tym boskim aniołem,
Który za żonę wezmę, za kochankę wziąłem...
Ale ty mówisz — siostra?...

TURGUTAN.

Nieszczęśliwy synu,
Słuchaj, nim zbrodniczego dopuścisz się czynu.
Kiedy tak niebezpieczną obraliście drogę,
Okropnej tajemnicy dłużej kryć nie mogę.

ARCEZ.

Czekaj, pójdę braterską uścisnąć ję dłonią!
Chociaż mi tej w cierpieniu ulgi nie zabronią. —

TURGUTAN *(wstrzymując go)*.

Ta straszliwa wiadomość cierpień twych nie zmniejszy,
Owszem, ona ci zada cios najokropniejszy; —

Ona nowe boleści przyda twemu życiu,
Bo musisz cierpieć więcej, a cierpieć w ukryciu.
Choćby cię przygnębiła piekieł siła cała,
Chociażby cię Egema zbrodniarzem nazwała,
Choćby Heremon nowe chciał czynić ofiary,
Chociażby Rada pierwsze cofnęła zamiary,
Chociażby cię twój ojciec rzeczy nieświadomy,
Powagą władzy swojej znaglał do korony:
To, co się stanie odtąd wiadomem nam obu,
(dając mu rękę)
W nas tylko żyje, z nami pójść musi do grobu.

ARCEZ.

Masz przysięgę — i stałe biorę przedsięwzięcie,
Że jeźli pierwszę złamię, tej dochowam święcie. —
Egemo! wielki Boże! —

TURGUTAN.

Synu nieodrodny,
O jakżeś twego ojca, twojej siostry godny; —
Pierwszy raz w życiu mojem łamię dane słowo! —
(wznosząc myśl ku niemu)
Ty co nas za niewiarę karzesz tak surowo,
Widzisz sam, że w tem miejscu przysięga nie służy,
I zbrodniębym popełnił, gdybym taił dłużej. —
(do Arceza)
Słuchaj, wszak nas tu ucho nie zdradzi niczyje:
Arcez umarł, — a w tobie syn królewski żyje:
Na szczycie skały zwanej skałą pustelnika,
Która w obłokach ginie i niebios dotyka,
Żył niegdyś kapłan święty, stary, długobrody,
Którego czciły wszystkie tej wyspy narody.
Jak gdyby z gór wierzchołka widział przestrzeń świata,
Znał całą przeszłość, przyszłe przepowiadał lata,
A z słów jego, jak gdyby płynęły od Boga,
Lała się luba błogość, lub studząca trwoga.
Królowa, gdy cię na świat wydała, Alcynie,

Chciała już odkryć przyszłość w niemowlęciu synie.
Starzec powiedział: „straszne są nieba wyrocznie!
„Szereg klęsk ziemię waszę prześladować pocznie;
„Niebo nas wszystkich z swojej opieki usunie;
„A sławne dotąd plemię z poniżeniem runie.“ —
Królowa pragnąc szczęścia i chwały narodu,
Poświęciła dla niego przyszłość swego rodu;
A puściwszy zmyśloną wieść o twoim zgonie,
Złożyła cię w troskliwe brata mego dłonie.
Przyjął cię, w tobie syna zmarłego posiadał,
Tobie ród swój przyswoił, inne imię nadał;
I pokąd z szczęściem kraju, wśród jego swobody,
Na łonie uciech wiek twój przepędzałeś młody,
Sądziłem, że on słodko do końca przeminie,
A straszna tajemnica w ukryciu zaginie.
Sądziłem, że ci ojcem zostanę w potrzebie,
A ty szczęśliwym będziesz, nie znając sam siebie;
Nie wiedząc czem dziś jesteś, nie wiedząc czem byłeś,
Co niegdyś zyskać mogłeś, a co utraciłeś.
Dziś wolno ci jest starca o podstęp obwinić; —
Bóg osądzi, czy mogłem inaczej uczynić.

ARCEZ.

I potóż ciebie Nieba w te miejsca przysłały,
By tak okropną boleść w serce moje wlały?
Aby mnie ciągle dręczyć, i aby bezkarnie
W męczarniach ciągle nowe wymyślać męczarnie!
Nie mogłżeś tę wiadomość lat tyle tajemną,
I w tym ostatku życia ukrywać przedemną?
Czyż dziś, gdy w ciele mojem ogniem gore piekło,
Jak gdyby w niem truciznę roztoczyło wściekłą, —
Czyż nie mogłem u ciebie mieć litości tyle,
Byś żelazem uprzedził tę okropną chwilę, —
Chwilę, w której tak straszną zbrodnię popełniłem,
I do spełnienia drugiej przysięgi użyłem! —
Siostra moja!... jakież ty skrytości posiadasz,
Jak okropniejszy jeszcze obowiązek wkładasz!...

TURGUTAN.

O Boże! za cóż oba dziś tak cierpieć mamy?...
Czemuż nam Bóg tej wcześnie nie oszczędził plamy?...
Ciągłą wojną zajęty — w polu zamieszkały,
Czyż mogłem wcześnie poznać zbrodnicze zapały?
Lecz porzuć rozpacz — dzięki Niebom dobroczynnym,
Że jeszcze dotąd jesteś wolnym i niewinnym.

ARCEZ.

Niewinnym? ja niewinnym? co w dzikim zapale
Poprzysiągłem zaślubić i kochać ję stale. —
Ileż tu łez popłynie; — o ileż tu razy
Uszy moje okropne przerażą wyrazy!
Jej wyrzuty, przekleństwa, skargi, złorzeczenie
Z czarnych grobów posępne wywołują cienie. —
Tu Egema zdradzona, w szalonym zapędzie
Kary i pomsty Niebios wzywać na mnie będzie.
Cóż jej odpowiem na to? oto milczyć muszę,
Niewinny cierpieć w sercu piekielne katusze...
Tak nagle zmienić dawniej słodką dla niej postać,
I nazawsze w jej oczach zbrodniarzem pozostać. —
Nieba! nie zdołam przed nią w żadnę skryć się stronę,
Ani wyrzec jednego słowa na obronę! —

TURGUTAN.

Stało się — w tym brzemiennym przeciwieństw natłoku
Nie szukaj jej spotkania — unikaj jej wzroku.
Czas odmieni stan rzeczy; gdy zapał zwolnieje,
Może ci Niebo dawną odsłoni nadzieję. —
Wreszcie, przyzwij odwagę i męskiego ducha,
Niechaj rozsądku serce pokonane słucha. —
Poznaj mnie teraz lepiej, wiedz z jakiej przyczyny
Chciałem niwecząc wybór, nie dopuścić winy.
Lecz więcej sobie ufaj — wnet wszystko odmienisz,
Więcej ja cenię ciebie, niż ty sam się cenisz;
I byś nowym tryumfu ozdobił się wieńcem,
Wystaw jeszcze przez chwilę, żeś moim siostrzeńcem. —

ARCEZ.

O czemuż nim nie jestem! co widzę? to ona!
Siostra! a ję tu miłość prowadzi szalona!
Jakież imię jej nadam — powiedz Turgutanie;
Kochanki?... siostry?... odejdź. —

SCENA VI.

ARCEZ. EGEMA.

EGEMA.

W tak okropnym stanie,
Kiedy niebezpieczeństwo dłuższej zwłoki wzbrania,
Od drugiego z mym ojcem uwolń mnie spotkania.
Spieszmy! mienie, zaszczyty pozostawmy z niemi,
A nas słońce niech jutro nie ujrzy w tej ziemi. —
Znalazłszy Heremona przy Bardana boku
Straszną wróżbę w niepewnem wyczytałam oku;
A obudwu w gwałtownem widząc poruszeniu,
Zwolna się ku nim drząca przybliżam w milczeniu.
Wtem ojciec pomięszany spostrzegł mnie zdaleka,
Oto mąż twój, zawołał — słowa twego czeka; —
Pójdźcie, niech świętym węzłem połączę oboje...
(po chwili)
Lecz czyż się na to serce nie oburza twoje?
Miałożby co innego zająć ciebie w chwili,
Kiedy na zgubę naszę cały świat się sili?
Tyżbyś tak nagle miłość przytłumił wzajemną,
Lub jakę nową boleść ukrywał przedemną?...
Ty milczysz? obumarła bladość twarz powlekła; —
Co widzę, z twego oka gorżka łza wyciekła?
Powiedz...

ARCEZ.

Nie . . .

EGEMA.

Co Arcezie, mogęż sobie wierzyć?

I tyżbyś wraz z innemi chciał na mnie uderzyć?
Błagam cię — wyjaw szczerze...

ARCEZ.

Ach, porzuć tę trwogę...
Czyż w ciągłem udręczeniu spokojnym być mogę?

EGEMA.

Niechaj ci ulgę niesie i smutki łagodzi
Myśl, że nas obca ziemia z cierpień oswobodzi.
(opowiadając dalej).
Heremon stojąc ciągle w milczeniu głębokiem,
Zdał się na mnie spoglądać litościwem okiem. —
Ja bojąc się w tej burzy zająć pożar nowy,
Wybiegłam przerywając dalszy ciąg rozmowy.

SCENA VII.

CIŻ i RAZENA.

RAZENA.

Egemo!...

EGEMA.

Nie — napróżno mnie mój ojciec woła,
Żadna władza do ślubów skłonić mnie nie zdoła.

RAZENA.

Gdyś odeszła ostatnie wyrzekłszy wyrazy,
Powstał król i w milczeniu przeszedł kilka razy;
Wnet wybiegł, i polecił zwołać lud i pany,
A do ślubnych obrzędów zgromadzić kapłany.

EGEMA.

O Nieba! cóż ja słyszę — Arcezie, drżę cała. —

ARCEZ.

Egemo!...

EGEMA.

Gdzież ja jestem! krew we mnie zawrzała,

(do Razeny)

Powiedz dla kogo mają ten obrzęd gotować?

(do Arceza)

Ciebie stracić — i wiarę innemu ślubować! —
Nie —

(do Razeny)

Odejdź! —

SCENA VIII.

EGEMA. ARCEZ.

EGEMA.

Czyliż wiarą nazwie się niewiara?
O! już nieszczęścia mego przepełniona miara!
Na wszystko jestem głuchą i nic już nie widzę,
Zbrodnie mało uważam — i cnotą się brzydzę.
Wszystko znika zprzed oczu, widzę drogę inną,
Rozpacz jest duszą moją, żądzą dobroczynną;
Dziś cała ziemia dla mnie jest piekłem zajadłem,
Słońce ogniem piekielnym, a ludzie widziadłem.
Słuchaj — w nieszczęściu długo nie umiem wybierać;
Dla ciebiem się zrodziła, twoją chcę umierać.
Wolę z tobą noc piekieł, niż z nim jasność słońca; —
Bez końca z tobą konać, — niż z nim żyć bez końca.
Zabij mnie, niech mnie groby przed ołtarzem skryją,
Twoją tylko żyć pragnę lub umrzeć niczyją. —
Zabij mnie, a nie będziesz sławie mojej przeczyć,
Że śmierć tylko zdołała przysięgę zniweczyć.
Lub jeźli śluby nasze ma dochować ona, —
Nie czekaj, i przed ślubem zabij Heremona...
Co widzę? — wzrok zdziczały zaostrzyły oczy...
Idę, wnet się żelazo we krwi mojej broczy,
I losów przeciwnością bez przerwy dręczona,

Nieszczęśliwa Egema, u nóg twoich skona.
Bądź zdrów... ty milczysz?

ARCEZ.

Czekaj...

EGEMA.

Bądź zdrów.

ARCEZ.

Czekaj...

EGEMA.

Boże!
Kochający tak mało poświęcić się może!
Kiedy w brzmiennej burzy wzmaga się los srogi,
Dwie do szczęścia mojego pozostały drogi:
Lub w zbrodni szukać szczęścia, w samej zbrodni chluby,
Albo z grobem wiecznemi połączyć się śluby.

SCENA IX.

CIŻ I HEREMON.

ARCEZ *(na stronie)*.

Nieszczęśliwa! o Boże!!

HEREMON.

Unikasz mnie Pani?
Wzgarda niezasłużona serce moje rani.
Gdybyś wiedziała ile przy szlachetnej dumie
To serce nieszczęśliwych litować się umie,
Mimo umysł wyniosły, mimo serce harde,
Szacunkiembyś zapewne zastąpiła wzgardę.

EGEMA.

Co? ja mam tych szacunkiem nagradzać nikczemnie,
Co do celów swej dumy chcą dążyć przezemnie?

I za martwe narzędzie biorąc mnie bezkarnie
Wydzierają mi szczęście, wiodą na męczarnie?
Co mi resztę nadziei przytłumili skrycie,
Duszę moję zbłąkali i zatruli życie?
Nie, — pokąd duch ożywia siły osłabione,
Nie zgasną ognie zemsty w tem sercu zatlone.
Gdy już nagłym do grobu postępując krokiem,
Śmierć mi bladą zasłonę rozwinie nad okiem,
Jeszcze zemstą żywiona, konająca w męce,
Resztę władzy ust moich przekleństwu poświęcę!
(odchodzi).

SCENA X.

HEREMON. ARCEZ.

HEREMON.

Cóż ja słyszę? gdzież jestem? — bracie, wyznam śmiało,
Że nie tak mnie podobnych poważać przystało!
Umiem cenić litości godne położenie,
Ale nie mniej mój honor, jak jej cnoty cenię.
Wzgardę niezasłużoną niewiele uważam,
I częściej się lituję — niżeli obrażam. —

ARCEZ.

Heremonie, o przebacz jej serca boleści,
Bo granic i rozwagi nie zna żal niewieści.
Przebacz jej — wierz mi — ona w cnocie nieodrodna
Niemniej litości twojej, jak szacunku godna. —

HEREMON.

Tak bracie, choć sam tylko jej uczuciem rządzisz,
Więcej się jej lituję, niżeli ty sądzisz; —
I chociaż nazbyt może męska moja dusza
Niełatwo się na jęki i żale porusza,
Nie zabrało mi niebo tej ludzkiej zalety,
Bym nie umiał szanować słabości kobiety.

I gdy ja ostrzem tylko zwyciężam oręża,
Mnie łatwiej niźli oręż słaba łza zwycięża. —
Pragnąc więc i twojego i Egemy szczęścia,
Przychodzę do słodkiego pomódz wam zamęścia.
Po jej rozmowie z królem płynącej z zapałem,
Której w milczeniu ciągłem z boleścią słuchałem.
Silną uczuwszy w sercu i litość i trwogę,
Dłużej cierpieć waszego nieszczęścia nie mogę.
Chcę dług winny ojczyźnie wypłacić żelazem,
Zrzec się władzy, godności i Egemy razem.

ARCEZ.

O radości! — gdzież jestem? cóż tę zmianę sprawia?
Czy sam mówisz, czy Niebo przez ciebie przemawia?
Drogi bracie!... — tyranie!...

HEREMON.

Co mówisz szalony?

ARCEZ.

Jakiż cię duch zaklęty prowadził w te strony?
Uciekaj — i piekielnym przerażony krzykiem,
Coś wybluźnił przedemną nie powtórz przed nikim!

HEREMON.

Arcezie — cóż to wściekłe wzburzenie ma znaczyć?
Odpowiedz, jak mam sobie te słowa tłumaczyć?

ARCEZ *(zmięszany)*.

Przebacz bracie — i porzuć wspaniałość daremną.
Pokądże los niestały będzie walczyć zemną?
Więcej teraz niechęci niźli żalu czuję,
Cokolwiek raz straciłem więcej nie przyjmuję.
Jeszcze mi Niebo mocy zostawiło tyle,
Bym się poświęcił braciom, i spoczął w mogile.

HEREMON.

I mnie nie tyle jeszcze blask władzy przynęcił,
Bym dla waszego szczęścia mego nie poświęcił.

Bo — powiedz — czyliż mógłbym bez zgryzot sumienia
Widzieć niechęci żony i brata cierpienia?
Czemże dla mnie ta godność, kiedy z jednej strony
Cierpieć będę łzy brata, z drugiej jęki żony?
Nie — acz chwała zapala duszę moję skrycie,
Zdołam dla was poświęcić wszystko, nawet życie;
Niech oko twoje blaskiem szczęścia zajaśnieje,
I stroskanej Egemie przywróci nadzieję.
Pójdźmy.

ARCEZ.

Czekaj...

HEREMON.

Ty drżysz?

ARCEZ.

Nie; ten los niespodziany
Mocnem przejął wrażeniem umysł skołatany.

HEREMON.

Idźmy.

ARCEZ.

Dobrze; lecz pozwól — ja sam — nie — za chwilę —
Później — z zbytniej radości nie mam siły tyle...
Ale czegoż się lękam, pójdę z tobą wszędzie,
Lecz nigdy żoną moją Egema nie będzie;
Tak, nigdy bracie. O jakżeś szczęśliwy!
Więcej niżeli... bracie — przyjacielu tkliwy!
Podaj mi rękę twoję; acz cię wiele cenię,
Zamiaru mego nigdy — nigdy nie odmienię...
Ty spokojny wśród swoich, a wśród wrogów mężny,
Bądź szczęśliwy Egemą, zwierzchnictwem potężny;
Zostań królem, żegnam cię, wielbię cnoty twoje,
Ale się więcej ślubów, niźli śmierci boje!

(odchodzi).

SCENA XI.

HEREMON *(sam).*

Cóż to — onby się darem brata swego brzydził,
On, co ję tyle kochał, dziśby znienawidził?
Choć wzgardził mą ofiarą w niewczesnym zapale,
Zapominam co wyrzekł, i kocham go stale.
Tak jest; a kiedy głos mój był dla niego niemy,
Użyję ust wymownych drogiej mu Egemy;
Żołnierskie czyny innym zbogacę dziś czynem,
I zwycięstw tyle nowym ozdobię wawrzynem.

(odchodzi).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

Akt trzeci.

SCENA I.

ARCEZ, TURGUTAN.

ARCEZ.

Pójdź, patrzaj, czy ty widzisz serca mego ranę,
Widzisz te sine usta, to oko zbłąkane?
Stryju! powiedz, gdzież jestem, cóż się ze mną dzieje?
Grzmi niebo — piekło jęczy — i ziemia się chwieje...
Powiedz, czemuż tak prędko wszystko się zmieniło?
Wszędzie zimno, pochmurno; — a tak pięknie było!
Pocom cię przyprowadził? coś ci mówić chciałem,
Tak, chciałem coś powiedzieć... ale zapomniałem.

TURGUTAN.

Może Egema...

ARCEZ.

Nieba! wycierpiawszy tyle,
Zbłąkany umysł wszystkich zapomniał na chwilę;
Tak, chciałem ci powiedzieć, i żądać od ciebie,
Byś mi rady udzielił w tak nagłej potrzebie.
Ciebie tylko jednego posiadam na ziemi,
Przed którym się nie kryję z uczuciami memi;
Tyś się zajmował moim młodocianym wiekiem,
Tyś był wczoraj mym stryjem — dziś obcym człowiekiem!...

Powiedz, wiesz ty, że nowe nieszczęście mnie czeka,
Wiesz, że Heremon dla mnie tronu się wyrzeka?

TURGUTAN.

Co słyszę? Heremona niezachwiana dusza
Na cierpienia miłosne tyle się porusza?
On, w którego niezgięty umysł mój przelałem,
Który z zaszczytem rodu, z szlachetnym zapałem,
Zawsze męski i od tej słabości daleki,
Sławą swoją ostatnie chciał dopędzić wieki;
Który z dni niemowlęcych dostojeństwa czekał,
Dziśby dla żalu twego chwały się wyrzekał?

ARCEZ.

Tak jest, on się wyrzeka, wierz słowu mojemu,
I powiedz jak zaradzić ciosowi nowemu.
Kiedym przysiągł, że święcie dochowam ci wiary,
Z zaufania twojego nie zrobię ofiary.
Lecz powiedz, jakże cios ten odeprzeć; — nie zwlekaj,
We wszystkiem chcę cię słuchać; — mów!

TURGUTAN.

Synu, uciekaj!
Nie widzę drogi innej; nie czekając końca
Uchodź nim nas obudzi blask nowego słońca.
Skoro stróż czynów ludzkich — dzień jasny przeminie,
Po drżących cieniach nocy blade światło spłynie,
Unikając wyrzutów, lub okropnej zbrodni,
Idź za śladem na Niebie rozsianych pochodni;
Idź, gdzie cię zaprowadzi zbłąkana źrenica,
Dopokąd starczy ziemi i światła księżyca.
Statki Skotów odchodzą jutro, więc ty z niemi,
Przenieś twoje mieszkanie do szczęśliwszej ziemi.
Wśród obcych ludów lata przepędzając młode,
I występku unikniesz, i znajdziesz swobodę.
Ja, jakiekolwiek Nieba dostatki mi dały,
Oddam ci co dać mogę — mój majątek cały;

Gdy trzeba zbrodnię spełnić, lub przysięgę zdradzić,
Cóż ci może innego przyjaciel doradzić?

ARCEZ.

Turgutanie, tyż umiesz radzić tak okropnie!

TURGUTAN.

Czegoż niezgięty umysł i stałość nie dopnie?
O, wiem ile w tej chwili czuje serce twoje,
Lecz mniej się żalu twego niż występku boję.

ARCEZ.

Więc mówisz, mam uciekać w jaki kraj daleki,
I rozstać się z Egemą na wieki — na wieki! —
Niewidzieć ani ciebie, ani Heremona,
Nigdy was do czułego nie przycisnąć łona;
Od dzieciństwa pod jednem mieszkając sklepieniem,
Nigdy ojca tem słodkiem nie nazwać imieniem!
Gdyby po mym odjeździe, zdumiony tym czynem
Mógł wiedzieć, kiedy ja wiem — żem był jego synem, —
Gdyby przez zapomnienie omylić się zdołał,
Nim pójdę „synu“ na mnie raz jeden zawołał! —
Przyznaj, acz rada twoja konieczną się staje,
Ciężkiej sercu mojemu boleści przydaje.
O, gdyby można jeszcze drogi jakiej użyć,
By chociaż na dni kilka ten odjazd przedłużyć.
Tak słodko przeszły z wami życia mego chwile,
Żem mało do was mówił, choć mówię lat tyle. —
Widząc ciągle Egemę, sam siebie się wstydzę,
Zawsze mi się wydaje, że pierwszy raz widzę.
Lecz powiedz, gdy w kraj obcy przeniosę mieszkanie,
Czy mi jeszcze ta chociaż nadzieja zostanie,
Że po tylu cierpieniach, po długiej rozpaczy,
Arcez swoję Egemę przed śmiercią zobaczy?
Czy zobaczę ję kiedy? — nie, nadziei niema...

TURGUTAN.

Zapomniałeś kim jesteś, i kim jest Egema?

ARCEZ.

Siostra! — bądź zdrów...

TURGUTAN.

Stój!

ARCEZ.

Myśl ta serce moje truje.
Któż rozstając się wiecznie smutku nie uczuje?
Ja więc mogęż się oprzeć dręczącej żałości,
Kiedy ojca na zawsze opuszczam w starości,
Który, mimo że miłość uwiodła mnie płocha,
Kochając mnie lat tyle, nie wie kogo kocha;
Opuszczając was obu, gdy przez czas tak długi
Jeden był stryjem moim, a bratem był drugi?
O tak, to obłąkanie jest żałości skutkiem,
Smutek mój Turgutanie jest cnotliwym smutkiem.

TURGUTAN.

Tak Arcezie, ten język duszy twej rozumiem,
I więcej się litować niż pocieszać umiem;
Bo chociaż ów czas słodkiej swobody przemija,
Masz we mnie przyjaciela, i dawnego stryja.
Chociaż pod obcem niebem obierzesz siedlisko,
Serce i dusza moja będzie twojej blisko.
Teraz żalowi twemu tym łatwiej wybaczę,
Że mimo wiek sędziwy razem z tobą płaczę.
Słyszysz to serca bicie, widzisz te łez zdroje!
Pójdź — nieszczęsny, pójdź; zabierz wszystko co jest moje,
I pożegnaj mnie wiecznie.

ARCEZ.

Ha! stało się, Nieba!
Więc wszystkich was nazawsze opuścić potrzeba!
Stało się! los rodziny w twoje zwierzam dłonie,
Pamiętaj o Egemie i o Heremonie,

I do którego czucie wiązało mnie wieszcze,
Którego przecie ojcem nazwać nie śmiem jeszcze;
A jeźli w troskach wolna chwila ci zostanie,
I o twoim Alcynie wspomnij Turgutanie!
Żegnam cię już nazawsze — już tedy na ziemi
Nie zobaczę się z tobą — nie zobaczę z niemi!...

TURGUTAN.

Ty pocieszając starca nim odpocznie w grobie,
Przez jakiego wędrowca donieś mi o sobie.
I ulżyj mi przed śmiercią tą wieścią przyjemną,
Że jeszcze żyjesz książę, choć nie żyjesz zemną.

ARCEZ.

Nie nazywaj mnie księciem, nazwij mnie tułaczem,
Więcej los mój osłodzisz przyjacielskim płaczem.
Jeźli się dręczyć będziesz mojem przedsięwzięciem,
Płacz nademną człowiekiem, a nie nad książęciem;
Bądź zdrów.

TURGUTAN.

Bądź zdrów Arcezie.

ARCEZ.

Idźmy.

TURGUTAN.

Nieszczęśliwy!

ARCEZ.

Dwaj przyjaciele — siostra — i ojciec sędziwy!
(chcą odejść).

SCENA II.

CIŻ i EGEMA.

EGEMA (*z żalem*).

Wstrzymaj się. — Racz przebaczyć, jeźlim nazbyt śmiała
Niewieściem udręczeniem twe sprawy przerwała.

Wszak nie moja w tem wina, jeźli w całem życiu
Nic nie umiem przed tobą zachować w ukryciu.
I nie możesz odmówić mojemu życzeniu,
Bo sam mnie nauczyłeś tej ulgi w cierpieniu.
Przebacz, jeźli na chwilę twój pokój zamiesza
Blada twarz, której nic już — nic już nie pociesza.
Był wszakże czas szczęśliwy — były chwile błogie...
O, jakże to wspomnienie dla Egemy drogie?
Był czas, gdym się cieszyła miłością wzajemną,
Był czas kiedy Egema była ci przyjemną.
Lubiłeś do mnie mówić, mówiącej słuchałeś, —
Ja cię kocham Egemo, nieraz powiedziałeś,
I kochałeś zapewne; zbyt masz duszę tkliwą,
Abyś chciał, albo umiał łudzić nieszczęśliwą.
Ja chociaż gniew twój może na siebie obruszę,
Raz jeszcze że cię kocham, powiedzieć ci muszę. —
Tak Arcezie — i mimo serca twego zmianę
Kocham cię, i do śmierci kochać nie przestanę.
Jednak — jeżeli większe ciebie szczęście czeka
Od chwili, kiedy serce miłości się zrzeka;
Jeźli wyjaśnisz czoło okryte żałobą,
Litując się nadęmną, pocieszę się tobą;
Jeźli ci pokój wróci przerwane zamęście,
Rany serca mojego — twoje zgoi szczęście;
I będę odtąd Nieba błagać najgoręcej,
By ci szczęścia ta miłość nie zatruła więcej.
Lecz dla mnie nigdy Nieba nie bądą łaskawsze,
Nie Arcezie — ja ciebie kochać będę zawsze.
Lecz pocóż mam wynurzać niepotrzebne żale,
I czas może zbyt drogi zabierać zuchwale!
Choć dawniej każdeś moje cierpienie przeniknął,
Jużeś od tej rozkosznej litości odwyknął;
Już dziś próżnobym chciała wzruszyć serce twoje,
Dawniej się łez twych bałam, dziś się gniewu boję!
Lecz masz jeszcze sumienie i litości tyle,
Że już dla mnie poświęcisz tę ostatnią chwilę.
Tak — ostatnią — ostatnią, bo już niemoc blada

Bliski życia mojego koniec zapowiada.
Gdy nadzieja spoczynku cierpienia łagodzi,
Każde dawne wspomnienie słodką rzewność rodzi.
Miejsce to, mimo gniew twój — mimo wzrok surowy,
Z rzewnością nasze dawne wspomina rozmowy.
O nieba, jakże prędko te chwile minęły!
Czucie zgasło, a słowa w powietrzu zniknęły.
Może pamiętasz jeszcze, bo czas niedaleki,
Tu mi przysiągłeś wiarę dochować na wieki;
Tu, przyniosłeś pociechę sercu zbolałemu,
Tu, kilka kroków dalej — kilka godzin temu.
Lecz nie sądź, że mnie zawiść przyniosła tu krwawa,
Raz mi już przyznanego poszukiwać prawa;
Lub żem przyszła łez gorzkich wylewając zdroje,
Spytać twego sumienia, gdzie jest słowo twoje.
Nie; chciałam ci powiedzieć, że dobrze zrobiłeś...
Uwolnić cię od przysiąg, które sam zniszczyłeś,
I w oczach twoich łaski Przedwiecznego błagać,
Byś mógł tak łatwo troski jak miłość przemagać.
Nie trwoż się, abym kiedy żałośnemi głosy
O pomstę krzywdy mojej wzywała niebiosy.
Wierzaj mi, jeźli głos mój litość w nich obudzi,
Arcezie — będziesz odtąd najszczęśliwszym z ludzi.
Tak — i gdybym za twoję zdradę mścić się chciała,
W twem tylkobym sumieniu mściciela szukała.
Przebaczam sercu twemu, ty przebacz wzajemnie,
Że jeszcze dotąd jesteś kochany odemnie.
Temu, kto zguby wyrok ostatni usłyszy,
Jakaś dzika spokojność żalom towarzyszy;
I gdy umysł słabieje, i sił coraz zbywa,
Przesilone cierpienie do spoczynku wzywa.
Konając wzniosę modły, by niebo raczyło
Łaskawszem być dla ciebie, niźli dla mnie było...
Ty milczysz i czem innem zajęty głęboko,
Odwróciłeś odemnie skamieniałe oko; —
Głos twój ostygł — zmieniłeś postać twoję całą...

Tyż to jesteś Arcezie? cóż się z tobą stało!...
Ach, po cóż ja tu przyszłam!

(odchodzi).

SCENA III.

TURGUTAN. ARCEZ.

ARCEZ.

O rozpaczy wściekła!
Wszystkie się w sercu mojem zgromadziły piekła.
Jak ona się zmieniła! przy takiej zgryzocie
Po niezmienionej tylko poznałem ję cnocie.
Zamiast by zmienne serce albo duszę hardą
Odpłaciła zmiennością, zemstą albo wzgardą,
Przyszła mnie od słodkiego uwolnić zamęścia!
Zdradzie mojej przebaczyć, i życzyć mi szczęścia!
Egemo! czemuż raczej mściwa i szalona
Żelaza nie rzuciłaś do mojego łona? —
Przebaczyła, i poszła okryta żałobą
Błagać dla mnie o szczęście, a płakać nad sobą.
Jak ona się zmieniła! siostro nieszczęśliwa!

TURGUTAN.

Arcezie — próżne żale — czas nagły upływa;
Kiedy cię los za obce wprowadzi granice,
Niech się bez świadka łzami zaleją źrenice;
Tam ci życie powrócą łagodniejsze Nieba,
Tu nie czas — pójdź Arcezie — tu nagli potrzeba.

ARCEZ.

Tak, idźmy — im sumienniej umysł mój rozważa,
Tym więcej ta okropna cnota mnie przeraża.
Znam ja powinność moję, nie chcę zbrodni szerzyć,
Idźmy; nie pytam więcej, czy potrafię przeżyć.

SCENA IV.

CIŻ, BARDAN i HEREMON.

BARDAN.

Zatrzymaj się Arcezie, zbliż się Heremonie;
(*do Arceza*).
To obejmiesz ster rodu po Bardana zgonie.
Heremon przewidując twe męki zdaleka,
Dla szczęścia twego własnej chwały się wyrzeka,
Niechcąc być wrogiem tobie, a żonie tyranem,
Pragnie służyć ojczyźnie, nie będąc jej panem.
Uwieńcza waszę miłość, smutek wasz łagodzi,
I pierwszę wolę moję do skutku przywodzi.

HEREMON.

Tak bracie, szczęście wasze zbyt wysoko cenię;
Woli mojej nie cofnę, uczucia nie zmienię.
Dusza, którę szlachetne ognie ożywiały,
Chciała przydać znaczenie do nabytej chwały;
Lecz gdy przyszło waszemi okupić ję łzami,
Wznieść się waszym upadkiem, ogłosić jękami,
Zrzekam się praw nabytych; — Bóg nie błogosławi
Potędze, która serca niewinnych zakrwawi.
Niech ci, co marom szczęścia sprzedali sumienie,
Na krzywdach obcych własne budują wzniesienie.
Ja wystarczę sam sobie, — dość silny sam sobą,
Chcę sam być swoją chwałą, sam swoją ozdobą.

BARDAN.

Lecz ty milczysz Arcezie?

ARCEZ.

Ach przebacz mi panie
Widzę, że co dzień wzrasta twoje przywiązanie.
Wstydzę się, żem tak mało życia mego użył,
I wprzód mnie wynagradzasz, niżem ja zasłużył.

Czy to jest twoją chęcią, czy też wolą bratnią,
Niechaj pierwsza uchwała zostanie ostatnią.
Królu! — chciej mi przebaczyć, jeźli nie przyjmuję
Tego, co mi zaledwie litość ofiaruje.
(*do Heremona*).
Przyznaj, ile dziś uczuć twe serce zwalczyło;
Nie zrzekłbyś się wyboru, gdyby mnie nie było!
(*odchodzi*).

SCENA V.

BARDAN. TURGUTAN. HEREMON.

BARDAN.

Cóż znaczy... —

TURGUTAN.

Królu, z jakąż słyszałem rozkoszą
Te słowa żalu, które zaszczyt mu przynoszą.
Gdy pod powagą twoją działająca Rada,
W jego męstwie nietyle ufności pokłada;
I gdy nad syna twego utyskując zgonem,
Chce wypełnić tę stratę mężnym Heremonem,
Nie przyjmując zwierzchnictwa, każdy mu to przyzna,
Dowiódł, że żądzą jego jest droga ojczyzna.

BARDAN.

Wszak Rada ich niepewne rozwięzując losy,
Na dwie strony życzliwe podzieliła głosy.
Połowa poszła za tym, a za tamtym druga;
Lecz gdy rozejm wzmagała rozprawa zadługa,
Ażeby w zdań różności sprzeczka zbyt nie rosła,
Wola moja zwycięstwo na niego przeniosła,
Bo ty tego żądałeś, a ja zwykłem ciebie
W każdej ważnej dla kraju przyzywać potrzebie.
Ale dziś gdy Heremon pragnący ich szczęścia,
Od praw swych odstępuje, zrzeka się zamęścia;

Kiedy liczni rycerze zpośród radnych grona
Żądali bym zrzeczenie przyjął Heremona;
Gdy serce moje jakąś potajemną siłą,
Wyboru tego zdawna krajowi życzyło,
Gdy się wszystko na jednę przechyliło stronę,
Cóż przytoczyć możecie na waszę obronę?

TURGUTAN (*po chwili*).

Heremonie, czyż twoje serce już nie słucha
Tak niezgiętego dawniej, tak wzniosłego ducha?
Gdzież jest ów dawny rycerz, dumny, niestrwożony,
Co rządzić tylko pragnął, nie będąc rządzony?
Zapomniałżeś o sławie twojego imienia,
Które przetrwa odległe wnuków pokolenia?

HEREMON.

Tak ojcze, dumny jestem, ale i przy dumie
Umysł władać, a serce litować się umie.
Chociaż wzdycham do chwały i wielkości żądam,
Jednak na ludzi okiem Arceza spoglądam.
Lubię wprawdzie wśród szczęku wojenne rozprawy,
Lubię na polu chwały rycerskie zabawy,
Lecz poświęcenie moje sił moich nie złamie;
Zdołam mężne uzbroić dla ojczyzny ramię,
I tym chętniej pierś moje okuję żelazem,
By nią zasłonić naród i Arceza razem.
Wzgardy godzien, kto pragnie sławą przodków świecić,
Ja tych co po mnie przyjdą, chcę moją zaszczycić.
Przodkowie moi, którzy mieczem się wsławili,
Dosyć sami za siebie ojczyźnie służyli.
Niech patrzą, dla każdego ich dzieje otwarte;
Każdy z nich sam dla siebie zapełnił swę kartę,
Bo niezwykli, nie kończąc rozpoczętych czynów,
Niedopłacone długi odkładać na synów.
I ty wznosząc dla siebie pomnik okazały,
Od pradziadów rodzinnej nie pożyczasz chwały.
Naśladując te wielkie i czczone przykłady,
Pragnę wiernie wstępować w ich ubite ślady.

Wszyscy są uwielbienia, wszyscy cześci celem,
Żaden królem, a każdy był obywatelem.
Ja chcę, by mi cześć równą potomni oddali,
I częściej moje czyny, niż ród wspominali.

TURGUTAN.

Synu, naddziadów twoich synu nieodrodny,
Jakżeś ludowi temu przewodniczyć godny!
Czyż nie przeświadcza twoja dusza niezachwiana,
Żeś życie twoje pojął we krwi Turgutana?
Królu, może ja syna zbyt wysoko cenię,
Może to miłość własna, ojca oamienmie,
Jednak aby dochować narodowi wiary,
Za nim, za sprawą ludu, błaga żołnierz stary.
Serce me w tym wyborze drogą prawdy zmierza,
Nie żądam syna mego, lecz żądam rycerza.

BARDAN.

Dobrze więc; — nieład, bezrząd, w własnem wzniecić łonie,
Uzbrójcie przeciw sobie bratobójcze dłonie!...
Królu godny litości, Boże sprawiedliwy!
Takiejże wzgardy wiek mój doczekał sędziwy,
Natożeś mnie ukarał wczesnym syna zgonem,
By wszyscy pogardzili trudów tylu plonem?
Dwoch ich wzywam, a każdy w tak świętej potrzebie
I władzę i zaszczyty oddala od siebie.

SCENA VI.

CIŻ, EGEMA i ARCEZ.

EGEMA (*wprowadzając go*).

Pójdź, próżno się wyrywasz, ta dłoń skamieniała,
Ta dłoń dziewicza siły olbrzymiej nabrała.
Lub cię przed ołtarz moc jej zaprowadzi wściekła,
Lub jeźliś ty silniejszy, wciągnij mnie do piekła;

Drzysz, bo ziemia na której przysiągłeś mi wiarę,
Z grzbietów swych wiarołomną otrząsa poczwarę.
Pójdź — patrzaj — tu — tu — oczów nie podnoś do góry,
Bo tam świadka nie znajdziesz, zmieniły się chmury!

(bieże go za rękę).

Ale ziemia ta sama — postąp krok w tę stronę;
Tu, tuś stał, kiedyś wyrzekł te słowa zhańbione:
„Gdy cię zdradzę, niech ziemia zapadnie się zemną“!
Tu, słyszysz? tu — „niech ziemia zapadnie się zemną“!
Pamiętasz, czyś zapomniał? mów, Bóg cię ukarze;
Jeźli pamiętasz, chodźmy przed jego ołtarze!...
Jeźliś zapomniał, uderz o tę ziemię nogą,
Uderz, niech ci dotrzyma obietnicę srogą,
Uderz, niech się zapadnie na twoje wezwanie,
Leć na tej cząstce bryły w piekielne otchłanie;
Upomnij się o swoje, niechaj się zapadnie,
Niech leci, i niech złoży wiaromcę na dnie.
Lub raczej, obyś ciągle o spoczynek wołał,
Ciągle leciał, i nigdy dna dostać nie zdołał;
By ci powietrza brakło, żmij wpiło się krocie,
A duch mój jeszcze głębiej popychał cię w locie!

ARCEZ.

Dobrze Egemo, dobrze; — o, ty wielki Boże!
Ty wiesz wszystko, czyż Arcez cnotliwym być może?
Idź, niech zabyśnie światło weselnych pochodni;
Nie sądź, że już nie zdołam większej spełnić zbrodni.
Idźcie wszyscy — zgromadźcie wszystkie ludu stany,
I niech nam — nam — ślub dadzą święcone kapłany.

EGEMA.

Mężu! —

ARCEZ.

Mężu!...

TURGUTAN.

Arcezie!

BARDAN.

Synu, drogi synu!
Drzysz, jakbyś występnego obawiał się czynu?

ARCEZ.

Nie królu... nagła zmiana... chcę litości tyle,
Byście mnie zostawili samego na chwilę;
Przygotujcie...

SCENA VII.

ARCEZ, TURGUTAN.

TURGUTAN *(zatrzymuje się w głębi, i wraca).*

Co robisz? o chwilo straszliwa!
Czy cię zły duch pomięszał, szał jaki porywa?

ARCEZ.

Nie trwóż się, będzie dobrze....

TURGUTAN.

Nad brzegiem stanąłeś.
Powiedz, jakę w tej burzy drogę przedsięwziąłeś?
Jak chcesz działać, — mów!

ARCEZ.

Nie wiem...

TURGUTAN.

Chcesz się wiecznie zgubić?
Chcesz tajemnicę wykryć, czy siostrę zaślubić?

ARCEZ.

Nieba!

TURGUTAN.

Mów, jakiekolwiek masz czynić ofiary,
Ja naprzód poznać muszę te skryte zamiary.

ARCEZ.

Spiesz się, korzystaj z chwili, nikt cię nie zobaczy —
Ochroń hańby dla siebie, a dla mnie rozpaczy;
Zabij mnie — nie odwlekaj, zwłoki złóż w ustroni,
I zostaw miecz zbroczony w zastygniętej dłoni.
Kiedyś tyle męczarni w sercu mojem sprawił,
Kiedyś mi z młodu życie dla zbrodni zostawił,
Niech mnie ta sama ręka z piekieł oswobodzi,
A cnotliwe zabójstwo Niebo ci nagrodzi.
Jeźli Bóg dusze wasze ma karać za zbrodnie,
Litościwym uczynkiem okupisz je godnie.
Milczysz? — własne żelazo od mąk mnie ochroni,
I wierniejszem mi będzie w samobójczej dłoni.
Nie chcę żyć wiarołomnym, cierpień nie przeżyję,
I niewinną krwią moją wasze zbrodnie zmyję.
(odchodzi).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

Akt czwarty.

(Scena napełniona ludem i wojskowemi, czekającemi na Naczelnika pokolenia).

SCENA I.

TURGUTAN, HEREMON, BARDAN i EGEMA.

BARDAN (*wchodząc z Egemą*).

Dzięki Niebu, już wielkie skończyliśmy dzieło.
Utopmy w niepamięci wszystko co minęło,
Silni jednością, cnotą i odwagą zbrojni,
Pod nowym sterem żyjcie szczęśliwi, spokojni.
Domowego pokoju nikt wam nie zakłóci,
Młody wódz dawną wielkość plemieniowi wróci.
Lecz gdzież Arcez?

TURGUTAN (*zmięszany*).

Nie wiemy, może już w świątyni
Przygotowania jakie, może modły czyni.

BARDAN.

Idźmy.

SCENA II.

TURGUTAN *(sam)*.

Jakże mię srogie dręczą niepokoje,
Boże, rozjaśnij prawdą błędne oczy moje!
Alcynie, gdzież ty jesteś? o chwilo straszliwa! —
Jakież cię tajne miejsce przedemną ukrywa?
Miałżebyś, idąc teraz za rady mojemi,
Przenieść twoje mieszkanie do nieznanej ziemi,
I dać mi na pamiątkę w godzinie rozstania
Złorzeczące wyrazy w miejsce pożegnania?
Pogardzić wsparciem mojem, sam jeden, ubogi,
Żebrzącym wzrokiem w troskach szukać szczęścia drogi?
Miałbyś mnie znienawidzić, miałżebyś zarazem
Spełnić, coś przepowiedział okropnym wyrazem?
(klęka)
Wy sprawiedliwe Nieba, które go widzicie,
Jeżeliście mu dotąd zachowały życie,
Jeżeliście Bardana przewidując mękę,
Wstrzymały syna jego samobójczą rękę, —
Wy tę okropną burzę rozprószcie wszechwładnie,
A cała zemsta wasza niechaj na mnie spadnie!
Bo cóż znaczy dla starca, co resztę dni sączy,
Że o kilka dni później, albo wcześniej skończy?
Niech grom sprawiedliwości na tego uderzy,
Który wiedząc o zbrodni do zbrodni należy;
A niech ochroni młodość, której cała wina
Że drogę życia swego nieszczęściem zaczyna.

SCENA III.

TURGUTAN, ARCEZ.

TURGUTAN.

Książe, ty żyjesz; jakęż radość we mnie rodzi...

ARCEZ (*wynędzniony*).

Niechaj cię życie moje więcej nie obchodzi;
Nigdy ja tej niknącej gwiazdy nie ceniłem,
A dla przetrwania nieszczęść dosyć długo żyłem.
Gdzie mój ojciec? gdzie siostra? chcę po raz ostatni
Zaspokoić ten zapał synowski i bratni.
Kiedy już droga dla mnie zbliżyła się chwila,
W której do życzeń moich Niebo się przychyla,
I zwracając odemnie blask dziennych promieni —
Zbrodnię na cnotę, piekło na Niebo przemieni: —
Niech błogosławiąc mękom trawiącym przy zgonie,
Skonam przy boku siostry i na ojca łonie.
Niewinności zdradzieckim nie napadłszy gromem.
Ani czoła ohydnym nie splamiwszy sromem.
Sumienie mając wolne, i duszę bez skazy,
Niech przed śmiercią te słodkie usłyszę wyrazy...

TURGUTAN.

Może o wsparcie Nieba nie napróżno wołasz,
Ale ostatniej cnoty wydrzeć mi nie zdołasz;
Sam odkryję...

(*odchodzi*).

SCENA IV.

ARCEZ (*sam*).

Wstrzymaj się! — odszedł — już się stało;
Żyjesz zemną lat tyle, a znasz mnie tak mało.
Jażbym dla ulgi cierpień w znikającem życiu
Wyjawił, co przysiągłem zachować w ukryciu?
Nie, — chociażbym rad zerwał okropne kajdany,
Nieznanym żyjąc dotąd, zakończę nieznany.

SCENA V.

ARCEZ, EGEMA.

EGEMA.

Gdyś umiał czarną duszę zataić układnie,
Powróć mi moje serce, któreś wydarł zdradnie;

Powróć mi dawny pokój i dawną swobodę,
I w szczęściu upłynione moje lata młode.

ARCEZ.

Ja nieszczęśliwy jestem! — czego żądasz? Boże!
Uwolnij...

(chce odejść).

EGEMA *(biorąc go za rękę).*

Stój! nie pójdziesz — litość nie pomoże.
Chcesz się uwolnić teraz — uwolnić odemnie,
Uwolnić się od serca, któreś zwiódł nikczemnie?
Dobrze, wnet cię uwolnię, ale dokaż cudu,
Bym cię kochać przestała. Głos późnego ludu
Za mnie będzie na ciebie miotał złorzeczenia,
I bez zgrozy twojego nie wspomni imienia.
Stój, i nim nową karę ściągnie zbrodnia nowa,
Ja cierpię twoje czyny, ty cierp moje słowa.
Uwolnię cię nazawsze, jużem powiedziała,
Ale wprzód dokaż cudu, bym kochać przestała.

ARCEZ.

O, gdybyś ty znać mogła tę walkę tajemną...
Nie miotaj na mnie przekleństw, miej litość nademną!
Ja nieszczęśliwy jestem; uczuj moje rany,
Godniej ceń moję duszę, mój los opłakany.
Wierzaj mi — nie chciej związku, który w krótkiej dobie
Stałby się zbrodnią dla mnie a ciężarem tobie.
Zatrujesz twoje życie, i w ciągłej zgryzocie
Napróżno ulgi cierpień szukać będziesz w cnocie.
Nie znajdziesz odpoczynku; jakaś moc ukryta
Codziennie ciebie nową zgryzotą przywita.
Ciągle cię będą tajne dręczyć niepokoje;
Wśród czarnych myśli spłyną młode lata twoje.
W dzień będzie cię ścigało ranione sumienie,
W nocy sen ci odbiorą twoich ojców cienie.
Ale napróżno zechcesz docieknąć przyczyny,
Nie znajdziesz, ktoby twoje objawił ci winy.

A kiedy cię przygnębi piekieł siła cała,
Żałować potem będziesz, żeś słuchać nie chciała.
Lecz zapóźno Egemo. — Egemo, na Boga!
Niech utkwi w sercu twojem ta straszna przestroga.
Ach, nie sądź, że ja zdrajcą z niecnoty zostałem,
O więcej mnie nie pytaj; — nadto powiedziałem.
Wszystko się skończy; piekło dobroczynną siłą
Od potrzeby mówienia już mnie uwolniło.
Chciałem głos twój usłyszyć, słyszyć muszę jęki.
Lecz w krótce męka przerwie okropniejsze męki.

EGEMA.

Rozumiem — ostatniego środka się chwyciłeś,
I pierwszę wolę Rady za powód użyłeś.
Chcesz teraz wmówić we mnie, że kraju nieszczęście
Będzie mi wyrzucało niegodne zamęźcie.
Dobrze, bądź więc szczęśliwy; niech i kraj nim będzie,
Niech godniejszy od ciebie zwierzchnictwo posiędzie;
Lecz ty sam będziesz mojej pociechy zadatkiem,
Sam będziesz cierpień moich, mojej śmierci świadkiem.
Dręczony wyrzutami, pokryty żałobą,
Pogrzeb twej narzeczonej przyozdobisz sobą

ARCEZ.

Nie trwóż się! Niebo w swoich wyrokach nie błądzi;
Bóg lepiej życie moje, niźli ty osądzi.
Już się twą pogrzebową nie zajmę posługą,
Już się z mąk życia mego nie pocieszysz długo.
Bóg mi słowa dotrzyma, wkrótce śmierć przychyli...
Przebaczam złorzeczeniom! mów, — korzystaj z chwili, —
Są to ostatnie słowa...

SCENA VI.

CIŻ. BARDAN. TURGUTAN. HEREMON.

BARDAN (*wchodząc*).

Już wiem co się stało,
Już mi to moje serce dawno powiedziało.
Synu mój, drogi synu! czemuż wiek sędziwy
Silniej cię nie uściska synu nieszczęśliwy!

ARCEZ.

Ojcze!!

BARDAN.

Egemo, on jest twoim bratem!

EGEMA (*uradowana przez zapomnienie*).

Drogi!

BARDAN.

Synu!

ARCEZ (*padając ojcu do nóg*).

Ojcze!

EGEMA (*wyszedłszy z zapomnienia*).

Bratem!...

ARCEZ (*u nóg ojca*).

Niech uścisnę twe nogi!

EGEMA.

Bratem?

BARDAN.

Tak, Arcez umarł, a w nim Alcyn żyje; —
Turgutan mi wyjawił. —

EGEMA.

Nieba! gdzież się skryję?

ARCEZ.

Dusza moja ożyła tak nagłą przemianą,
Egemo, teraz mogę nazwać cię kochaną.
Cnotę mi teraz przyznasz, mnie będzie dość na tem,
Przeklinałaś kochanka, pojednaj się z bratem.
Uściskaj mnie Egemo, płacz nad nieszczęśliwym;
Patrz! występny kochanek jest bratem cnotliwym.

EGEMA.

Gdzież ja jestem? co słyszę? cóż się ze mną dzieje?
Sama nie wiem co czynię, i drzę i truchleję?...
Ach, któżby był powiedział, że jedno zamęście
Tak okropne na wszystkich sprowadzi nieszczęście!
I że słaba kobieta przez tak krótkie chwile,
Tyle zbrodni sprowadzi i nieszczęścia tyle!
Patrzcie, dokąd los ludzi prześladować zdoła!

ARCEZ.

Wkrótce po przebaczenie niebo nas przywoła.
Stało się; już się stało, już czas niedaleki,
W którym Bóg do spoczynku wezwie mnie na wieki.
Już żar ogni piekielnych w wnętrzu mojem czuję;
Już mi głowę rozpala — krew w żyłach tamuje...
Mgła przed okiem — głos ginie — zawrot i ból srogi.
Trucizna...

EGEMA.

Ach!

TURGUTAN.

Co!

BARDAN.

Synu!

HEREMON.

Przyjacielu drogi!

EGEMA.

O nieba, tyle zbropni miłość zgromadziła!

ARCEZ.

Siostro! przestań —

BARDAN.

Synu mój!

ARCEZ.

Synu!! zkąd ta siła?
Cóż zrówna mej radości — o boskie odkrycie!
Gdzież jest Bóg, co mi lepiej wynagrodzi życie?
Turgutanie, w męczarniach błogosławię tobie,
Że mi ojca powracasz choć przy samym grobie.
Siostro, przybliż się ku mnie, i podziel żal bratni.
Ojcze, daj rękę po raz pierwszy i ostatni.
Żegnam was już nazawsze; żyj każdy cnotliwym...
Niekiedy przypomnijcie o mnie nieszczęśliwym...
Boże! ogień śmiertelny wnętrzności pożera...
Ojcze ty wiesz — żem synem! — patrz, syn twój umiera...
(chwieje się, upada i kona).

EGEMA.

Gdy mi Bóg nie dopuścił żyć występną żoną,
Siostra pójdzie za bratem na wieczności łono.
(wyrywa oręż Arceza i chce się nim przebić, król jej wytrąca).

BARDAN.

A ojca chcesz opuścić?

EGEMA.

Ojcze!

HEREMON.

Cóż zrobiłem!

BARDAN (*do Heremona*).

Bądź królem.

HEREMON.

Jakże drogo los ten okupiłem!

KONIEC.

VII.

KILKA ARTYKUŁÒW.

Z PISM CZASOWYCH.

Zawiedzione oczekiwania po r. 1848 rozdzieliły stanowczo społeczność naszę na dwa obozy. Jeden z nich nawoływał do prac społecznych, nie pojmując siły bez materyi; — drugi z klątwą na ustach na tak zwany materyalizm, widział jedyne zbawienie w rajskiej krainie ułudy. W tym składzie rzeczy napisanym był następujący artykuł:

W chwili, kiedy przemysł bądź rzetelny, bądź zwichnięty, rozwija życie i ruch, jakich nie doświadczyły nigdy jeszcze znane nam dzieje świata; kiedy ta rozpościerająca się dążność, daje się już czuć w kraju naszym; — ważnem nader jest zadanie oswajać się wzajemnie z prawami, którym ten ruch ulega, i na których się to życie opiera. W krajach bogatych dążność podobna obudza ruch rzeczywisty; przedsiębiorstwa się mnożą, ponawiają nowe pomysły ludzie i zasoby idą na wyścigi, a ich siły zdają się rosnąć przez wyczerpanie. W krajach ubogich w zasoby i znajomość praw rządzących niemi, bo te dwie potęgi ludzkie nigdy nie postępują oddzielnie, w krajach ubogich, ruchowi temu towarzyszą cierpienia i niemoc; w nich z łatwością dopatrujemy bezpośrednie przyczyny złego, a utyskiwania na brak kapitałów i kredytu, odsłaniają słabą towarzystwa stronę. Samo narzekanie może pozostać bez skutku, może nie być ani pomocnem, ani szkodliwem; ale przedsiębranie środków zaradczych wymaga już umiejętnej znajomości rzeczy, bez czego łatwiej szkodliwem, niżeli pomocnem być może.

Co jest kapitałem? i co jest kredytem? Oto dwa

wielkie pytania, na które odpowiedzieć nie jest łatwą rzeczą, lubo nikt się nie waha stanowczo o nich wyrokować; pytania, których rozwiązaniu, pierwsi publicyści Europy poświęcili rozległe prace, a o których w artykule dziennika zaledwie napomknąć można.

Kapitałem, a właściwie *zasobem społecznym*, jest nagromadzenie skutków użytecznej a niespożytej pracy ludzkiej, w jakiejkolwiek ona utkwiła materyi: w ziemi, budowli, narządach lub kruszczu wydobytym z ziemi. Kapitały czyli zasoby, są przeto dziełem pracy, kierowanej pewnem wykształceniem; a warunkiem ich tworzenia się jest oszczędzanie, to jest przewyżka pracy nad spotrzebowanie. W krajach dzikich nie ma zasobów. Zasobem krajowym jest zbiór zasobów prywatnych, zatem zbiór mienia pojedyńczych obywateli i nic innego być nim nie może.

Cóż tedy jest kredytem? Kredytem w najściślejszem znaczeniu wyrazu, jest otrzymane przyzwolenie użycia kapitału cudzego; — kredytem dalej rozwiniętym, jest użycie kapitałów spodziewanych, a nie istniejących jeszcze. Do pierwszego należą pożyczki zabezpieczone na innych wartościach; drugi opiera się głównie na dobrej wierze, zdolnościach i porządku zapożyczającego; tamten nigdy nadużytym być nie może; ten w chwilach szału podobnych obecnej, przeradza się w namiętność i grę, prowadzi do klęsk pojedynczych i publicznych.

Z powyższych dwoch określeń wynika, że jak nie jest w mocy niczyjej stworzyć kapitał sztuczny, obudzić powstanie jego na innej drodze, jak na drodze pracy i oszczędności wspartych wykształceniem; tak nie jest w mocy niczyjej stworzyć kredyt istniejący sam w sobie, kredyt, że tak powiem, wiszący w powietrzu, zatem nieoparty na tem, co już istnieje rzeczywiście. Kredyt jest długiem; dług i kredyt są zruchomieniem części posiadanego mienia, są sprzedażą z prawem odkupu części posiadłości, praw, dochodów, a niekiedy nadziei; — a jak nie można sprzedawać tego, co nie istnieje, tak nie można tworzyć kredytu, nie dawszy mu wprzód materyalnej podstawy.

Od tych ogólnych twierdzeń, obchodzących społeczność wziętą zbiorowo, przyjdziemy do szczegółów, obchodzących więcej pojedyncze osoby. Jak kapitał, tak opierający się na nim kredyt, jest dwojaki: uwięziony i ruchomy; — do pierwszego należy głównie ziemia, drugi rozwija się przeważnie w handlu sklepowym Zabezpieczeniem kredytu przy tamtym jest hipoteka, przy tym weksel; — hipoteka łagodna dla dłużnika, bo potężna w gwarancyi; weksel ulegający sądom doraźnym i przymusom osobistym, bo polegający więcej na osobie niż na rzeczy. Kredyt, dług, kapitał obcy w handlu, może nie być żadnym obciążeniem dla dłużnika; on może wynosić połowę, trzy czwarte, a nawet całość kapitału obrotowego, to jest handlujący może nie mieć nic własnego, a przecież pracować korzystnie i być rzetelnym. Kredyt, dług, kapitał obcy w ziemi, jest boleśnym ciężarem, jest rzeczywistem wywłaszczeniem części mienia; on nie może przechodzić pewnej miary, bo po za tą granicą, stoi utrata własności. Pojętoż zawsze tę ogromną różnicę między właściwością kapitału uwięzionego a ruchomego? — wołając o kredyt ziemski, o łatwość obciążenia ziemi, — wołamy o wywłaszczenie się z niej częściowe, prowadzące ostatecznie do wywłaszczenia zupełnego. I inaczej być nie może; w handlu kapitał obcy włożony w towar, powraca cały, — powraca w krótkim czasie, przynosząc użytkowy narost, którego część pozostaje w ręku kupca, część powraca z kapitałem do wierzyciela; kapitał włożony w ziemię, tonie w niej na zawsze: porznięte rowy, wystawione budowle, młyny, groble, a nawet same zwierzęta robocze nie przejdą bezpośrednio już nigdy w kapitał obrotowy.

Rolnik spotyka się tylko z kapitałem, gdy go zapożycza; on go znikąd nie dostanie, by go zwrócić! Jakże głęboko rozmyślać, jakże dokładnie obliczyć się powinien ten, kto samym dochodem z ziemi ma spłacać dochód kapitału i kapitał: dochodem niższym dochód wyższy; czteroma od sta: pięć lub sześć od sta; dochodem niestałym dochód pewny, dochodem ulegającym wpływowi atmosfery

i licznym klęskom, dochód i kapitał głuchy na pomory, nieurodzaje, grady i zalewy. Zaprawdy pierwszy dług na ziemi, to pierwszy krok do jej utraty; otwarcie rozległego kredytu dla ziemi jest to puszczenie ziemi w obieg, obieg korzystny dla towarzystwa w ogólności, bo przenoszący ję w ręce zamożniejsze, może więcej gospodarcze, może w ręce kierowane wyższem wykształceniem, ale w ręce trzecie, przeobrażające postać kraju.

Właściciel obciążony już długiem, lub nie posiadający kapitałów ruchomych, bez których nie ma rolnictwa, może zbyć część, połowę, dwie trzecie mienia kłopotliwego i być bogatszym na pozostałości rzeczywistej, niż był na całości pozornej. Są ludzie, którzy nie mogąc złudzić innych, łudzą ostatecznie samych siebie, ale smutne złudzenia tego byłyby następstwa, gdyby ogromna większość, oględna i rzetelnie wykształcona, nie pojmowała zdrowo, że jak prywatny wydający więcej niż ma dochodu, narusza mienie główne, tak naród kupujący więcej z zagraniey, niż jej sprzedaje, obciąża tą przewyżką mienie krajowe: bo nikt nic nie dostaje darmo, — bo każdy szczegół wzięty z zagranicy, innym szczegółem pokryty być musi, — że zatem naród taki wywłaszcza się zwolna i stopniowo drogą kredytu, nie dostrzegając funkcyi wywłaszczenia, — że z kraju takiego wychodzą naprzód kruszce, dalej weksle, listy zastawne, wreszcie zapisy hipoteczne, — że z kraju takiego wychodzi kredyt krajowy, część zruchomiona ziemi, zatem wychodzi ziemia krajowa, jak to starałem się rozwinąć w pracach moich; — gdy ta oderwać się nie może, ludzie ruchomi przybywają do niej, a przez nich ostatecznie równoważy się bilans społeczny; oni sobą wypełniają to, co weszło więcej niż wyszło. Mamże twierdzenie to poprzeć przykładem kraiku, który przed oczami naszemi przechodził te stadya, i w ciągu lat ośmiu, połową ziemi pokrył długoletnie nadwyżki, skutki przesadzonego i może rozmyślnie nasuniętego kredytu.

Romantycy, idealiści, trubadury! — wy co chcecie obudzić w nas obrzydzenie do wszystkiego, co jest materyą, wy coście może w życiu waszem nie poświęcili jednego

miesiąca pracy wyższej, mozolnym studyom rzeczy społecznych; — trzymajcie się granic, któreście sobie sami zakreślili, a których przestrzegać powinno obywatelskie sumienie! Pomnijcie, że warunkiem ziemskiego istnienia ludzi i ludów jest materya; że myśl oderwana i oderwane uczucie nie należą już do świata tego; pozwólcie nam istnieć ciałem, jeżeli nie chcecie, by was posądzono kiedyś, żeście byli nasadzeni na zagładę współbraci. („Świt“ z r. 1857.)

W skutek ukonstytuowania się państwa Austryackiego otrzymała też Galicya prawo reprezentacyi krajowej.

Na zgromadzeniach przedwyborczych pełnych ruchu, jeżeli kiedy — to tem bardziej na tych, które były pierwsze, — dały się słyszeć zdania najróżnorodniejsze.

W zamiarze sprowadzenia tychże do granic należytych, napisany był artykuł następujący:

Na wczorajszem wieczornem zgromadzeniu wyborców w sali ratuszowej, przyszło znów do wyznania wiary kandydatów. Mowca, pan Ziemiałkowski oświadczył, że popierać będzie na sejmie przedewszystkiem następujące szczegóły: szkoły ludowe, samorząd gminy, zniesienie służebnictw, przez które zdaniem mowcy, dawne poddańswo przeciąga się dotąd; dalej szczodrzejsze uposażenie duchowieństwa słowiańskiego; wreszcie zupełne i najrozciąglejsze zrównanie praw cywilnych i politycznych dla starozakonnych.

Niema już może między nami nikogo, ktoby nie podzielał życzeń mowcy, nie czuł ważności podobnych ulepszeń i nie pragnął ich urzeczywistnienia; a sądząc ze stopniowania oklasków, któremi przerywano mowę, ostatni z tych szczegółów, najwięcej znalazł współczucia.

Pojmuję, że cztery pierwsze punkta poparte były jednomyślnie przez słuchaczy, bo tylko złe chęci dla kraju, lub zupełne niezrozumienie warunków pomyślności powszechnej, mogłyby się na nie niezgodzić. Co do ostatniego, zdaniem mojem, byłoby jeszcze wiele do powiedzenia. Jako

jeden z członków komitetu, chciałem w tym przedmiocie prosić o głos; lecz zapał powszechny był tak wielkim, że lada uwaga mogła była wywołać nieporozumienie i wrzawę. Wstrzymawszy się od mówienia w gronie komitetu, niech mi wolno będzie odezwać się do czytelników waszych, bo czytaniu towarzyszy zimniejsza rozwaga.

Wiadomą jest rzeczą, jak strasznym prześladowaniom ulegali żydzi w całej Europie wychodzącej z zamieszania, w które ję wtrącił upadek dwoch państw starożytnych. Zdawało się, że dla nich nie było zakąta na ziemi. Kiedy w Hiszpanii palono niewinnych, „jako najmilszą Bogu ofiarę"; — we Francyi zakopywano żywcem „oparszywiałych" jako „czarowników"; — w Anglii obdzierano ich ze wszystkiego na pokrycie kosztów wojen krzyżowych; gdy w Niemczech uwalniali cesarze całą szlachtę od płacenia żydom ich należytości; gdy we Włoszech musieli stawać co sobota przed biskupami dla słuchania katechizmu, i po każdej sentencyi odpowiadać ze skruchą „amen"; — w tych chwilach, których dziś dość nawet pojąć nie umiemy, dwa tylko były kraje, gdzie męczennicy ówcześni chronić się mogli. Krajami temi były Holandya i Polska: — Holandya powstająca ze zbiegów całego świata na bagnach niezaludnionych, które wprzód osuszyć trzeba było, i Polska, która urządzeniami swojemi prześcignęła wiele innych narodów; — Holandya przyjmująca w łono swoje każdego, kto chciał pracować, — i Polska przyjmująca każdego, kto był prześladowanym i nieszczęśliwym. W Holandyi, skutkiem późniejszych wypadków, żydzi przeszli w ogólności na chrześcian; w Polsce, gdzie wygnani zewsząd Aryanie odbywali jawnie swój obrządek, i gdzie Socyan skazany wszędzie na śmierć, znalazł bezpieczne schronienie, żydzi pozostali żydami; bo ich przeszłość, ich religia, i idące za nią moralne usposobienie, oddzielały ich wszędzie i zawsze od miejscowej ludności.

We Francyi za Filipa Augusta trzy czwarte Paryża były w ręku żydów, dziś jest ośmiu na tysiąc ludzi. Zaczem gdy jest mowa o żydach, Francyi także za przykład brać

nie możemy. Nie stosując przeto do nas tego, co się stało gdzieindziej pod ciężeniem zupełnie różnych okoliczności, poddaję głośno pod rozstrzygnienie publicystów naszych nasstępujące uwagi.

Powiadają: wprzód trzeba żydów oswobodzić, a potem żądać od nich, by się stali narodowemi. W jednym z artykułów moich („Kółko rodzinne“ Nr. 7.), mówiąc o potrzebie kształcenia ludu powiedzialem, że aby go uzdolnić do praw obywatelskich, należy go wprzód oswobodzić; bo nikt się nie nauczy jeździć konno, pokąd nie wsiądzie na konia. Porównanie to, przenosząc jeżdżenie konno do pływania, zastosowano dnia wczorajszego do żydów. Pozwalam sobie twierdzić, że je zastosowano niewłaściwie. Chłopi nasi są ludem rodzimym, osiadłym na tej ziemi od wieka; ich językiem jest język krajowy, oni są wreszcie rzeczywistym narodem, bo bez nich nie byłoby narodu. Inne jest zadanie w polityce podnieść do godności obywatelskiej krajowców opóźnionych, a inne uczynić ludźmi *narodowemi* przybyszów, którzy się do obowiązku tego nie poczuwają.

Obok ojczystej ziemi, język jest najdroższym skarbem, i najświętszą spuścizną pradziadów. Jeden z Izraelitów wmówił w słuchaczów, że obojętną jest rzeczą, jakim kto tlumaczy się językiem, byle miał w sercu narodowe uczucia. Zaprawdę, twierdzenie to jest polityczną zagadką. Przypuśćmy, że język niemiecki stał się już dla nas wszystkich naszym domowym językiem, — któżby nawet z pomiędzy nas samych, śmiał jeszcze wówczas twierdzić, że mimo to pozostaliśmy zawsze Polakami? Język nie jest zewnętrzną formą, ani nawet samym tylko środkiem porozumienia z innemi; język ust, jest językiem duszy. Człowiek pozostawiony sam sobie, rozmawia sam z sobą myślą; — język w którym myśli i czuje, jest językiem jego duszy i serca; dlatego też język jest głównym narodowości warunkiem i znamieniem.

Gdy Niemcy osiedli w kraju naszym starają się, z małemi wyjątkami, przyswoić sobie język krajowy; gdy ich synowie stają się niekiedy gorętszemi od nas Polakami,

żydzi żyjący między nami od tylu wieków, nie poczuwają się do obowiązku tego; w ich szkole dla młodzieży, język polski jest tylko ubocznym i przez rząd nakazanym przedmiotem, w ich świątyni *postępowej*, postąpił tylko język niemiecki, i jeszcze język niemiecki oczyszczony stał się, z małemi wyjątkami, językiem domowym rodzin zamożniejszych. Na tejże to drodze żydzi się stają ludźmi narodowemi?

Narodowość każda, a nasza więcej niż inna niezależna, utrzymuje się tylko pracą, poświęceniem, zamiłowaniem. Gdzie tych cnót niema, gdzie starsze pokolenie nie chce widzieć potrzeby przygotowania w młodszem uczuć narodowych, tam interes materyalny jest i pozostanie jedynem bożyszczem. Jak matka kocha dziecię swoje dlatego głównie, że ono powstało z niej samej i jej cierpieniem, tak narodowość spaja nierozerwanym węzłem tych tylko, którzy poświęceniem, życiem domowem codziennem, a nawet choćby tylko pragnieniem samem i cichemi modłami przyczynili się do jej przechowania.

Nie sięgając już odległej przeszłości, spojrzyjmy na to, co się dzieje lub działo przed oczami naszemi. Żydzi pruscy porównani bezwarunkowo z innemi kraju mieszkańcami, przeszli Prusaków w zaciętości ścigania żywiołu polskiego. Przy rozliczaniu dwoch narodowości w Poznańskiem po roku 1848 wpisali się wszyscy w listę Niemców, a tym postępkiem przeważyli szalę na stronę antynarodową.

Powstańcy polscy chwytani przez władze tamtejsze, doznali od nich wszelkiego poniżenia; prowadzonych przez ulice, obrzucali kamieniami, pluli im w oczy, bili laskami po rękach w tyle skrępowanych, itp. — Żydzi galicyjscy po r. 1848 stali nazewnątrz życia politycznego, a w życiu społecznem poślednie tylko zajmowali miejsce. Z pierwszym dniem ruchu, Polacy powitali ich braćmi jednej matki; wezwali do uczestnictwa tych samych praw, ale i tych samych trudów. Żydzi przyjęli pierwsze, do drugiego nie poczuli obowiązku, a nie poczuli go dla tego właśnie, że tamto przyszło gotowe. Oni stanęli po stronie, gdzie jest siła.

Rok 1848 przeobraził u nas zamożniejsze rodziny

żydowskie; poprzyjmowały one imiona łacińskiego kalendarza i ubiory niemieckie, które dotąd rzadkiem były zjawiskiem; ich brudne domy stały się salonami, ich żony i córki olśniły ulice miasta kosztowną toaletą, a język niemiecki i francuski wygnały z pomiędzy nich stanowczo żydowski i polski.

Nikt mnie nie posądzi, aby to com powiedział o żydach naszych, nie dopuszczało żadnych wyjątków. Znam osobiście dwoch, może gorętszych odemnie Polaków. Miło mi jest nazwać ich publicznie przyjaciołmi mojemi.

Będąc członkiem komitetu wyborczego, gdzie przeważna większość objawiła odmienne widzenie, sądziłem być obowiązkiem moim, wyspowiadać się publicznie z mojego; a chcąc według przekonania mego, które wszakże mylnem być może, stanąć czysty przed sądem bożym, nie mogę mieć udziału w czynnościach, których zadaniem być się zdaje, z jednej strony ścigać tych, co się poważyli przyjść na świat z rodzin historycznych, z drugiej oddać staropolską ojczyznę moję, w ręce tych, którzy stawiają „wolność“ przed „narodowością“.

Mamże wypowiedzieć ostatnie słowo? Panowie! postawcie rząd narodowy, (jeźli możecie!), a wówczas powiemy wam: „idźcie w imię boże z wolnością waszą na czele! — a powiemy wam to bez ogródki; bo narodowość stanąwszy u władzy, stanie już *de facto* na pierwszem miejscu. Dziś jedno z dwojga: albo wolność narodowa, albo narodowość dowolna. („Głos“ z dnia 24. marca 1861 Nr. 70).

Artykuł powyższy wywołał dwie repliki.
Oto odpowiedź Supińskiego:

Artykuł mój umieszczony w Nr. 70. „Głosu“ wywołał dwie odpowiedzi: Redakcyi „Przeglądu“ i p. M. D., izraelity. Na pierwszę nie odpowiedziałem, i nie dlatego że mi wskazano miejsce, gdzie mam odpowiedź moję przesłać, bo to mogło mnie nieobowiązywać; nie dlatego także bym

lekceważył zdanie „Przeglądu“; — lecz dlatego, że „Przegląd“ w odpowiedzi swojej wszedł już na innę drogę. Gdy z dwoch braci i współwłaścicieli pewnego kawałka ziemi, jeden chce na nim wystawić dom rodzinny, drugi założyć ogród publiczny, trudno przypuścić, by bracia ci porozumieli się co do środków, kiedy tak różne zamierzają cele. Przegląd chce przedewszystkiem wolności dla rodu ludzkiego; my pragniemy przede wszystkiem pozostać narodem. Prócz tego, nacóżby się przydały rozumowania moje, których *cechą* jest „brak loiki“.

Pan M. D. powiedział w artykule swoim wiele rzeczy prawdziwych, jak n. p. o stanie średnim i ślubach. Czytamy tam także na wstępie, że ktokolwiek pełni obowiązki obywatela względem ogółu, musi być w używaniu wszystkich praw obywatelskich. Jest to prawda niezaprzeczona, ale nie ściągająca się do nas; — obowiązki są materyalne i moralne, jedne przechodzą przez pośrednictwo rządów, drugie odnoszą się wprost do współobywateli. My mówimy tylko o tych ostatnich, bo nikt nie oskarża starozakonnych, by nie płacili podatków, lub stawali w opozycyi władzom rządowym; że zaś obowiązki moralne mierzymy i mierzyć możemy tylko na własną miarę, dopominamy się od nich uznania naszej narodowości, i tę stawiamy na czele „obowiązków obywatelskich.“ Jeżeli rok 1848 nie ziścił wszystkich oczekiwań żydów, (bo niezaprzeczenie ziścił ich nie mało), to jeszcze nie nasza w tem wina, bo nie my byliśmy władzą prawodawczą; myśmy ich wezwali do wspólnej pracy, a tę, nie waham się powtórzyć, żydzi odepchnęli od siebie, skoro inne na niebie zajaśniało słońce.

Pan M. D. upewnia nas, że wykształceńsza młodzież żydowska dobrze mówi i pisze po polsku. Nie myślę zaprzeczać poważnemu zapewnieniu; lecz z mojej strony o tem także zapewnić mogę, że nie zdarzyło mi się spotkać dwoch żydów idących razem, którzyby między sobą mówili po polsku, — którzyby przeto z serca uznali za swoje, to co jest naszem. Przeciwnie, gdy młodzież nasza rzuciła się do ubiorów narodowych, młodzież żydowska szkół wyższych przy-

jęła równocześnie niemieckie „burschenmütze,“ jak gdyby dla pokazania towarzyszom swoim, że z niemi niema nic wspólnego, że myśl jej sięga gdzieindziej.

Aby mnie nie posądzono o stronność, winienem nadmienić, że mi się zdarzało słyszeć panie i panny żydowskie mówiące między sobą czysto i płynnie po polsku. Cześć wam siostry nasze! Kobiety kierują życiem domowem; pomnijcie, że wszystko co mówimy w tej chwili, przeminie, a czyny pozostaną; że jak dzieje narodowe łączą nowe pokolenia ze znikłemi, tak język jest siłą atrakcyi w pośród żyjących. Tej dwoistej wspólności nie zastąpi żadna ustawa.

Nie mam zamiaru wchodzić w szczegółowy rozbiór odpowiedzi pana M. D. Zostawiając powszechności dalszy sąd o rzeczy powszechnej, nadmienić jeszcze muszę, że się z nim nie zgadzam zupełnie w sądzie o narodowości tureckiej, którę autor słusznie nazywa „świętą“. Ze wszystkich uczuć jakie dziś opanowały serca ludzkie, uczucie religijne, jest niezaprzeczenie najdawniejszem. Człowiek surowy wychodzący z łona surowej przerody, uczuł mimowolnie, że jest gdzieś potęga wyższa od wszystkiego, co go otacza; uczucie to owładnęło tak silnie ród ludzki, że go nie opuści nigdy. W miarę zrastania się społeczeństw ludzkich, przybywały do pojęć religijnych pojęcia towarzyskie; one się wciskały między nie, a na ich zespolonej świętości wzniosła się budowa państw starożytnych, w których siłą początkującą wszechrzeczy było bóstwo, a ostatnim i najliczniejszym czynnikiem niewolnik, zatem niebo i ziemia, uczucie i siła. Na tych podstawach wznosiły się państwa dawnej Azyi; na niej oparły się liczne, lubo jednej narodowości, greckie rzeczypospolite; na niej jeszcze stanęło jedno, lub o różnych narodowości, państwo rzymskie.

Chrześcianizm pierwszy uznał człowieka w niewolniku, a kobietę postawił w równi z mężczyzną. Był to okres dziejów przeobrażający postać świata; zmięszane dotąd uczucia ziemskie i zaziemskie zaczęły poznawać różną naturę swoję; — miłość bliźniego rozpościera się coraz dalej, miłość narodowości kupi się w własnym żywiole.

Gdzie nowożytna cywilizacya nie urobiła się jeszcze, tam dawne zmięszanie trwa dotąd; gdzie uczucia doczesne wikłają się jeszcze w natłoku różnorodnych a nieurobionych pojęć, tam narodowość mieszka jeszcze w pagodzie, meczecie, bóżnicy, cerkwi. W imię tej „świętej“ narodowości, różnorodni uczniowie proroka idą wytępiać wszystko, co nie przyjęło ustaw „Koranu“; ich prawdy ziemskie i zaziemskie połączyły się na ostrzu ich kordelasa, a w lat stopięćdziesiąt po wyjściu pierwszej dziczy z arabskich piasków, pasterze wielbłądów zasiedli na tronach Azyi, Afryki i Europy. Zaprawdę, to nie narodowość! Gdy ludy chrześciańskiej Europy wychodząc z dawnej mięszaniny pojęć doczesnych i wiecznych, lały krew za wiarę, przemieniały religię, a przecież pozostały czem były; Turcya ostygnąwszy w fanatyzmie, omdlała na siłach i znika z powierzchni ziemi, bo na niej żyła nieziemskim pokarmem; Turcya stała religią a nie narodowością.

Przechodzę do ważniejszego szczegółu, to jest do używania praw cywilnych i politycznych. W właściwem, umiejętnem znaczeniu, prawem cywilnem jest każda ustawa określająca wzajemne stosunki mieszkańców kraju, ich obowiązki względem ogółu, i służące im nawzajem korzyści. Zaczem, gdzie już jest dla wszystkich jeden kodeks cywilny i karny, jedna procedura, jeden sąd, jedna władza administracyjna, jedne szkoły, jedne podatki ogólne, tam już jest niezaprzeczenie równość praw cywilnych. Wolność zakładania wszędzie sklepów, kupowania domów itd., jak oznaczenie miejsc, w których wolno jest zakładać jatki, garbarnie, mydlarnie itd., nie wchodzi w ogólne prawa cywilne, lecz leży w atrybucyach władz gminnych i policyjnych; dlatego też te przepisy drugiego rzędu nietylko są różne w różnych miejscach tego samego kraju, lecz nadto gdy tamte stoją niewzruszone dla wszystkich, w tych pojawiać się muszą wyjątki i uwzględnienia. Celem tamtych jest sprawiedliwość powszechna; tych bezpieczeństwo, zdrowie, porządek, czystość. Rzeczą jest przeto samych obywateli odsunąć od siebie przyczyny, które znagliły do tych wyłączności.

Mówcy starozakonni dopominający się zrównania wobec prawa, nie wspomnieli o powyższem odróżnieniu; a to czego im nie dostaje, podciągnęli ryczałtem pod nierówność *praw politycznych*. Nie waham się twierdzić, że to pojęcie praw politycznych jest jeszcze mylniejszem od poprzedniego, a ich mniemana nierówność dla żydów nie istnieje. „Les droits individuels, civils, c'est la liberté; les droits sociaux, politiques, c'est la garantie," powiada niezrównany obrońca swobód konstytucyjnych, Ben. Constant. Jakoż, podczas gdy prawa cywilne obejmują wszystkie stosunki życia prywatnego, prawem politycznem jest wyłącznie uczestnictwo w rządzie i prawodawstwie.

Ażeby ustawy cywilne odpowiadały potrzebom i życzeniom obywateli, obywatele pragną mieć udział w ich stanowieniu, i dozór nad ich wykonaniem. Prawa cywilne przynoszą korzyść; prawo polityczne jest ciężarem, lecz ciężarem, o który dobijają się ludy; bo rzadko kiedy są dla nich ustawy powstające bez nich.

Po rok 1848 prawa polityczne nie istniały u nas dla nikogo. Sejm postulatowy, którego zadaniem było „prosić o to, czego nigdy nie otrzymał, a dziękować za to, o co nie prosił," nie przechował był nawet pozoru prawa politycznego. Od r. 1848 prawo to zaczęło się przebijać w radach gminnych, w izbach handlowych, w deputacyach, a dziś w sejmie. Zapytuję, z którego z tych praw politycznych wyłączono żydów; i twierdzę, że żydzi używają u nas praw politycznych w całej rozciągłości, o ile ich używa kraj cały, i o ile te ustawą nadane zostały.

Powyżej praw cywilnych i politycznych stoją prawa *towarzyskie*. O nich „Czas" powiedział niemal równocześnie (27. z. m.): „Żydzi otrzymali już równouprawnienie polityczne, bo mają te same co i my polityczne instytucye; lecz żadna ustawa ani rozporządzenie władz nie jest w stanie nakazać równouprawnienia społecznego" (a właściwiej *towarzyskiego*).

„Prawo nadane, powiada Montesquieu, jest albo gwałtem, albo skreśleniem tego, co się już urobiło w społeczno-

ści.“ Ustawa nadaje cechę *sprawiedliwości* temu, co już uważanem było jako *słuszność;* prawo spisane jest uroczystem powtórzeniem, jest uznaniem prawa żyjącego w sumieniu, na wypadek, gdyby to gdzie zagrożonem zostało. Zaczem jeszcze, zadaniem ustaw nie jest zaprowadzenie słuszności, ale raczej niedopuszczenie niesłuszności; a niesłusznem jest to tylko, co sumienie powszechnie uznało za takie. Ustawa może powiedzieć: szanuj, słuchaj i milcz; lecz nie może powiedzieć: poważaj, ufaj i kochaj. Poważanie, ufność i życzliwość człowiek musi zdobywać własnem wysileniem; poważanie godnością, — ufność prawem postępowaniem, — życzliwość współczuciem. Pokąd ta moralna spójnia nie skojarzy współobywateli, potąd prawa spisane okrążać będą prawa, żyjące w sumieniu publicznem; one pozostaną „gwałtem a nie skreśleniem tego, co się już urobiło w wykształconej społeczności“.

Jeszcze słów kilka o urzędach i obowiązkach publicznych. Ustawy nasze dozwalają żydom piastowania stopni le arzy i adwokatów, bo odpowiedzialność za nie ciąży na osobach. W obsadzeniu posad krajowych, każdy rząd, a tym bardziej każdy minister odpowiedzialny, dwa szczegóły mieć musi na względzie: naprzód pewność własną, że poruczony obowiązek wykonanym będzie sumiennie, a przynajmniej wiernie; powtóre, wrażenie publiczne, sąd publiczny, poszanowanie publiczne. Dwa te czynniki iść muszą razem; gdzie jednego z nich nie dostaje, tam znika warunek służby publicznej. Nie my obsadzamy sądy i powiaty; jeżeli przeto rząd nie poruczał dotąd urzędów żydom, to jeszcze przyczyny tego szukać należy w tych samych prawach moralnych, na których się wznoszą prawa spisane. Wszakże szczególne odznaczenia lub zasługi wydobywają z ukrycia towarzyskie i narodowe cnoty i znakomitości: Pan M. D. zostaje posłem niemal jednomyślnie; Rotschild wchodzi do parlamentu angielskiego; Fould i Crèmieux obejmują teki ministeryalne we Francyi; ubogi lecz uczony Stern w ubiorze żydowskim zasiada w warszawskiem *Towarzystwie Przyjaciół Nauk* obok jenerałów i senatorów.

Oto są ogólne, w naukowym świecie urobione pojęcia praw cywilnych, politycznych i towarzyskich. Ich natury nie przeobrazi żadna ustawa; one się rozwijają od wieka na tej samej drodze.

Powołano przeciw mnie Arystotelesa. Arystoteles nie jest trudnym, on stanie także i po mojej stronie. Ten głęboki filozof i publicysta powiedział: „Każda cnota leży pomiędzy dwoma występkami, z których jeden jest *brak*, drugi *przesada*“. My unikając wszystkiego, co stoi na krawędziach, nie chcemy ani wynosić nagle tego, cośmy potępiali przed chwilą; ani potępiać dla miejscowej polityki, co wyniosły prace i zasługi życia całego. („Głos“ z dnia 9 kwietnia 1861, Nr. 8).

Supiński zajmował się także przedmiotami, które się pośrednio tylko stykają z nauką gospodarstwa społecznego.

W „Kółku rodzinnem“, piśmie literackiem, wydawanem we Lwowie r. 1860, znajduję między innemi artykułami pióra J. Supińskiego, rozbiór dzieła Edmunda Stawiskiego: „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego“.

Rozbiór ten przytaczam tu tem chętniej, że przyczyni się on może do tym większego rozpowszechnienia pomienionego znakomitego dzieła.

Praca ta obejmująca 580 stronnic, umieszczaną była częściowo w Bibliotece warszawskiej już przed ośmiu czy dziesięciu laty, a dopiero w roku 1858 doczekała się oddzielnego przedruku. Mimo to, jej pojawienie się i jej przedruk są wielce pocieszającem w literaturze naszej zjawiskiem. Literatura, a wyraźniej mówiąc, piśmiennictwo każdego narodu i każdej epoki, jest odbiciem, jest wystąpieniem na zewnątrz rozwijających się w łonie jego uczuć, poruszeń i skłonności. Kronikarze otwierają wszędzie spisywane ludów dzieje; historyc specyalne pojawiają się dopiero na wysokości, z której sąd publiczny, patrząc na szerokie przeszłości pole, zaczyna dostrzegać i odróżniać w nawale imion, wypadków, tłumionych jedne przez drugie i burz głuszących

ukryte pod niemi życie, to co było istotnie życiem, i to z czego się wylewała siła zażywiające te głośne imiona, te uderzające wypadki, i te ciągłe burze. Historye specyalne mnożą się w miarę postępującego wykształcenia; one się rozpadają, tak jak wszystkie inne umiejętności, na części drobniejsze, z których każda pęcnieje sama w sobie, i sama w sobie dochodzi dawnych rozmiarów.

Z radością witamy historyę rolnictwa naszego, stającą dziś obok znamienitych dzieł historyi literatury, szkół i innych; witamy ję z tem większem zajęciem, że ona pierwsza oderwała nas od jednostronnego parcia i skierowała uwagę naszę w stronę lekceważoną dotąd, a w której przecież odbywała się główna praca narodu, wzdłuż trwania społeczności naszej; — w stronę gdzie jaśniało nasze domowe życie, gdzie biły życia zbiorowego tętnice, zkąd wychodzili na scenę świata polscy Cyncynaci.

Dzieło Stawiskiego nie jest dziełem technicznem: ono zaledwie zahacza po drodze sposobów dawnej uprawy, których znajomość już dziś byłaby tylko zaspokojeniem ciekawości naszej. Autor sięgnął głębiej; on rozwinął nasze wewnętrzne stosunki, on przedstawił nasze domowe dzieje ze stanowiska, które obrał za punkt widzenia. W narodzie czysto rolniczym, dzieje rolnictwa są rzeczywiście jego wewnętrznemi dziejami; na niem usadowiło się jego istnienie, na niem rozwinęły się jego społeczne stosunki, na niem się oparła jego towarzyska hierarchia, na niem dojrzewały i pod jego jeszcze zasłoną wyradzały się i paczyły cywilne i polityczne prawa.

To połączenie i ta zawisłość wszystkich ruchów towarzyskich i wszystkich usposobień narodowych od kierunku jaki weźmie w łonie jego to, co jest jądrem jego istnienia, uchodzi łatwo baczności naszej; bo skutki leżą opodal, bo spisane dzieje przeszłości rzadko są wyjaśnieniem przyczyn nurtujących cicho, zdawna, i w głębinach podwaliny społecznej budowy.

Jeżeli niełatwem jest zadanie skreślić obraz długiego żywota wielkiego ludu, jakże trudnem być musi zbadanie

i rozkład pokarmu strawionego, na którym się ten żywot rozwijał, a który niekiedy przesycił organizm społeczny i ku upadkowi chylić go zaczął. Stawiski puścił się wstecz z tą myślą, lecz nie znalazłszy ścieżki wśród ciemnic i gruzów zalegających rozległe równiny, niekiedy nawet zwiedziony napotkanemi śladami, często domysłom naszym zostawia, czego ostatecznie wyrzec nie śmie; bo to ostateczne nie pojawiło mu się jeszcze dość jasno, wyraziście i stanowczo. Wypadki społeczne nie są nigdy zbiorem samych nieszczęść, lub samych powodzeń; te same przyczyny, często odmienne sprowadzają skutki, — podobne skutki często z różnych płyną przyczyn. To zwikłanie obok nawału jaskrawych wypadków innej natury, bałamuci sąd patrzącego, a przynajmniej odbiera mu śmiałość wyrokowania. Mamyż we trzech słowach określić treść nieocenionych badań Stawiskiego? Pliniusz wołał głosem pełnym boleści: *latifundia perdidere Italiam!* Latifundia stłumiły wielkość Hiszpanii, obaliły dawną monarchię francuską, pomięszały wewnętrzny Niemiec rozwój, dziś grożą przyszłości Anglii; one zalały trucizną słodką i zwolna tylko trawiącą wnętrza społeczności naszej. To bolesne spostrzeżenie urabia się w czytającym, i narasta z drobnych okruszyn rozrzuconych po dziele całym, gdy się je czyta po raz pierwszy; wszakże kto je weźmie powtórnie do rąk, lub przystąpi do niego przygotowany, dostrzeże tam z łatwością tę wielką, historyczną i niezaprzeczoną prawdę.

Z końcem XV wieku rozpoczyna się nasze przeobrażenie, pojawiają się rozległe folwarki, łany dworskie zagarniają grunta kmiece, chłopi wydziedziczeni i szlachta biorąca górę w społeczeństwie, rozchodzą się coraz dalej w kierunkach odwrotnych od miejsca dawnego zetknięcia; przyjdzie czas, gdy państwo przestanie być narodem.

Reforma rolnicza rozpoczęta w XV wieku, dopełnioną została w XVI. Wielka uprawa wzięła górę stanowczo i przeszła granice naturalne (194)*). Rosnące gospodarstwa

---

*) Stronnice powołane odnoszą się do wydania pierwszego tegoż dzieła.

folwarczne wywołują potrzebę rąk pracujących nie dla siebie. Tu rozpoczyna się szereg ustaw biorących w opiekę latifundia kosztem ludności wydziedziczonej; prawodawstwo używa wszelkich środków, aby uczynić zadość ich potrzebie; — czynsze ustępują miejsca robociźnie (86). Ogół ludności krajowej przeobraża się szybko, a z nią dawna zamożność i obyczaje; w miejscu wolnych dawniej chłopów pojawiają się rozliczne rodzaje ludzi do robót folwarcznych używanych, bądź zagrodników, bądź luźnych, alias hultajów (37). Statut toruński wyrzekł ostatnie słowo, on pańszczyznę uprawnił i określił ję tygodniowo (73).

Rozdarta raz społeczność, wszedłszy na innę drogę, posuwa się po niej coraz dalej, krok raz uczyniony, znagla do dalszego pochodu. Dzieje Anglii, Francyi i Niemiec przedstawiają podobne przejścia; lecz gdy dzieje państw tamtych napstrzone jaskrawością możnych wśród nadużyć, cierpień, niedostatku i poniżenia ludu, są niemal jednym ciągiem bezpraw wywołujących w końcu srogie katastrofy, — u nas przelewanie się wszystkich praw społecznych w jednę stronę, było więcej uczuciem małoletności drugiej strony, było rozwinięciem opieki jednych nad drugiemi. Jakoż, nowe zasady sądownictwa nie uważają chłopów za mocnych do działania sądowego (145), i oddają ich opiece panów. Lecz opieka osób pojedyńczych nie zastąpi opieki prawa. Chłopi wydziedziczeni, z rolników zamożnych nędzarze, uchodzą przed uciskiem z miejsc przypominających im dawne swobody. Włóczęgostwo i niemoralność stają się życia trybem. Ostrość praw znagla jednych do nieposzanowania onych, a ich pomijanie wywołuje z drugiej strony coraz ostrzejsze ustawy. W XVII stuleciu już całe wsie opuszczają panów swoich (183), chroniąc się do dóbr królewskich, a nowo pojawiająca się konstytucya zamyka przed niemi te ostatnie wrota.

Jakże różny widok przedstawia się oku patrzącemu na dwa wielkie żywota naszego okresy. Włości nasze w XIII i XIV stuleciu, stanowią prawdziwie mozajkową rozmaitość. Na jednej dziedzinie mięszają się różnych rozmiarów i ro-

dzajów posiadłości: cząstki dziedziczne, posady rycerskie, łany wolne, osady, a na tych gruntach kmiecie, służebni czynszownicy, rzemieślnicy, sołtysi, lub drobne rycerstwo. Ci zajmują się rolą, ci rybołostwem, ci pszczelnictwem; — ci składają część swoich płodów, ci płacą czynsze, ci obok opłat uiszczają się cząstką pracy (85). Folwarki niewielkie ginące w tłumie cząstkowej uprawy (29), są częścią wielkiej całości, a nie ich sercem i głową, do których później wszystko się zbiega. W XVI wieku waga zaczyna się chylić w jednę stronę; system folwarczny bierze górę, a wolna dotąd ludność rolnicza staje się stopniowo wydziedziczonym robotnikiem dworskim (87). Ręce opadają, gdzie owoce długich i ciężkich usiłowań wystawione są na igraszkę dowolności (91).

Dziwnym wydałby się ten wewnętrzny pokój, ta cicha uległość naszej wiejskiej ludności utracającej dawne swobody, prawa i mienie, gdybyśmy nie napotykali z drugiej strony w domowych cnotach szlachty naszej potęgi łagodzącej to, co suche i zimne wykonywanie ustaw byłoby nieznośnem uczyniło. Dzieje nasze nie znają buntów chłopów, które tyle cierpień i nieszczęść sprowadziły w Niemczech, Francyi i Anglii; bo u nas aż po okres, w którym obczyzna przemogła stanowczo, dotrwały w łonie równie wyższych jak niższych rodzin polskich: pracowitość, oszczędność i ludzkość. Przesądy były liczne, prawo ciężkie, ale obyczaje czyste i surowe, a głęboka obok nich religijność, znośnemi czyniła stosunki jednych klas do drugich. Prostota, prawość i tradycye, zacierały poniekąd, a przynajmniej łagodziły praw nierówność (266). Jednym z najsilniejszych dowodów tej ojcowskiej ludzkości, jest przywiązanie, wierność i sumienność sług, o jakich dziś już nawet pojęcia nie mamy.

Wszakże mimo to, prawo wspólne dla wszystkich, lub opieka prawa rozciągająca się ponad wszystkiemi w wiekach Kazimierzów i Jagiełłów (60), znikały coraz więcej w społeczności naszej. Rozpadanie się prawa było i będzie po wszystkie wieki rozpadaniem się narodu, zatem początkiem

niemocy, którę tylko nagłe wtrząśnienia, lub wielkie poświęcenie powstrzymać niekiedy zdołają. Swoboda jednych, rozwijająca się na ucisku drugich, wyradza dawne cnoty i obyczaje, a „w miarę (są to słowa autora) jak najliczniejsza klasa narodu upadała moralnie i materyalnie pod naciskiem nowych praw i zwyczajów, druga jego część, w stosunku narastających dostatków i ulg od obowiązków publicznych, poczynała okazywać skłonność do miękkości i przepychu; poczynała tracić dawną prostotę obyczajów, zamiłowanie obozu i życia twardego, nawyknienie do pracy i wstrzemięźliwości“ (187). Nowe gospodarstwo oparte już na prawach przymusowych, centralizacya dominialna, chłonąca dawne życie i samodzielność gminy, kunsztowna i fałszywa budowa towarzystwa (265), podkopały budowę społeczną. Wkrótce zbytek mięsza się z ubóstwem i nieładem; przepych i pańskość wygania istotną gościnność, a nieraz poczciwość i rzetelność (276), bo rozliczne choroby gnieżdżą się w ciele, które oddecha powietrzem zepsutem“ (271).

Wiek XVI jaśnieje w dziejach naszych jako wiek wysokiej umysłowej uprawy; — koniec jego powiedzieliśmy był początkiem przeobrażeń w społecznych stosunkach. Czasy, które poprzedziły to przełamanie się dążności i pojęć, przedstawiają miły, a zarazem bolesny widok; miły, bo tam widzimy siłę, sprawiedliwość, zadowolenie powszechne, — bolesny, bo ten stan rzeczy mógł się rozwijać ciągle, bo rozwojowi naszej narodowej potęgi, nic z zewnątrz nie zagradzało drogi.

Chwilowe korzyści uwiodły przodków naszych. W trzech ostatnich wiekach, światy nowe otworzyły zachodniej Europie rozległe pole przemysłu. Siły jej zwróciły się ku tej stronie, zostawiając innym krajom, a głównie Polsce możliwość zaopatrywania jej w płody ziemiańskie, których produkcya podówczas była jeszcze dziełem więcej przerody niż sztuki. Ogromny i cwałem rosnący odbyt, nie mógł nie złudzić w czasach, gdzie obcemi jeszcze były prawdy zdobyte później przez ekonomię polityczną. Zawód ten mógł spotkać państwa zachodnie, lecz niebo chciało inaczej, bo

powodzenie państw tamtych rozlewało się na wszystkie narodu stany; — u nas przesadzona pomyślność jednych, oparła się na upośledzeniu innych. Równowaga wywozu z produkcyą zaczęła znikać; podsuwane z zewnątrz sztuczne ruchy, pomagały łudzić oczy niewprawne, sztuka znikła, przemijające potrzeby ustały, a zaród złego zapuścił głębokie korzenie, których wydobycie stało się olbrzymiem zadaniem, — zadaniem, na rozwiązanie którego już nie wystarczyło czasu!

Odległe wstecz przyczyny pierwszych klęsk i boleści, pojawiają się dopiero późniejszym pokoleniom, dość już odległym, by je naraz i w całości ogarnąć mogły; — niedość jeszcze odległem, by ich widok skrył się przed niemi zupełnie, lub by ich działanie usnęło. Czego my już nie dostrzegamy, to dostrzegli nasi dziadowie. Niedługo, bo nie wiele nad jedno stulecie trwające powodzenia i obfitość stanów wyższych, głuszące coraz większe u dołu cierpienia i niedostatek, przeradzać się musiały stopniowo w niemoc powszechną; bo potęga państwa tylko na zbiorowej potędze narodu oprzeć się może; — bo wycieńczeni nie mogą być siłą.

Te główne prawdy, ten rozum stanu, i to poczucie sprawiedliwości ziemskiej, rozwinięte zdawna na religii i moralności, które nigdy nie wygasły zupełnie w sercach przodków naszych, zwracały ich uwagę w stronę, w którę gdzieindziej tylko opór ludu zwrócić zdołał wyższe pokłady. Ludzie bystrzejszego widzenia, Ostroróg, Górnicki, Starowolski, przewidywali pierwsi dalsze następstwa zerwania dawnej równowagi; — „wszyscy się niesiemy, wołał Modrzewski, jakoby w jednej łodzi rzeczypospolitej; — gdy jeden członek ciała utrapienie cierpi, drugim miły żywot nie może być“ (179).

Zubożenie najliczniejszej klasy narodu, pociągnęło miast upadek, miast pracowitych i zamożnych przed dwoma wiekami, dziś nędznych miasteczek, wypełnionych brudnem i lichwiącem żydostwem. Bogactwo dworów szlacheckich, wabiło do Polski podróżujących dawnym obyczajem mnóstwo kupców szkockich, niemieckich, moskiewskich, węgierskich, greckich, ormiańskich, włoskich i perskich (186), którzy przejeżdżając kraj w rozmaitych kierunkach, zao-

patrywali je w wyższe potrzeby i zabytki. Powołaniem miast było zaopatrywać lud wiejski; — ubóstwo tego, zubożyć musiało tamte; — upadek miast, i zdziesiątkowana ich ludność, zamknęły wrota przed płodami rozległych folwarków, których wywóz zagranice ustawał, a których kraj sam, przez wewnętrzną zamianę, spotrzebować już nie mógł. W życiu narodów jest pewna wewnętrzna solidarność powodzenia i cierpień, której zerwanie sprowadza prędzej lub później cierpienia wspólne i powszechne; bo nigdy nie pogodzą się z naturą społeczną, przesycenie obok niedostatku, uciechy wśród żalów.

Takie koleje przechodziło rolnictwo nasze, a los rolnictwa był losem narodu rolniczego. Jeżeli dzieje przeszłe mają być nauką późniejszych pokoleń, należy w nich szperać za tem i uwydatniać to, w czem biły życia narodowego tętnice. Stawiski pojął to wzniosłe dziejopisa powołanie, lecz przewidywał, że niedość zrozumianym będzie, bo umysły, powiada on, nawykłe oglądać przeszłość naszę w dramatycznym obrazie historyi, patrzyć na nie przez fantastyczny pryzmat poezyi, albo się nią pieścić w naszem powieściopisarstwie (253), niełatwo w tych suchych zasmakują obrazach. Wszakże obrazu, który tu przedstawiam pociągiem kilku grubych i ogólnych rysów, czytelnik nie znajdzie gotowego w dziele Stawiskiego; ale obraz ten zarysuje się w umyśle każdego, kto powtarzam, w poszukiwaniach do historyi rolnictwa, szukać nie będzie historyi techniki rolniczej; kto zna trudności towarzyszące określeniu rzeczy, których piszący nazwać nie śmie właściwym wyrazem, — czyj wreszcie umysł wprawny w wydobywaniu prawd oderwanych z natłoku mieszających się faktów, dojrzy w nich to, co jest ruchu bodźcem i zarzewiem.

Autor ku końcu dzieła swojego powiada pod uciskiem tęsknych wrażeń, jakie wyniósł z rozległych badań: Nauczyliśmy się, że odwieczne, święte prawdy sprawiedliwości, panują nad społecznościami, i że bez nich nie ma trwałości. Próżno przekuwać prawa, jeżeli nie ma świętości w sercach, a wyższego światła w rozumach; dobro nawet rozkruszy,

się w prądzie obyczajów lecących ku złomu. Jest świat wyższy przekonań i wiary, do którego odnosić się muszą ustawy i w nim siły swoje czerpać. Duch miłości bliźniego i pewne ofiary muszą przejąć organizm społeczny, bo na tym dopiero cemencie wznieść się może budowa trwała. Prywata i egoizm, czy owładną jednego człowieka, czy jednę klasę ludności, czy jeden naród w rodzinie narodów, ściągają burze i upadek. One same siebie pożerają i trawią. Rzetelna tylko praca jest źródłem postępu; praca umiejętna z jednej strony, z drugiej oswobodzona z więzów (270).

Nie ma zapewne narodu, na którymby nie ciężyły grzechy przeszłości, bo narody są ludźmi tylko. Życie późniejsze zaciera dawne przewinienia ludzi i ludów; ono musi zatrzeć dawne grzechy, lub zatrzeć resztę istnienia. To przekonanie włożyło na mnie obowiązek obznajmienia czytających z pracą Stawiskiego.

Styl dzieła tego jest pełen prostoty, jasności, wdzięku, i tej rzewnej serdeczności, w której się malują czyste piszącego chęci i uczucia. Żałuję, że autor przenosząc się niekiedy na stanowisko ekonomii politycznej, podnosi za wysoko znaczenie i wartość pieniędzy, czego następstwem jest dawna wiara w bilans handlowy, który od pół wieku przeszedł w śmieszność podobną do prac alchimistów, wywołanych tem samem błędnem przekonaniem. Błędy podobne w dziełach wzorowych, rozszerzają się łatwo i wikłają niedość jeszcze ustalony sąd publiczny.

Oczekujemy z niecierpliwością obiecanych (12) dalszych poszukiwań, których ostatecznym celem jest rozwinięcie przed oczami naszemi odległych przyczyn późniejszej niemocy; życząc krajowi, by dzieła podobne, by mozoły i prace literatów naszych, okupione zwykle zdrowiem, często niedostatkiem, niekiedy życiem, nie przemijały bez ogólnej narodowej korzyści.

Artykuł następujący wchodzi w zakres mechaniki. Na podstawie błędnego pojmowania rzeczy mniemano: że potoczy-

stość powozu jest tem większa, im mniejsze są przednie — a większe tylne koła. Tak też do niedawna robiono je do powozów a nawet i do wozów.

W „Pamiętniku gospodarskim" wydawanym we Lwowie, pojawił się był nawet artykuł, zachęcający do większego jeszcze zmniejszania kół przednich. To spowodowało Supińskiego do zabrania głosu w tym przedmiocie, celem wykazania błędu. Od r. 1854 zaczęły już rzeczywiście wchodzić w używanie u powozów i bryczek wysokie koła, któreby i do prostych wozów należało zastosować.

W numerze 51. „Pamiętnika gospodarskiego" z roku 1849 czytaliśmy krótki artykulik z napisem: „O korzystnym działaniu siły pociągowej", w którym autor usiłuje dowieść, że wóz o wysokich kołach lżej idzie za końmi. Zasada ta, jakkolwiek warunkowo, jest prawdziwą; nie pominął jej żaden z autorów traktujących o *statyce*. Gdy jednak wszelka prawda otyle tylko trafia do przekonania, a zatem otyle korzyści przynosi, oile rzeczywiście udowodnioną zostaje, nie od rzeczy będzie sprostować zasady mechaniczne, których fenomen ten jest wypływem. O promieniu nie ma tu mowy; Archimedes, na którego się powołano, także o nim nie mówił, bo za czasów jego prawa koła, a zatem i promienia odkryte jeszcze nie były. Wszystkie maszyny, które geniusz Archimedesa przy obronie Syrakuzy stworzył, opierały się na prawach *dźwigni (levier, Hebel)* które on pierwszy dostrzegł i które obliczył. W wozie podobnież *dźwignia* główną gra rolę.

Nie ma w żadnej umiejętności tak powszechnej i niezachwianej zasady, jak w mechanice ta: że oile się zyskuje na sile, otyle traci na czasie, i na odwrót; gdzie nie ma straty na jednem, tam nie ma zysku na drugiem. W kombinacyi dwoch lub kilku kół obracających się *jedno przez drugie*, stosunek szybkości ostatniego do pierwszego jest miarą straconej lub zyskanej siły; koło zaś obracające się samo około swojej osi jest prostą dźwignią, której dwa równe ramiona przedstawiają równanie $+ 2 - 2 = 0$. Korzyść zatem z kół wozowych większej średnicy wypływająca,

nie tu spoczywa i nie jest bezwarunkową. Wiadomo jest ze statyki, że dwie siły działające na opór pod pewnym kątem, trawią się w części nawzajem, i tym więcej, im kąt ich jest więcej rozwarty; reszty zaś tych dwóch sił zlane w jednę, poruszają *ciało* po przekątnej równoległoboku wystawionego na dwoch danych siłach, to jest, pomiędzy dwoma siłami, i bliżej tej, która jest większą; n. p. jeżeli siła jedna jest trzy razy większą od siły drugiej, ciężar pójdzie trzy razy bliżej siły większej. W wozie są podobnież dwie siły: ciężar cisnący pionowo i koń ciągnący poziomo; jeżeli koń ciągnie *istotnie* poziomo, wtedy te dwie siły tworzą kąt prosty; jeżeli postronek szlei idzie w kierunku ku górze, dwie te siły tworzą kąt ostry, w którymto razie jeszcze więcej stają one przeciw sobie. Inaczej mówiąc, człowiek popychający taczkę w kierunku ku dołowi, w części pcha ję naprzód, w części w ziemię; koń ciągnący w kierunku ku górze, w części go *dźwiga*, w części pociąga; koń, którego postronek szedłby (z powodu kół zbyt wysokich) w kierunku ku dołowi, znalazłby się w położeniu człowieka popychającego taczkę w ziemię. Dlatego w krajach gdzie pojęcia mechanizmu więcej się rozszerzają (jak np. we Francyi), średnica kół u wozów i wózków ręcznych, zastosowana jest do wzrostu człowieka i koni tak, że dyszel lub postronek idzie w kierunku prawie poziomym, to jest prawie równoległym do ziemi. Aby przekonać, oile okoliczność ta jest ważną, dość będzie przytoczyć, że u wozów niskich (np. podolskich), jeżeli postronek tworzy z poziomem kąt 120 stopni koła, w zaprzęgu tym, nie licząc tarcia i wszystkich niezgrabności mechanicznych, $^{30}/_{120}$ czyli $^{1}/_{4}$, czyli siła półkonia w dwuprzęgu jest straconą.

Prócz powyższej zasady co do wysokości kół, nie należy pominąć dwoch innych jeszcze szczegółów, będących niemniej ważnemi warunkami potoczystości wozów; warunkami temi są: 1) *Rozkład ciężaru*, to jest, aby koła tylne do przednich ile możności zbliżone były; ciężar zaś wystawał poza nie naprzód i w tył. Zasada ta opiera się na tej statycznej prawdzie, że ciężar tym łatwiejszym jest do poruszenia, im więcej jest skupioną powierzchnia, na której on się opiera.

Dlatego łatwiej jest poruszyć kamień kubiczny, cetnar ważący, niż belek lżejszy od niego. Dlatego także tak zwane *roulages* francuskie używają do sześciokonnych nawet zaprzęgów, wozów na dwóch tylko kołach; bo tu skupienie podstawy jest do najwyższego stopnia doprowadzone. 2) *Umniejszenie tarcia.* Wiadomo jest, że gdyby powietrze i *tarcie* nie stawiły oporu, ciało raz w ruch puszczone, leciałoby bez końca (np. koło na wiszącej osi). Przeciw pierwszemu sztuka nie znalazła dotąd środka; drugie zmniejszyć jest w mocy naszej. Dwa są do tego środki: naprzód, używając do smarowania tłuszczu, ile możności oczyszczonego z ciał obcych (maź ma ich najwięcej) i zwięzłego np. łoju z domieszaniem pyłu siarczanego; powtóre pokrywając części na tarcie wystawione, ciałami najmniej spożywającemi się na wzajem. Stosunek tarcia tego jest mniej więcej taki, przyjąwszy najmniejszy za jednostkę: żelazo na mosiądzu jak 1; żelazo na żelazie jak 3; żelazo na drzewie (twardem) jak 18; drzewo na drzewie jak 27.

Oto są główne zasady, na których mechanizm wozu opiera się w ogólności.

Wypisy te z pism czasowych zakończam powiastką, umieszczoną w „Tygodniku literackim,“ wydawanym przez Karola Szajnochę, którego Supiński, połączony z nim przyjaźnią, zastępował w czasie wyjazdu jego do kąpieli.

Zdarzenie prawdziwe.

Potężna armia francuska, której przeznaczeniem było narzucającą się Europie rodzinę Bonapartego także na hiszpańskim osadzić tronie w osobie Józefa, przedarła się już była z wielkiemi trudami przez wąwozy, gęste lasy i góry nieprzestępne niemal, które długim łańcuchem przedzielają Hiszpanię od Francyi. Korpus ten, noszący nazwę francuskiego, składał się z Francuzów, Włochów, Szwajcarów, Niemców i Polaków. Ułanów naszych używano zwykle

do przedniej straży; niemi także obsadzano wszystkie stanowiska, więcej wytrwałości i odwagi, niżeli liczebnej siły wymagające. Główna armia postępowała zwolna, lecz ciągle. W dni kilkanaście po przebyciu Pireneów zbliżała się ku stronom najniebezpieczniejszym, bo najwięcej wzburzonym, ku brzegom Gwadalkwiwiru. Ostrożność nakazywała zająć w okolicy miejsca warowne. Dowódzca marszałek Soult, wydał stosowne rozkazy. Oddział ułanów pod przewodnictwem porucznika Osińskiego, otrzymuje przeznaczenie rozstawienia widetów wśród gór Sierra-Morena.

Żołnierz z powołania, młodzian pełen zdrowia i męstwa, żyjący w nadziejach, znał niebezpieczeństwa, ale się niemi nie trwożył. Krzyże legii honorowej i virtuti militari ozdabiały już piersi jego; smukły wzrostem, w kształtnym ułańskim mundurze nowego nabierał wdzięku; twarz spokojna, świeża, męska lecz łagodna, wśród długich po Europie marszów, miłe w niejednem czułem sercu, zostawiły wspomnienie krótkiej pobytu chwili, która była pierwszą i ostatnią.

Osiński na czele walecznego oddziału postępował ku miejscu swego przeznaczenia. Dzień się już schylał; jaskrawe południowe słońce rzucało jeszcze z pod ziemi ostatnie promienie na wzniosłych gór wierzchołki; z przeciwnej strony księżyc bladem posrebrzał je światłem. Lecz wśród wąwozów, któremi pomykali się ułani, było ciemno i chłodno, a rosą przesycone powietrze, dziwną przedstawiało im sprzeczność między dniem i nocą, sprzeczność, której w kraju swoim nie znali. Już było blisko północy, gdy stary chłop hiszpański, którego we wsi ostatniej za przewodnika wzięto, zatrzymuje swego muła i wskazuje na zamek, na wyniesieniu wśród otaczających je równin, samotnie leżący. Zamek ten, powiada, jest jednym z najwarowniejszych; wybudowany niegdyś przez Maurów, dziś należy do Don Alonzo Lopez de Goma, właściciela rozległych majętności i potomka jednego z najznakomitszych w Hiszpanii rodów. — Cisza panowała na około; wyniosłe zewnętrzne mury ze strzelnicami pod szczytem, kryły wewnętrzną budowę; wyskakująca ze środka wieża, zdawała się grozić przybyszom zbliżającym się ku

ponuremu miejscu. Stanęli przed bramą; żelazne zapory i rozciągnięte łańcuchy strzegły jej od strony twierdzy; a most zwodzony dźwignięty na pół do góry, odkrywał przepaść pod stopami.

Osiński nie chciał próbować przemocy; przewodnika wynagrodził i odprawił; ułanom kazał zsiąść z konia, i obozem resztę nocy przeczekał. Jutrzenka okazała się wkrótce na niebie. Dzwon na wieży doniósł mieszkańcom w głębokich komnatach ukrytym, że po za niemi już się dzień rozpoczął. — Już z tej strony warowni słychać tam szmer, chodzenia i rozmowy.

W tem skrzypnęła trzykrotnie ogromnego zamku zardzewiała zasuwa. Po dwoch ludzi ciągną każde z dwoch ciężkich podwoi, most pochyla się i kładzie na przeciwnym brzegu, a głos: „*Enimigo!*“ przywołał ku bramie wewnętrzne straże.

Osiński nie umiał być nieprzyjacielem, gdzie nim być nie potrzebował. Chcę mówić, powiada, z właścicielem zamku, Donem Lopez. Dumny grand hiszpański sam nie wychodzi, lecz zbyt przezorny, by opór stawić, każe przyjąć wewnątrz załogę. „Na koń!“ zawołał porucznik; trębacz uderzył; chorągiewki się pochyliły po pod bramę; oddział stanął na dziedzińcu. Pamiętny przede wszystkiem o obowiązku dowódzca, rozesłał czaty i straże postawił. Zaproszony do pokojów, spotyka Lopeza u wnijścia. Starzec czerstwy, powolnym ku niemu postępował krokiem, lekko pochylił głowę nakrytą w pióra ozdobionym kapeluszem, a szpada zawieszona u boku, zdawała się oznajmiać, że się za jeńca nie uznaje. Nasz porucznik czuł drażliwe gospodarza położenie, a szanując w nim prawego Hiszpana i starca, przepraszał go za swoje przybycie i o przyzwoitem postępowaniu ułanów swoich upewniał.

Rozmawiając weszli dalej i zatrzymali się w ogromnej sali na uroczystości przeznaczonej, z mozajkową posadzką i wklęsłą powałą wspartą na grubych marmurowych słupach, po za któremi wisiały mnogie obrazy niezwykłej wielkości, w staroświeckie, rzeźbiarskie ujęte ramy. Alonzo

dostrzegłszy, że Osiński zwrócił ku nim uwagę: „To jest długi szereg przodków moich, rzecze; — ten tu, jest ów Lopez, który się wsławił r. 1236 w walkach przeciw Abenhudemu królowi Maurów; ten dalej był wielkorządcą Maurytanii; tamten zdobył Oran w Afryce, i otrzymał z rąk ministra, kardynała Ximenes, wiszący na piersi jego złoty łańcuch honorowy, którego prócz niego i samego kardynała, nikt w kraju nie posiadał; ten tam, po zaciętej bitwie morskiej przy brzegach Malagi, w powietrze prochem się wysadził, by niewpaść w ręce nieprzyjaciela; ten najokazalszy ze wszystkich, przedstawia nieśmiertelnego Vasco de Gama, wysiadającego na brzegi Malabaru r. 1498".

W czasie tej rozmowy, zbiegły się do sąsiedniego pokoju kobiety, ciekawe widzieć niespodzianego gościa. Obawa przed nieprzyjacielskim oficerem trzymała je z razu w oddalonych komnatach; ale ciekawość kobiet silniejszą jest od samej obawy, równie w Hiszpanii jak u nas. Lopez był wdowcem, i jednę tylko miał córkę. Przy niej bawiły jej dalsze dwie krewne, a kilka uboższych, lecz dawnością rodu znakomitych dziewcząt, w domu jej ojca znalazły utrzymanie odpowiadające pozostałym marom znikłej wielkości.

Izydora śmielsza od innych w ojca swego domu, a może i niecierpliwsza od innych, otwiera drzwi i wchodzi. Postać jej była zajmująca; biała zasłona opięta do pół czoła, niedbale na tył zarzucona, czarniejszemi jeszcze czyniła hebanowe włosy, które wymykając się z pod niej w długich splotach na śnieżne i półobnażone spływały ramiona; jej chód potoczysty ale poważny, ukłon pełen wdzięku ale i godności; wejrzenie budzące miłość, ale miłość milczącą, z daleka, okazywały, że była córą południowego kraju, ale córą hiszpańskiego granda.

Osiński wtopił w nię oczy; Izydora skierowała ku niemu śmiałe, jawne i niezakłopotane wejrzenie; lecz on wzroku jej nie dotrzymał. Oto, jest córka moja, odezwał się ojciec; na niej niestety, kończy się ród Lopezów de Gama. Ten pan, zwracając się ku niej, jest jedną z tych licznych ofiar, które cesarz Francuzów poświęcił wyniesie-

niu własnemu; ci panowie rzeczywistość mieniają za ułudę, a życie i majątki swoje dają za samę nadzieję, — on jest Polakiem, oficerem francuskim.

Po krótkiej rozmowie, gospodarz polecił staremu swemu słudze, zamku dozorcy, zaprowadzić gościa na spoczynek do przeznaczonego mu pokoju. Możesz pan spocząć bezpiecznie w domu naszym, zawołał Lopez. O tak, dodała córka, przyjmujemy w nim Polaka, a nie francuskiego oficera; pańskie uczucia muszą być podobne do moich! skłoniła się poufalej niż przy wejściu, i w kilku podskokach znikła, zostawiając swój obraz w duszy ułana, a może wzajemnie jego unosząc postać.

Osiński wszedł do swego pokoju. Od miesiąca nie przepędził dnia jednego pod dachem; a ostatnie dwie noce nie spał wcale. Rzucił się na sofę, lecz sen nie przychodził. Rzecz dziwna! są chwile w życiu człowieka, których on sam nie pojmuje; są uczucia, które pędem elektryczności przenikają całe jestestwo jego; jest dziewica dla młodziana, jest młodzian dla dziewicy, których Bóg, zdaje się, stworzył dla nich samych; którzy się zejdą czasem, a to ich pierwsze spotkanie, jest, jak gdyby tylko znalezieniem się wśród tłoku, ich dusze w pierwszej chwili zrastają się na zawsze, i już tylko śmierć je rozłączy!

Dano znać do obiadu; Osiński zań podziękował, bo chciał uniknąć spotkania, bo czuł, że przestał być panem siebie, bo gdzieindziej wołały go wielkie obowiązki. Dzień zeszedł w niepokoju, rozdzielony bez ładu między samotne rozmyślania i służby potrzeby. Lecz noc nie była spokojniejszą. Nie mogąc się snu doczekać, zniecierpliwiony, wychodzi na zamkowy krużganek, by pierś przygniecioną, świeżem zasilić powietrzem. Niebo było pogodne, księżyc i gwiazdy pokryły światłem rozległe naokoło zamku równiny; powolny wietrzyk chwiał liściem drzewek oliwnych i wśród kasztanów szeleścił. Z daleka, w górach, widać było ognie gerylasów, a popod murami zamku słychać niekiedy ułana, odpowiadającego dalszym czatom, donośnem: „Kto idzie!“

Wśród ciszy, Osiński słyszy głos kobiecy, zbliża się

ku tej stronie; zdaje mu się, że poznaje głos Izydory. Tak, to ona. Lekka lecz wprawna ręka budziła drżenie strón hiszpańskiej gitary, a melodyjny głos jej piersi, wylewający żale tęsknoty i upragnienia, wzmagał się z końcem każdej zwrotki, w wyrazach: Tierra nativa.

„Tierra nativa!“ powtórzył Osiński; o ty byłabyś aniołem i w Hiszpanii i w Polsce!

W tych walkach półtajemnych, pół jawnych spłynęło dni kilka. Żadne wojenne wrzawy nie zakłóciły panującego w tej stronie pokoju. Wycieczki gerylasów zwracały się raczej ku obozom i transportom, a wojska francuskie posuwały się ciągle ku wschodniemu południowi.

Izydora coraz stawała się śmielszą i więcej zbliżoną, jej ojciec przywykał do cudzoziemca, i zdawało się, że jego szlachetny charakter, jego pełne względów postępowanie, jego prawe serce i niepospolite umysłowe wykształcenie, jednały mu tę rzeczywistą Lopeza życzliwość, która wkrótce przyjaźnią stać się mogła. Izydora często na prośbę Osińskiego powtarzała piosnkę, którę był słyszał pierwszej nocy. Niekiedy idąc z ojcem na przechadzkę do ogrodu, prosiła go, by im towarzyszył.

Już w jej oczach czytał Osiński, że osoba jego nie jest jej obojętną; jej wejrzenia nie były zwyczajnemi wejrzeniami; jej najobojętniejsza rozmowa, odsłaniała to, o czem mówić nie śmiała, o czem przynajmniej słyszeć miło jej było. I w rzeczy samej. Osiński nie tail dłużej uczuć swoich; uczucia te były silniejsze od niego. Bogu poruczając przyszłość swoję, ani święty obowiązek chciał zdradzić, ani urokom miłości oprzeć się był w stanie.

Izydora od tej chwili jeszcze śmielszą się stała. Osiński wyjeżdżał często dla przepatrzenia czat rozstawionych. W jednej z takich przejazdek, Izydora zwyczajem kraju swego towarzyszy mu na małym lecz pełnym siły i ognia rumaku bułanym z mleczną grzywą, swoim ulubionym biegunie. Jakże miłą była ta przejazdka! Już to powolnym postępując krokiem, upojeni szczęściem obecnem, trwożąc się myślą o przyszłości, wymieniając słowa pełne słodyczy,

obawy i pociechy, we wzajemnem wejrzeniu chcieli zbadać przeznaczenia swego wyroki, już też puszczając koniom wodze, zdawali się gonić za szczęściem, które im się ciągle z rąk wymykało.

Izydora zapewniona, że Osiński dla niej żyje, dla niej żyć będzie, i dla niej tylko, rzuca się ojcu swojemu do nóg i wyjawia mu to, co doświadczony starzec już od dawna spostrzegał. Dziecię moje! zawołał rozrzewniony, ja nie mam nikogo prócz ciebie; pragnę gorąco szczęścia twego; lecz szczęście, które ty sobie rokujesz, może być tylko chwilowem złudzeniem. Rozważ położenie twoje i jego; pomnij na stosunki polityczne dwoch narodów, odległość i różność. Spodziewaszże się go skłonić do pozostania w Morena? Chceszże oddając się cudzoziemcowi, którego nie znaliśmy przed niedawnym czasem, opuścić twojego starego ojca, przodków twoich siedzibę i rzucić się na przeciwny koniec Europy, gdzie ludzie, kraj, klimat, język, obyczaje, wszystko obcem ci będzie; gdzie wkrótce może tęsknota oziębi te gorące uczucia, które dziś zdają ci się trwalszemi od ciebie samej?

Ach! ojcze, zawołała piękna, a rozlaną na twarzy boleścią piękniejsza niż kiedykolwiek Izydora, ach, ojcze, wola twoja jest dla mnie wyrocznią, ale ty życia mego zatruć nie zechcesz wszakże.

Córko, odpowiedział ojciec, zostaw mnie do jutra. Krok, który chcesz uczynić, czyni się tylko raz w życiu!

Izydora już dnia tego nie widziała swego oblubieńca. Noc przepędziła w pokoju swoim, licząc godziny bijące w sąsiednim ojca pokoju. Nigdy jej czas dłuższym się nie wydał; nie dowierzała, aby noc jedna tak bez końca trwać mogła. To zadmuchnąwszy świecę, kładła się na łoże znużona, w nadziei, że potrzeba snu już jest silniejszą od wewnętrznego niepokoju; to zrywając się nagle, zapalała ję na nowo u wiszącego przed obrazem Bogarodzicy, bladego kaganka.

Nazajutrz dano znać do śniadania. Przybywa Izydora — zastaje już przy stole siedzącego ojca. — W jej oczach

malowało się to zmięszane uczucie obawy i szczęścia, ten stan niepewności, gdzie człowiek usycha nadzieją i z niecierpliwością stanowczego wygląda ciosu. Dawszy ojcu ranne pozdrowienie, wprzód nim usiadła, już chciała w wejrzeniu jego zbadać swoję przyszłość. Krótką chwilę milczenia, przerywa przeciwległemi drzwiami wchodzący Osiński.

Dnia tego nikt więcej nie przybył do śniadania. Towarzyszki Izydory, które zwykle należały do biesiadującego grona, dziś jadły osobno. — Zaledwie Osiński zajął przeznaczone dla siebie miejsce, Lopez de Gama podaje mu rękę. Poruczniku, rzecze, córka moja zaniosła do mnie wczoraj żądanie, które powinienem był z ust twoich usłyszyć. Ale pomińmy ten szczegół. Wchodzę w twoje położenie i pojmuję jak wiele kosztowaćby mogło cudzoziemca, którego tak krótko znamy, to, co ze strony córki jest tylko wypływem zaufania dziecięcia ku ojcu. Nie uprzedzaj jednak myśli moich; nie jestem tak surowym, a szczęście Izydory jest ostatniem życia mojego zadaniem.

Na te słowa, piersi pięknej Izydory podniosły się wzdęte z głębi wydobywającem się westchnieniem; jej rzęsy zwilgociła łza, której ukryć nie mogła.

Dwa, mówił dalej starzec, kładę warunki żądaniu waszemu; naprzód: zostaniesz w Morena, i tej wiekowej spuścizny przodków naszych nigdy nie wypuścisz z ręku; powtóre: ponieważ ród Lopezów de Gama kończy się na mnie, ty do nazwiska twojego, przydasz ten nowy przydomek.

W tej uroczystej chwili zapomnieli wszyscy o śniadaniu. Osiński wstrzymując się od wszelkiej zewnętrznej oznaki, spuszczał ku dołowi oczy, jak gdyby chciał dalej słuchać. Izydora jak wryta wtopiła się w niego, chcąc wytężonem uchem schwycić odpowiedź, która z ust jego wyjść miała. Lopez pełen rozsądku i umiarkowania, czuł ważność położonych warunków, i pojmował oficera naszego położenie. Jednym więc ciągiem, i niedopuszczając odezwania się niczyjego, mówił dalej. Zapomniałem o trzecim warunku: abyś na rzecz wielkiej wagi, bez głębokiego nie odpowiadał

namysłu. Zacznij od wypełnienia tego ostatniego i przynieś mi odpowiedź twoję, dopiero za trzy dni.

Trzy?... powtórzyła półgłosem dziewczyna, a mimowolny rumieniec przypomniał jej przyjętą w świecie przyzwoitość i słowa w ustach uwięził. Ojciec powstał, skłonił się poważnie, i każdy jak zwykle w swoję udał się stronę.

Któżby powiedział, że już więcej Osiński nie usiędzie przy stole, obok swojego anioła, że ta ich niema rozmowa, że nawet to ich widzenie się, było już ostatniem w życiu! — Osiński wszedłszy do swego pokoju, przeszedł się kilka razy tam i nazad szybkim krokiem. Porywa za pióro i papier, i drżącą ręką pisze do pułkownika Kozietulskiego, pod którego dowództwem służył, a który z pozostałą od rozrzuconych straży przednich jazdą swoją, stał o mil kilka od Morena.

„Pułkowniku, nie posądzisz mnie o brak wytrwałości i odwagi, lub o lekceważenie rozkazów twoich; przeszłość moja chroni mnie od tej niesławy. Zmuszony jednak jestem prosić cię najusilniej, abyś mnie niezwłocznie innym zastąpił oddziałem. Nie porucznik swego pułkownika, ale rodak rodaka, człowiek o to błaga człowieka. Powody tej natarczywości, wyłożę ustnie; one znajdą usprawiedliwienie w sercu pełnem męstwa i ludzkości“.

Ułan posyłka stojący z kolei dzień i noc przy okulbaczonym koniu na zawołanie służbowe, siada i odjeżdża z depeszą.

Osiński zbity na siłach, łatwo udał niezdrowego i z pokoju swego już nie wychodził. Któż jest w stanie powtórzyć i opisać, co się działo w sercu jego, i w sercu nieszczęśliwej dziewczyny! — Miałaż wierzyć jego słabości? miałaż go odwiedzić cierpiącego? Czy niespodziane szczęście, czy wyrzut sumienia za udaną miłość zdrowie mu zatruły? Rumieniec nikł z jej twarzy; koralowe usta gorączkowa pomarszczyła suchość; oczy zżółkłe, nabrzmiałe, czerwoną opasane obręczką, zdradzały mnogość łez wylanych w ukryciu. Uchylając niekiedy zasłonę okna swojego, spoglądała w ogród ku stronie, gdzie pierwszy raz usłyszała, że była kochaną. O, gdyby go choć opodal ujrzeć mogła! Ale nie!

Osiński nie pokaże ci więcej oblicza swojego, i twego nie zobaczy. Jego los godny opłakania. Te dwa dni wynędzniły go więcej, niż lata obozów, głodu, słot, zimna i upałów. Bladość przebijająca się przez opaloną słońcem południowem skórę, czyniła go żółtym, schorzałym i niepodobnym do siebie samego. Tu miłość, która pierwszy raz w życiu opanowała serce jego, tam daleko sięgające nadzieje, i honor osobisty!

Nadchodzi noc druga tej bolesnej walki serca, rozumu i sumienia. Już północ minęła. Od czasu wejścia załogi do zamku, bramy jego stały ciągle otworem, bo przez nie przechodziły zmieniające się co godzina czaty zewnętrzne. Światło poznikało w gmachu. Wszyscy spią prócz ułanów na straży stojących, i prócz Osińskiego, a może i prócz nieszczęśliwej dziewczyny.

„Kto idzie!“ krzyknął donośnym głosem u pomostu stojący na koniu żołnierz. „Do broni!... zdaj odzew!“ — Czuwający w pokoju swoim porucznik usłyszał te słowa i tentent wyjeżdżających szybko ze stajni ułanów. — Zbiega na dół. Koń jego już stał gotowy. Był to oddział, który na jego miejsce przyszedł. Pościągano czaty, zastąpiono je nowemi; dwaj oficerowie pomówiwszy nieco na stronie, zapewne w przedmiocie służby, podali sobie ręce. „Do widzenia“ zawołał jeden z odjeżdżających ułanów. „Chyba na tamtym świecie, odpowiedział ktoś z pozostających, bo na tym, nikt kości naszych nie powynajduje!“ Ruszono bez trąbienia już nie słychać stąpania koni, już i oddział znikł w przestrzeni daleko ciągnącej się równiny.

Nie wiem co się działo w domu Lopeza, gdy nazajutrz innych spostrzeżono ludzi.

W dni kilka po przybyciu Osińskiego do pułku, gerylasy w znacznej sile zbliżają się ku jego obozowi. Zatrąbiono na koń. Dwie chorągwie ułanów stanęły w szyku bojowym, a na ich czele nieustraszony Kozietulski, bohater Samo-Sierry, Leonidas hiszpańskich Termopilów. Jazda nieprzyjacielska naciera pierwsza. Osiński stał na lewem skrzydle. Jeden z powstańców, obwinięty szerokim płaszczem,

zacisnąwszy sumbrero na oczy, pochylony naprzód, z wyciągniętą ręką, a w niej po za uszy konia wystający trzymając pistolet, leci ku niemu na przebój. Strzela; kula przeszywa ułańską czapkę powyżej daszka i włosy narusza. Ułan stojący przy poruczniku, wsadza grot dzidy między żebra napastnika i z konia go obala. Ciało jego, zapewne żyjące jeszcze, zmięszało się między trupami tej krótkiej, lecz krwawej utarczki.

Nikt nie widział zakapturzonej twarzy gerylasa. Dostrzeżono tylko, jak ku stronie zamku Lopeza pomknął lotem błyskawicy ów rumak bułany z białą grzywą, na którym przejeżdżała się była Izydora w towarzystwie porucznika.

W lat kilka później Osiński w stopniu majora zginął walecznie w bitwie pod Smoleńskiem.

OPIS OBCHODU JUBILEUSZOWEGO

50-letniej rocznicy

JÓZEFA SUPIŃSKIEGO

na polu piśmienniczem.

Od czasu poprzedniego wydania pism Józefa Supińskiego zdarzył się w życiu czcigodnego Autora fakt nadzwyczajnej świetności. Jest to podniosłością swą okazały, a rzewnością wzruszający fenomen; — jest to objaw hołdu oddanego długoletniej, żmudnej a wytrwałej pracy; — jest to wyraz czci, złożonej wysokim umysłu i ducha przymiotem; — jest to świadectwo dane zbawienności prawd wielkich: w wszechświecie podpatrzonych, w sobie samym odczutych a w społeczeństwie odnalezionych; — jest to dowód, jak daleko i głęboko prawdy te, po mistrzowsku ogłoszone przyjmują się i zagłębiają w powszechności. Jest to uroczystość obchodu jubileuszowego 50-letniej działalności Józefa Supińskiego na polu piśmienniczem.

Ponieważ fakt ten ma nietylko w życiu dostojnego Jubilata niezwykłe znaczenie, ale ponieważ należy on do historyi rozwoju i postępu nauk społecznych, przeto podaję tu pokrótce opis obchodu jubileuszowego, którego byłem już to świadkiem, już to osobistym uczestnikiem.

Ściśle biorąc, 50-letni jubileusz wypadał w r. 1875, albowiem pierwszym drukowanym utworem Supińskiego była elegia, wierszem przez niego wygłoszona w imieniu akademików warszawskich na pogrzebie Staszica r. 1826. Zamiar należytego uczczenia sędziwego Jubilata pojawił się był rzeczywiście w ściśle oznaczonym peryodzie pomiędzy zwolennikami pism jego. Ale różne projekta przechodziły liczne fazy — i tymczasem rok właściwy minął.

Następnego roku w dzień św. Józefa—słuchacze wszystkich fakultetów jednej z wszechnic naszych — byli pierwsi, którzy w uczczeniu zasług Autora przysłali mu adres, obejmujący do 200 podpisów. Jest to spora książka ozdobiona na wierzchu wielce udatnem popiersiem bronzowem, o 4 calach średnicy, z napisem: Józefowi Supińskiemu, Autorowi szkoły polskiej gospodarstwa społecznego 19/3 1876 słuchacze wszechnicy. W piśmie zawartem, tytułując go Ojcem, dają oni wyraz należytej oceny dzieł jego, a obok uczuć najszlachetniejszych, wynurzają mu swoją miłość i uwielbienie.

Zdarzenie to dodało bodźca dawniejszym zamiarom. Komitet jubileuszowy we Lwowie zgodził się wreszcie urządzić ucztę dnia 3 maja 1877. Lecz gdy podówczas dom szanownego Jubilata była na-

wiedziła ciężka żałoba po utracie synowej, — a dalej gdy tenże oświadczył, iż z zasady przeciwnym jest ucztom i nie rad w nich udział bierze, — postanowiono z uwagi, że drugie wydanie dzieł Supińskiego jest wyczerpanem, zająć się trzeciem jubileuszowem wydaniem. Atoli po rozpatrzeniu się bliższem przekonano się, że ani marzyć nie można było, ażeby pośród zamożnych obywateli zebrać przeszło 2000 złr. na dzieło, tak mało u naszych ziemian popularne.

Na wniosek młodego prawnika p. Dzędzilewicza zawiązuje się tedy nowy komitet jubileuszowy prawników, pod przewodnictwem b. radcy sądu apellacyjnego p. Klemensiewicza. Komitet ten ułożył adres i za pośrednictwem „Prawnika“, organu towarzystwa prawników, redagowanego przez D-ra Ignacego Czemeryńskiego adwokata krajowego we Lwowie, który w sprawie adresowej najgorliwszą czynność rozwinął, ogłosił odezwę do wzięcia w tej uroczystej manifestacyi udziału. Odezwa ta powszechny odgłos znalazła.

Dzień 18 listopada 1877 r. rozpoczął szereg owacyj, które się przeciągnęły aż po koniec tegoż miesiąca.

Pierwsza dnia wspomnianego zjawiła się *deputacya Lwowskiej Rady miejskiej*, z prezydentem miasta na czele, zawiadamiając Jubilata: że na wniosek Dra Małeckiego, rada miejska jednogłośnie nadała mu godność obywatela honorowego m. Lwowa — „najwyższy zaszczyt, którym rozporządzać może, — jako hołd zasłudze i w dowód uznania cichej i wytrwałej pracy, która dodała świetności ojczyźnie...“

Godność tę pochodzącą od reprezentacyi 100-tysiącznego miasta, przyjął Jubilat „jako wielce zaszczytną niespodziankę, a zarazem jako drogą spuściznę potomkom“.

Bezpośrednio zapowiedziała przybycie swe *deputacya Towarzystwa pedagogicznego,* która wręczyła Jubilatowi adres, od członków tegoż — wyrażając: iż Jubilat „obok posług wzniosłych i obok żmudnej na chleb codzienny pracy, nie spuszczał z oka wielkich życia społecznego spraw i zagadnień,— i który wzniósłszy się na wyżyny umiejętności nie zapomniał o maluczkich, dla nich głośno domagał się oświaty, i dla nich zbawienne na drogę żywota spisał nauki...“

Przybyli też tego dnia gremialnie *urzędnicy gal. kasy oszczędności we Lwowie* wręczając Jubilatowi adres ozdobiony medalionem Jubilata z cynku, wykonany przez Edwarda Błotnickiego (ojca), owczesnego likwidatora tejże kasy,— z napisem: Czcigodnemu Jubilatowi Józefowi Supińskiemu koledzy z gal. kasy oszczędności we Lwowie 1877.

Jubilat na słowa uznania prac jego i wskazanej drogi do lepszej przyszłości pod hasłem: wiedza i praca, - prosił o dochowanie przyjaźni, życząc kolegom dawnym, ażeby ich Bóg strzegł od utraty wzroku i spędzania ostatnich i najcięższych dni żywota o 650 guldenach rocznej emerytury.

Pocztą nadszedł *adres Akademii umiejętności w Krakowie*, podpisany przez prezesa Dra Majera i sekretarza Dra Szujskiego; tudzież *adres korporacyi profesorów i docentów wydziału prawniczego i administracyi w uniwersytecie Jagiellońskim* podpisany przez Dra Juliana Dunajewskiego dziekana.

Pisma te obok strony adresowej mają znaczenie uznania i ocenienia dzieł jubilata przez największe powagi i najwyższe instytucye naukowe w kraju.

Adres pierwszy w głównym zarysie brzmi: „Pięćdziesięcioletnia rocznica Twego publicznego zawodu jako pisarza pełnego zasług a prawdziwie wyjątkowego stanowiska w dziejach piśmiennictwa naszego, zbliża do Ciebie wszystkich tych, którzy mieli sposobność poznać i ocenić niepospolitą doniosłość myśli, w szeregu dzieł zarówno gruntownie jak świetnie rozwiniętych. Nie brakło przed Tobą ludzi naukowych; Ty jednak pierwszy zdołałeś ją uczynić prawdziwie swojską rośliną. W ten sposób nauka wielkiego znaczenia rozpoczęła samodzielny swój wątek w dziejach narodowości naszej, a z początkiem tym Imię Twoje na zawsze połączone zostało. Ale umysł Twój skłonny ku sprowadzeniu zjawisk świata do ostatnich najprostszych przyczyn, pragnął zbadać prawa kierujące ruchem społeczeństw ludzkich i na tem polu pozostał jedynym w naukowej literaturze naszej. W uznaniu tylu zasług i tylu twórczości Akademia umiejętności w Krakowie zaliczyła Cię między członków swoich tym cenniejszych, że wyborem Twoim mogła wypowiedzieć społeczeństwu jednę z głębokich prawd, że społeczeństwa tylko własnemi siłami, tylko pracą i wiedzą dźwignąć się mogą....“

Z czworakiego stanowiska przemawia *korporacya* w drugim adresie. Najpierw: jako *członkowie Instytucyi naukowej* składają oni „uznanie przedewszystkiem głębokiemu badaczowi, który wiążąc prawa rządzące wszechświatem z prawami, które społeczeń-

stwem władają, dochodzeniem zarówno oryginalnem jak bystrości pełnem, przyczynił się do odsłonięcia tajników budowy społecznego gmachu."—Powtóre: jako *profesorowie prawa* składają oni „uznanie ekonomiście o rozległych poglądach, który rozświecając naturę zjawisk ekonomicznych, tem samem ułatwił zadanie umiejętności prawnych."

Po trzecie: jako *przewodnicy młodzieży* składają oni „uznanie mężowi, który z nieporównaną mocą argumentów wykazał potęgę wiedzy i jej wpływ zarówno na losy jednostek jak i społeczeństw całych." Po czwarte: jako *obywatele* składają oni „uznanie autorowi, głęboko kraj swój miłującemu, którego dzieła razem wzięte tworzą kodeks postępowania dla społeczeństw po drogach duchowego odrodzenia pod godłami wiedzy i pracy, które słusznie do najwyższego podniósł znaczenia i wytknął kierunek pracy, którego jest najdawniejszym bogdaj, a zawsze najwymowniejszym u nas szermierzem..."

Dopełnieniem powyższych dwóch pism jest *adres Senatu uniwersytetu Lwowskiego,* który deputacya tegoż wręczyła na dniu 25 listopada Jubilatowi. Adres ten podnosi tę okoliczność: że jubilat „wystąpił z głębokiemi poglądami na układ społeczny i gospodarstwo społeczne w czasach, kiedy literaturę naszą stanowiły przeważnie utwory poetyczne i powieściowe, że wpajał w społeczeństwo nasze głęboką prawdę, iż w pracy na polu ekonomicznem, opartej na wiedzy i nią kierowanej, szukać należy trwałych podstaw pomyślności. Poglądy te, to owoc długoletnich badań i długoletnich rozmyślań nad budową społeczeństw w ogóle. To praca zasilająca się głę-

bokiem przekonaniem o prawdzie niezbitej wyznawanych zasad i o potrzebie wpajania ich w społeczeństwo nasze, które niespuszczając z oka wznioślejszych dążeń, zaczyna krzątać się z usilnością około zdobycia materyalnych podstaw bytu i o wiedzę fachową....“

Odpowiedzi na wszystkie te adresy brzmią, jak cały żywot Jubilata, szczerą skromnością.

Tegoż samego dnia przybyła z adresem *deputacya stowarzyszenia rękodzielników lwowskich „Gwiazda“*.

Punktem atoli kulminacyjnym, przez dwa tygodnie trwającego obchodu, był dzień 28 listopada, w którym to dniu deputacya towarzystwa prawników doręczyła Jubilatowi adres zaopatrzony w przeszło trzy tysiące podpisów.

Adres ten, którego podpisy uporządkowane są alfabetycznie według miejscowości skąd pochodzą, podpisały oprócz Towarzystwa prawników jako takiego: wszystkie sądy obwodowe i powiatowe w Galicyi, tudzież reprezentacye gminne miast i miasteczek, reprezentacye autonomiczne powiatowe, starostwa, notaryaty, dyrekcye gimnazyalne, uniwersytet jagielloński i lwowski, Wydział krajowy, prokuratorya państwa i skarbowa, trybunał apelacyjny, sąd krajowy cywilny i karny, dyrekcya skarbowa, magistrat m. Lwowa, współpracownicy adwokaccy i notaryalni, akademicy krakowscy i lwowscy; dalej zakłady publiczne i stowarzyszenia, jak: gal. Towarzystwo kred. ziemskie, Towarzystwo wzaj. ubezpieczeń w Krakowie, Zakład kredyt. włościański, Stowarzyszenie urzędników kolejowych, młodzieży handlowej, lekarzy, aptekarzy; także właściciele dóbr,

obywatele miast i miasteczek galicyjskich, Cieszyna i Czerniowiec; wreszcie członkowie polscy austr. Rady państwa i adwokaci polscy w Wiedniu.

Rzec można, że adres ten jest wyrazem całej inteligentnej i zamożnej ludności kraju. Podaję go tu w całości:

Czcigodny Jubilacie!

„Przed pięćdziesięciu laty poczynałeś pracę na pokrewnem naszem polu wiedzy, które wówczas leżały prawie odłogiem. Nieprzejrzany obszar badania, ile nietkniętych obiecywał bogactw, tyle ciężkiego domagał się znoju. Ale Tyś się nie uląkł trudu, sędziwy Jubilacie, bo nie wawrzynów własnej sławy patrzyłeś, lecz dobra swego kraju i narodu, a sterem i siłą Twej pracy była ta sama święta i gorąca miłość, co nieśmiertetność daje narodowi.

W niej też nam, słabym uczestnikom pracy na rozległem polu nauk i umiejętności społecznych, zapożyczyć się dzisiaj, bo jeśli, powołani zaszczytnem pokrewieństwem zawodów naszych, wdzięcznością mamy płacić pracę życia Twego, to niechaj wdzięczność nasza tam bierze swą siłę, gdzie ją czerpała zasługa i niech nam przewodzi nadzieja, że chociaż skromny nasz wyraz uznania, nie na wagę słów go przyjmiesz, lecz na wagę uczuć naszych.

W nauce, której półwiekową poświęciłeś pracę, dałeś nam: „*Szkołę polską gospodarstwa społecznego*“,— a w niej całą nagrodę mozolnych swoich badań i wszystkie życzenia swoje w jednej położyłeś na-

dziei, w nadziei: *że myśl jej twórcy trafi do przekonania polskich czytelników.*

Prawdy, na których spoczęła pomnikowa „Szkoła“ Twoja, skupiły się wszystkie w jednej naczelnej prawdzie ludzkiego świata: *w pracy i wiedzy,* a przy tej prawdzie stanąwszy, znowu jednego tylko krajowi swojemu *życzyłeś: by po epoce „poezji i powieści“ przeszedł w powszedni ale płodny i zbawienny okres wiedzy i pracy.*

„Czas, czas wielki, byśmy pomyśleli o tem, bez czego już dziś istnieć nie można; — czas ostatni, bo wkrótce będzie zapóźno“.

Kto wie, ile gorącej miłości kryło się w tych cierpkich słowach, ten zrozumie, ile dzisiaj one Ci niosą pociechy; zrozumie, że chcąc godnie odpowiedzieć dziś zadaniu swemu, nie możemy uczynić tego lepiej jak ich powtórzeniem.

Słowa Twoje są nam dzisiaj przestrogą, a kiedyś będą błogosławieństwem narodu. Poczęły one nową i wielką epokę nie w samej tylko nauce, ale i w życiu naszem. Nauka, której praca Twoja stała się węgielnym kamieniem, podąża dopiero za doświadczeniem i pracą, ale życie, wyprzedzając naukę, tą samą drogą przyrodzonego rozwoju, jaką odsłoniłeś w swej: *„Ogólnej myśli fizjologii wszechświata“,* wchodzi już coraz świadomiej w okres, którego tak gorąco życzyłeś ogółowi.

Dwie potęgi Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego: *wiedza i praca*, stają się hasłem dni naszych; coraz ich więcej w krwi naszej i coraz więcej w atmosferze, którą oddechamy.

Dożyłeś więc, sędziwy nasz Jubilacie wielkiej pociechy: oto myśli Twoje przechodzą siłą przyrodzonego prawa w naszą krew i życie.

Dla tego chwila ta, w której uczestniczymy, jest dwakroć dla nas uroczystą, bo kraj czcząc zasługę tego, który na rozdrożu dwu epok, wołał go do twardej pracy codziennego życia, czci wraz i najwyższą ideę swego czasu, a w czci tej staje się już wyrazem „pracy, kierowanej wiedzą i wiedzy opartej na pracy".

W pierwszej godzinie tej prawdziwie zbawczej epoki Tyś pierwszy podał jej hasło, więc Cię ta epoka czci jako tego, któryś ją zrozumiał i zapowiedział; — jednostki uczyłeś żyć dla ogółu, a ogół przez jednostki, więc ogół ten jedno dzisiaj ożywia uczucie wdzięczności za pracę dla dobra jego podjętą; nauka Twoja oparła pojawy i czyny ludzkie o przedwieczne prawa wszechbytu, więc trwała jak one na zawsze będzie skarbnicą zdrowego ziarna wiedzy.

A nad wszystkie zasługi półwiekowej pracy jaśnieje ta wielka miłość, co wszystko dla kraju, a nic — nic prócz jednego nie chciała dla siebie: *widzieć swój kraj szczęśliwym w pracy i potężnym w wiedzy.*

Jeśli nam wolno dzisiaj powiedzieć, żeś się w swej *błogiej nadziei* nie zawiódł, a ostatnich lat dziesiątek da świadectwo prawdzie słów naszych, tośmy tej uroczystej godziny życia Twego próżnem nie zmącili słowem. Wyraz czci naszej był wówczas echem tylko własnych Twoich pragnień, wróconem ze serca temu, który kraj swój ukochał nad wszystko.

Przyjm go więc tak, jak go w tej uroczystej chwili składamy, gorąco i szczerze, w tem przekonaniu, że nad uczucie czci i miłości, jakiemi na zawsze zapisałeś swe imię w sercach swoich ziomków, ani droższej, ani godniejszej twej pracy wdzięczności nie mamy.“

Odpowiedź Jubilata brzmiała:

Szanowni Panowie!

„Do zasług, jakie mi przypisujecie, ja w żaden sposób przyznać się nie mogę, a licząc lat 74, jestem zbyt rozstrojony na ciele i umyśle, ażebym mógł przynajmniej godnie podziękować za ten nadzwyczajny zaszczyt, jaki mnie spotyka. Raczcie mi przebaczyć i uwolnić od tego, a pozwólcie, ażebym w krótkich słowach skreślił przebieg mego literackiego zawodu a tem samem rzecz w prawdziwem przedstawił świetle. Tę szczerotę winien jestem Wam, Panowie, którzy daliście impuls do licznych pojawów życzliwości, jakie w tych dniach otrzymuję i którzy usiłowaniom Waszym najrozleglejsze zakreśliliście koło.

Gdyby mi był kto przed piętnastu laty przepowiadał to tak ogólne ziomków moich zadowolenie byłbym go podejrzywał o żart nieprzyzwoity, a może złośliwy, bo całe życie moje — a mówię to jakby przed sądem sumienia — wolny byłem od wszelkiej zarozumiałości.

Pisując przed pół wiekiem w Warszawie, a następnie we Francyi artykuły treści rozmaitej, nie byłem zadowolony z żadnego z nich, pokąd on leżał przedemną. Poddawałem je tu i tam pod sąd ser-

decznego przyjaciela, a zarazem człowieka wielkiej nauki, Mecenasa Kraińskiego, który mnie do ich ogłoszenia drukiem zwykle ośmielał. Gdy następnie znajomi moi oświadczyli mi z tego powodu swoje zadowolenie i w artykule moim dopatrywali pewnych zalet, których ja nie widziałem zrazu, uspokajałem się i uwierzyłem, że musiał nie być tak złym, jak mi się przedstawił pierwotnie.

Pod tarczą tego usposobienia, które wszakże nie jest zasługą moją, bo je z sobą na świat przyniosłem — za powrotem do kraju jąłem się prac większego rozmiaru, ale ta nieufność w siły własne i ta obawa towarzysząca wątpliwemu powodzeniu, wzmogły się wkrótce we mnie, gdy za pojawieniem się pierwszej książki mojej wypuszczono przeciw mnie kilka ostrych pocisków w Krakowie, we Lwowie i w Warszawie. Nie wymienię pism, zkąd one wyszły, powiem tylko, że jedno z nich — a było to w czasach, kiedy lada podejrzenie ściągało rewizye domowe i prześladowania, szczególniej na ludzi wracających z Francyi — zarzuciło mi wprost dążności rewolucyjne, zasady komunistyczne i bezbożność. Drugie z tych pism ogłosiło obszerną rozprawę, roztrząsającą szczegółowo pracę moją, a potępiającą ją także we wszystkich szczegółach. Sąd trzeciego ziajał złością jadowitą. W obronie mojej nie stanęło żadne.

Niepowodzenia te nie odstraszyły mnie przecież, bo przekonany byłem, że wadliwości, jakie się w pismach moich znajdować mogą, muszą pochodzić z mojej własnej winy, może z braku właściwego przedstawienia, może nawet z mylnego zapatrywania,

ale one tkwić nie mogą w istocie, w jądrze rzeczy samej, bo ta jest następstwem praw wyższych, od woli człowieka niezależnych. Niepowodzenia te nie odstraszyły mnie i dlatego jeszcze, że społeczność nasza znajdowała się podówczas w stanie anormalnym, nieprawidłowym; ona żyła wyłącznie uczuciem i poświęceniem, zatem walką z rzeczywistością.

To rozgorączkowanie umysłów nie mogło sprzyjać rozwojowi nauk społecznych. Gospodarstwo społeczne było przedmiotem szczególniej nienawiści, a nawet pogardy. Jeden z mężów stojących wysoko w hierarchii naukowej, rzekł raz do mnie: „Wasza ekonomia polityczna da się streścić w czterech słowach: kupić tanio, sprzedać drogo“. Nazywano ją — a użyję tu wiernie terminologii ówczesnej — brudnym kałem, grubym materjalizmem, gorszącem sobkostwem, nauką tłumiącą najszlachetniejsze uczucia serca, tępiącą bystrość samodzielnej myśli, odwracającą od poświęceń, zacierającą poetyczną stronę życia narodu.

Poeci nasi — przed którymi zresztą biję czołem ze względu na ich geniusz i ich uczucia, — rozdmuchiwali ten żar młodociany, a czynić to mogli jedynie w dobrej wierze i skutkiem gwałtownego przywiązania do społeczeństwa swego...

Wszakże to naprężenie ogólne nie mogło trwać wiecznie: struna zbyt naciągnięta musiała pęknąć lub sfolgować. I w rzeczy samej, zaczęliśmy zwolna stygnąć w niebiańskim ferworze; myśl zbiorowa falująca dotąd w obłokach, zaczęła się spuszczać ku ziemi; zaczęto poznawać, że życie narodu oprzeć

się musi o ziemię, musi zapuścić korzenie w ziemię, jeżeli wiatry zdmuchnąć go nie mają.

W tym to okresie, Panowie, i równocześnie z tą zmianą pojęć i usposobień społeczeństwa naszego, zaczęły się także szerzyć i na pewne względy zasługiwać książki moje, i tu leży różnica zapatrywań naszych. Wy Panowie, a przynajmniej niektórzy pośród Was utrzymują, że pisma moje przyczyniły się do zmiany pojęć i usiłowań narodowych; ja zaś utrzymuję, że zmieniony kierunek w pracach organicznych ogółu przyczynił się do rozszerzenia i uwzględnienia książek moich. Zostańmy każdy przy swojem. Zapatrywanie Wasze czyni mi zaszczyt, jaki nie spotyka codziennie ludzi pracujących w naukach; moje uspokaja mnie, bo mi szepcze do ucha: nie nadymaj się wysokością, na którę cię wznoszą, bo ona grozi upadkiem i upokorzeniem! Sympatje przeto Wasze, Panowie, przyjmuję z wdzięcznością, ale jedynie jako chwilowy przedstawiciel nauki, której ważność uznajecie i którę dziś w sposób tak uroczysty uczcić postanowiliście. Mówię: jako jej chwilowy przedstawiciel, bo wkrótce znajdą się ludzie, ba, już są nawet pośród świeższego pokolenia, którzy polską ekonomię polityczną podniosą, rozszerzą i unarodowią więcej odemnie, a wówczas dość będzie dla mnie zaszczytu, gdy powiecie: on był jednym z pierwszych. Dość będzie, Panowie, bo społeczność nasza poszła za natchnieniem bożem; ona pracuje dziś jak nigdy nie pracowała przedtem.

Wytrwajmy na tej drodze; pracujmy ciałem i duchem: ciałem, które jest warunkiem ziemskiego istnienia, duchem, który istnienie to nieśmiertelnem czyni.

Cześć Wam i wdzięczność, Szanowni Panowie i towarzysze prac rozległych na rozległej narodowej niwie."

Poczem nadeszła deputacya Senatu uniwersyteckiego lwowskiego z dziekanem wydziału prawniczego Dr. Źródłowskim na czele, która wręczyła Jubilatowi *dyplom honorowy doktora praw*, nadanego mu na wniosek senatu za potwierdzeniem cesarza Franciszka Józefa, przyznając mu *nomen et honores, jura et privilegia.*

Zgłosili się też delegaci młodzieży akademickiej, którzy w imieniu słuchaczów uniwersytetu lwowskiego, złożyli Jubilatowi wyrazy hołdu; a w końcu delegacya Dyrekcyi i urzędników Towarzystwa kredytowego ziemskiego, która Jubilatowi jako dawnemu koledze wyraziła cześć i serdeczne życzenia.

Dnia następnego zgłosiło się *Towarzystwo drukarzy lwowskich „Ognisko"* i złożyło adres zawierający 146 podpisów, w którym wyrażając „cześć swą dla Jubilata jako ludzie pracy, a w szerszej rodzinie jemu najbliżsi".

Tegoż dnia wręczono Jubilatowi *adres wspólny od redakcyi Gazety narodowej i Dziennika polskiego*, ofiarowany mu „jako publicyście, który w ważnych chwilach piórem dziennikarskiem prawdzie torował drogę".

Zakończyła tę uroczystość *deputacya Straży ochotniczej ogniowej,* która doręczyła Jubilatowi dyplom członka honorowego, dnia 30 listopada 1877 r.

Prócz tych oznak czci i hołdu, nadchodziły pocztą z różnych stron i od różnych osób pisma i telegramy.

Nadeszło pismo od zarządu Towarzystwa rolniczo-przemysłowego w Gostyniu, mianujące Jubilata członkiem honorowym tegoż towarzystwa na ziemi Wielko-polskiej. Pismo od Koła polskiego w sejmie pruskim. Pismo od Towarzystwa b. uczniów szkoły polskiej na Batyniolu. List od hr. Augusta Cieszkowskiego, adres od redakcyi Dziennika poznańskiego z 200 podpisami obywateli poznańskich.

Dalej telegramy: od Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu; od redakcyi „Niwy"; od słuchaczów uniwersytetu Wrocławskiego; od redakcyi „Gazety świątecznej" w Warszawie; od Donimirskiego, prezesa Spółek wielkopolskich i pruskich; od Towarzystwa rolniczego inowrocławskiego; — na które to wszystkie pisma nastąpiły odpowiedzi.

Nadto wydział Czytelni akademickiej we Lwowie, urządził był wieczorek deklamacyjno-muzykalny na cześć Józefa Supińskiego z powodu jego 50-letniego jubileuszu; — a ludzie zajmujący najwyższe stanowiska w społeczeństwie naszem objawiali Jubilatowi wyrazy swoich uczuć i życzliwości.

Dodajmy, że pisma naukowe i polityczne na obszarze ziem polskich, a między niemi także Gazeta Górnoszląska umieszczały artykuły na cześć Jubilata: a otrzymamy uroczy olbrzymi obraz świadczący, że pisma Supińskiego zdobyły sobie wreszcie ogólne uznanie i że cały zastęp światłej powszechności złożone w tych pismach prawdy należycie pojął, ocenił i do właściwej podniósł wysokości, — że odgłos uznania i czci, który się szeroko i doniośle rozbrzmiał, drzemał w przepełnionej akordami uwielbienia strunie narodowej i potrzebował tylko

właściwego potrącenia, — że praca półwiekowa na polu piśmienniczem, wprawdzie nie zabezpieczyła sędziwemu Jubilatowi schyłku skołatanego żywota, ale przyniosła mu trudem własnym i mozołą zjednaną cześć i zaszczyty; — świetniej wszakże otoczyła go aureola tryumfu prawdy nad pierwotną bezmyślną lub żółciową krytykę, której nierozważne lub zapamiętałe cięcia w nią samą skierował bieg czasu.

Jan Welichowski.

SPIS RZECZY.

Str

Od Wydawcy 1
I. Turnieje i pojedynki w wiekach średnich . . 3
Na Zachodzie 5
W Polsce 17
II. Do... List treści moralno-społecznej . . 31
Zapatrywanie się na ruch ludzkości . . 33
Przeobrażenia pojedynczego człowieka . . 36
Węzły jego z powszechnością . . . 39
III. Help your self 63
IV. O mierzeniu czasu 73
V. Tatarzy. Trajedya w pięciu aktach . . . 103
Od wydawcy 105
Akt I. 107
Akt II. 117
Akt III. 132
Akt IV. 144
Akt V. 163
VI. Arcez. Trajedya w czterech aktach . . . 173
Akt I. 175
Akt II. 189
Akt III. 208
Akt IV. 224

VII. Kilka artykułów z pism czasowych . . . 233
Znaczenie kapitału i kredytu . . . 235
Pogląd krytyczny na stanowisko Żydów . . 239
Dalsza rozprawa tejże treści 243
Rozbiór dzieła Edmunda Stawiskiego: „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego“ . 249
O mechanizmie wozów 258
Zdarzenie prawdziwe. — Opowieść . . . 260
VIII. Opis obchodu 50 letniej rocznicy 271